

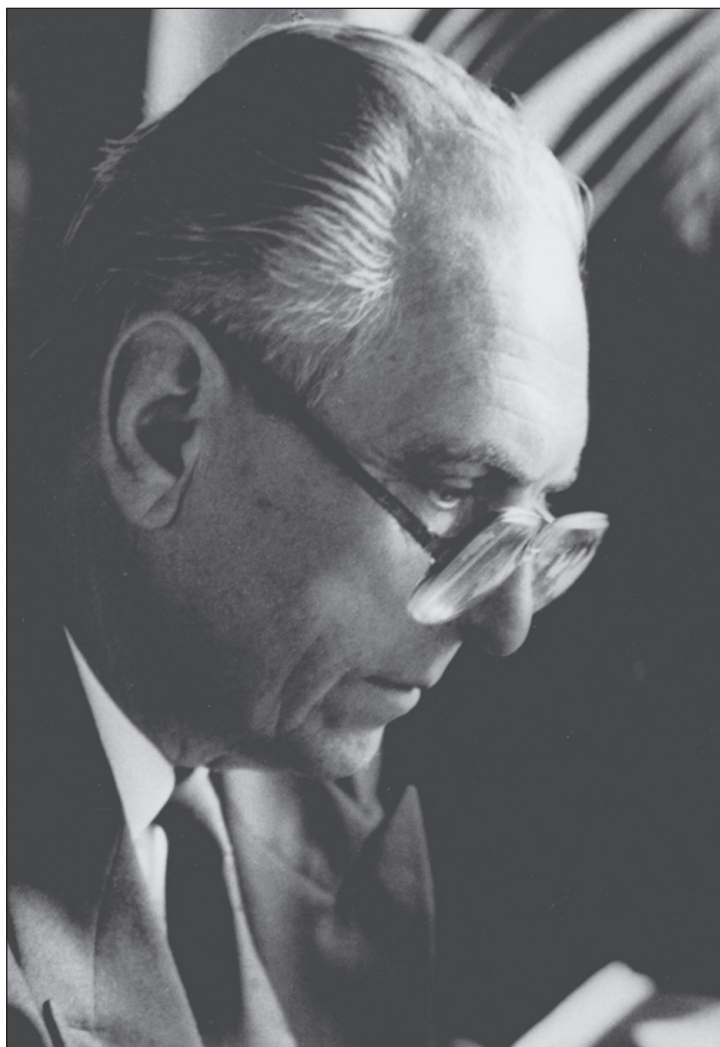
PROFESOR TADEUSZ BILIŃSKI



WSPOMNIENIA Z ŻYCIA I PRACY

REDAKCJA
Jan Mielżyński

PROFESOR
TADEUSZ BILIŃSKI



Profesor Tadeusz Biliński
Uniwersytet Zielonogórski

PROFESOR
TADEUSZ BILIŃSKI

WSPOMNIENIA
Z ŻYCIA I PRACY

REDAKCJA
Jan Mielżyński

Zielona Góra 2025

Rada Wydawnicza__Mariusz Naczek (przewodniczący),
Paweł Andrzejewski, Andrzej Bisztyga, Bogumiła Burda, Joanna
Dec-Pietrowska, Beata Gabryś, Mariusz Jenek, Aleksandra Kruk,
Franciszek Runiec (sekretarz)



UNIWERSYTET
ZIELONOGÓRSKI

Redakcja__Aldona Reich

Opracowanie typograficzne__Anna Strzyżewska

Projekt okładki__Marta Surudo

© Copyright by Uniwersytet Zielonogórski
Zielona Góra 2025

ISBN 978-83-7842-570-0

<https://doi.org/10.59444/uz.9788378425700>

Oficina Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego

65-246 Zielona Góra, ul. Podgórna 50, tel./faks (68) 328 78 64
www.ow.uz.zgora.pl, e-mail: sekretariat@ow.uz.zgora.pl

Prolog

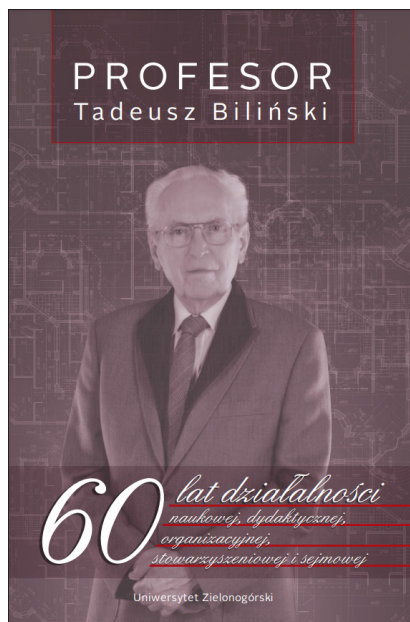
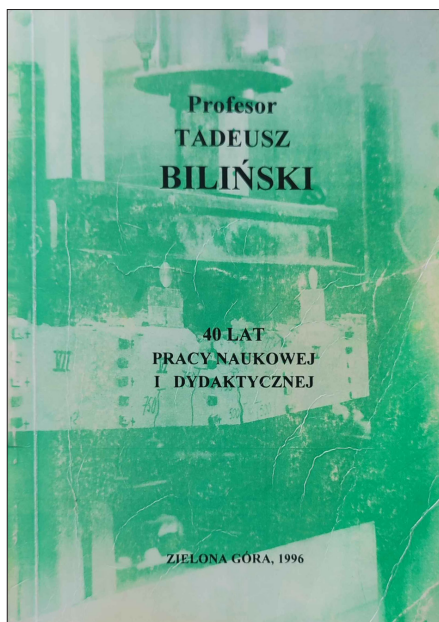
Moje życie i praca nauczyciela akademickiego, działalność społeczna i polityczna zostały przedstawione wielokrotnie w różnych opracowaniach i publikacjach, z czego kompleksowo i w sposób uporządkowany w dwóch książkach.

W pierwszej książce biograficznej, wydanej w 1996 r. przez Wydawnictwo Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze, pod tytułem *Profesor Tadeusz Biliński. 40 lat pracy naukowej i dydaktycznej*, w sposób zwięzły przedstawiono całokształt moich osiągnięć naukowych i dydaktycznych oraz obszernie opisano współpracę z sektorem gospodarczym podczas administrowania uczelnią w okresie, kiedy pełniłem funkcję



dziekana Wydziału Budownictwa, prorektora i rektora Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze. Zaprezentowano moją działalność społeczną, polityczną i stowarzyszeniową, a ponadto sporządzono zestawienie otrzymanych przeze mnie odznaczeń państwowych, wyróżnień oraz nagród. Wykaz osiągnięć w pracy naukowo-dydaktycznej stanowi końcową część opracowania.

W drugiej książce biograficznej, pod tytułem *Profesor Tadeusz Biliński. 60 lat działalności naukowej, dydaktycznej, organizacyjnej, stowarzyszeniowej i sejmowej*, wydanej przez Uniwersytet Zielonogórski w 2016 r., nawiązano do głównych treści poprzedniego wydania, ale zaktualizowano mój dorobek naukowy i działalność społeczno-polityczną. W pierwszym rozdziale przedstawiono kierunki działalności naukowej i zasadnicze tematy prac badawczych, działalność w zakresie kształcenia kadry naukowej, organizowane konferencje i seminaria naukowe, współpracę z instytucjami, organizacjami i towarzystwami naukowymi w kraju i za granicą oraz reprezentowanie przeze mnie nauki polskiej za granicą. W kolejnych rozdziałach opisano moją działalność dydaktyczno-wychowawczą i organizacyjną. Temat współpracy z gospodarką i instytucjami rozszerzono o kooperację z izbami zawodowymi i szkołami, uczestnictwo w radach gospodarczych i programowych oraz komitetach redakcyjnych wydawnictw. Przedstawiono ważniejsze ekspertyzy i prace projektowe, patenty i wzory użytkowe.



Działalność stowarzyszeniowa, spółdzielcza poselska i polityczna to kolejny rozdział mojej biografii, gdzie zaktualizowano zestawienie otrzymanych odznaczeń państwowych, wyróżnień i nagród. W rozdziale siódmym podsumowano moje osiągnięcia w pracy naukowo-badawczej.

Informacje o moim życiu i o mojej pracy zostały przedstawione także w *Złotej Księdze Nauki Polskiej* i w *Encyklopedii Who is Who* oraz w wielu czasopismach technicznych, notkach bibliograficznych, a także na stronach internetowych, m.in. Wikipedii, Sejmu RP, Uniwersytetu Zielonogórskiego i w serwisach informacyjnych. Dlatego poniżej w kilku słowach o sobie.

Urodziłem się 4 grudnia 1932 roku w Trzemesznie (województwo bydgoskie). Kiedy wybuchła II wojna światowa, z rodzicami i rodzeństwem zostaliśmy przesiedleni do Generalnej Guberni. Podobny los spotkał także inne rodziny z tej miejscowości. Naszą wędrówkę opisuję w dalszej części biografii. Po zakończeniu wojny wróciliśmy do Trzemeszna, gdzie zostałem przyjęty do drugiej klasy gimnazjum. Po przeprowadzeniu się rodziny do Poznania kontynuowałem naukę w Gimnazjum i Liceum św. Marii Magdaleny. Wychowanie muzyczne otrzymałem w Chórze Chłopięcym i Męskim Filharmonii Poznańskiej w Poznańskich Słowikach Stefana Stuligrosza. Uprawiałem z sukcesami lekkoatletykę. Należałem do ZHP. Kilka miesięcy pracowałem w Oddziale Drogowym PKP w Poznaniu jako robotnik. W 1951 roku zdałem egzamin na Wydział Budownictwa Lądowego Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Poznaniu. Mój rozwój naukowy skrótowo podaję poniżej.

Wizytówka mojego rozwoju naukowego

Magister inżynier – Politechnika Poznańska – 1956 rok. Promotor: prof. dr inż. Tadeusz Kozłowski. Egzaminatorzy: prof. mgr inż. Lucjan Ballensted, prof. dr inż. Tadeusz Kozłowski.

Doktorat – Politechnika Poznańska – 1965 rok. Promotor: prof. zw. dr inż. Roman Kozak. Recenzenci: prof. zw. dr inż. Stefan Kaufman, prof. zw. dr inż. Tomasz Kluz.

Habilitacja – Politechnika Wrocławska – 1972 rok. Opiekun naukowy: prof. zw. dr hab. inż. Jan Kmita. Recenzenci: prof. zw. dr hab. inż. Jan Kmita, prof. zw. dr inż. Adam Mittel.

Profesura nadzwyczajna – Politechnika Poznańska – 1978 rok. Recenzenci: prof. zw. dr hab. inż. Krzysztof Piwowarski, prof. zw. dr hab. inż. Andrzej Ryżyński, prof. zw. dr inż. Tadeusz Szulczyński.

Profesura zwyczajna – Wyższa Szkoła Inżynierska w Zielonej Górze – 1987 rok. Recenzenci: prof. zw. dr hab. inż. Jan Kmita, prof. zw. dr hab. inż. Andrzej Ryżyński, prof. zw. dr hab. inż. Jerzy Ludwik Zieliński.

Aktywnie działałem w życiu społecznym i politycznym. Należałem do Związku Nauczycielstwa Polskiego, Polskiego Związku Inżynierów i Techników Budownictwa. Ponadto działałem aktywnie w różnych organizacjach i stowarzyszeniach, np. w Towarzystwie Mechaniki Teoretycznej i Stosowanej, Zielonogórskim Towarzystwie Energii Odnawialnej czy Stowarzyszeniu na Rzecz Rozwoju Miasta „Zielonogórskie Perspektywy”. Byłem członkiem Komitetu Inżynierii Lądowej i Wodnej PAN, członkiem Rady Naukowej Instytutu Techniki Budowlanej, przewodniczącym Rady Naukowej Instytutu Gospodarki Mieszkaniowej.

Mój dorobek naukowy i naukowo-techniczny obejmuje ok. 300 prac, w tym 32 książki, podręczniki i skrypty oraz 4 monografie naukowe. Wypromowałem 11 doktorów i sprawowałem opiekę nad 5 habilitacjami. Zrecenzowałem 12 prac doktorskich i 5 prac habilitacyjnych. Opracowałem 6 opinii na temat dorobku naukowego i dydaktycznego pracowników nauki w związku ze wszczęciem postępowania o nadanie tytułu naukowego. Byłem inicjatorem i współorganizatorem wielu konferencji naukowych, w tym o znaczeniu krajowym, jak np. „Konstrukcje zespolone” i „Renowacje budynków i modernizacja obszarów zabudowanych”, które odbywają się od wielu lat, oraz seminariów naukowych i naukowo-technicznych.

Bardzo ważnym zagadnieniem w mojej pracy było kształcenie młodej kadry naukowej. Współpracowałem z wieloma naukowcami w kraju i za granicą.

W 1964 roku wstąpiłem do PZPR i byłem delegatem na jej ostatni zjazd. Uważałem, że życie polityczne w Polsce wymaga zmian. Głosowałem za rozwiązaniem partii. Bliskie były mi idee socjaldemokracji, dlatego w 1989 roku

wstąpiłem do nowo powstałej Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej (SdRP) i od marca 1996 roku pełniłem funkcję przewodniczącego Rady Wojewódzkiej w Zielonej Górze, jednocześnie byłem również członkiem Rady Naczelnej tej partii. Od 1999 roku jestem członkiem Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Byłem członkiem Prezydium Klubu Parlamentarnego SLD.

Od 1985 roku do 2001 roku byłem posłem na Sejm RP, łącznie przez pięć kadencji. W pracy poselskiej skupiałem się również na działalności legislacyjnej, związanej głównie z polityką budowlaną i mieszkaniową. Pełniąc funkcję posła RP nie zaniedbałem działalności naukowej.

Przez dwie kadencje pełniłem funkcję przewodniczącego w Komisji Polityki Przestrzennej, Budowlanej i Mieszkaniowej, a przez jedną byłem wiceprzewodniczącym. W latach 1996-2001 byłem członkiem polskiej delegacji parlamentarnej do Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy.

Moja praca i działalność zostały docenione przez władze państwowe i wojewódzkie oraz organizacje i stowarzyszenia, do których należałem. Poniżej wymienię tylko kilka najważniejszych wyróżnień.

Odnaczenia

Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski – 1979 rok.

Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski – 1989 rok.

Medal Komisji Edukacji Narodowej – 1978 rok.

Złoty Medal za długoletnią służbę – wrzesień 2017 roku. Uchwałą Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.

Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski – 2002 rok.

Złoty Medal za Zasługi dla Rozwoju Miasta Zielona Góra – 2023 rok.

Tytuły honorowe

Zasłużony Nauczyciel Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej – 1985 rok.

Honorowy Członek Towarzystwa Naukowego Organizacji i Kierownictwa – 1995 rok.

Honorowy Prezes Polskiego Towarzystwa Mieszkaniowego – 2000 rok.

Tytuł Honorowego Obywatela Zielonej Góry – sierpień 2017 rok.

Tytuł Profesora Honorowego Uniwersytetu Zielonogórskiego – 1 października 2021 roku.

Od kilkunastu lat jestem wdowcem. Moja ukochana żona Maria zmarła w 1990 roku. Druga żona – Elżbieta – zmarła w 2013 roku. Mam dwóch dorosłych synów: Mirosława (wykształcenie wyższe prawnicze, obecnie adwokat) i Tomasa (wykształcenie wyższe pedagogiczne) oraz wnuka Krystiana i wnuczkę Annę.

Bardzo cenię kontakt z naturą i muzyką klasyczną. Przebywanie na łonie natury oraz słuchanie muzyki klasycznej stanowią i nadal stanowią, choć obecnie w ograniczonym zakresie, dla mnie ogromne przeżycie.

Przedmowa

Zdaniem Czytelników, szczególnie moich przyjaciół i współpracowników, moja praca i osiągnięcia zostały wystarczająco dokładnie przedstawione w opracowaniach zwartych i różnych czasopismach. Zwracano jednak uwagę, że nawet te bardzo szczegółowe informacje, niejednokrotnie sprowadzone do tabelarycznych zestawień, nie obrazują w żadnym przypadku mojego życia, codziennych obowiązków, mojego pochodzenia czy sposobu bycia w środowisku. Nie prezentują również żadnych okoliczności przedstawionych zdarzeń. Brakuje wspomnień o życiu, o podejmowanych działaniach, zarówno udanych, jak i nieudanych, oraz o moim udziale w kształtowaniu środowiska akademickiego. Brakuje również bardziej szczegółowych informacji o mojej działalności w stowarzyszeniach naukowych, technicznych, a w szczególności mojej działalności sejmowej i politycznej. Niejednokrotnie zwracano mi również uwagę, że pominięte zostały ważne informacje dotyczące życia towarzyskiego. Na podstawie prezentowanych informacji trudno sobie wyobrazić moją osobowość prywatną i zawodową, a także stosunek do życia w społeczności lokalnej. Szczególnie to ostatnie stwierdzenie było dla mnie wskazówką do głębszych przemyśleń, bowiem moją myślą przewodnią jako dojrzałego człowieka było hasło: „Chcę być użyteczny dla społeczeństwa”. Przechodząc ze środowiska poznańskiego do środowiska zielonogórskiego, w jednym z pierwszych wywiadów prasowych powiedziałem: „Chcę tutaj zostawić serce”.

Po dwuletnim okresie rozważań zdecydowałem się na napisanie książki biograficznej, w której – jak sądzę – spełniłem te oczekiwania. Niewiele uwagi poświęcam w niej osiągnięciom ostatnich lat, głównie koncentrując się na opisaniu moich dokonań w przeszłości, które zostały docenione przez władze państwowe, polityczne, samorządowe i organizacje pozarządowe. Wszystkie otrzymane wyróżnienia wysoko sobie cenię, ale wymieniam tylko niektóre spośród wielu, jakimi zostałem uhonorowany za swoją pracę zawodową i społeczną. Do najważniejszych należą: tytuł Honorowego Obywatela Miasta Zielona Góra, Złoty Medal za długoletnią służbę od Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, tytuł Profesora Honorowego Uniwersytetu Zielonogórskiego, Złoty Medal za Zasługi dla Rozwoju Miasta Zielona Góra od Prezydenta Miasta Zielona Góra.

Tę książkę poświęcam pamięci moim ukochanym, wspaniałym Rodzicom oraz mojej żonie Marylce – cudownej partnerce naszego wspólnego życia przez ponad 30 lat, a także mojej drugiej żonie Elżbiecie, z którą wspólnie przeżyliśmy prawie 20 lat.

Za przychylność dziękuję prof. dr. hab. Wojciechowi Strzyżewskiemu – rektorowi Uniwersytetu Zielonogórskiego, bez którego pomocy ta książka nie mogłaby się ukazać.

Szczególne podziękowania kieruję do dyrektora i pracowników Oficyny Wydawniczej Uniwersytetu Zielonogórskiego za ostateczne przygotowanie do druku mojej książki.

Na koniec kieruję serdecznie podziękowania do mojego Przyjaciela, dr. Jana Mielżyńskiego, za pomoc przy opracowywaniu i redagowaniu książki oraz do Karola Byczkowskiego, który nas wspierał swoją sprawnością informatyka. Przy opracowaniu książki cenna była także pomoc moich Synów – Mirka i Tomka, za którą serdecznie dziękuję.

Część I

Pochodzenie rodzinne

Trzemeszno – moje miejsce urodzenia

Urodziłem się 4 grudnia 1932 r. w Trzemesznie, w domu przy ulicy św. Jana. Historia tego miasta sięga roku 996. Prawa miejskie uzyskało w XVI w. i jest jednym z najstarszych grodów w Wielkopolsce o bogatej historii walk o niepodległość. 28 grudnia 1918 r. mieszkańcy na wieść o toczonych walkach w Poznaniu samorzutnie wyzwolili się spod pruskiego jarzma, walcząc w powstaniu wielkopolskim. Powstańcy opanowali strategiczne obiekty w mieście, w magistracie utworzono punkt zborny ochotników, komendanturę powstańczą i odwach. Szlak bojowy ochotniczej kompanii trzemeszeńskiej prowadził przez: Trzemeszno – Gniezno, Trzemeszno – Inowrocław i Trzemeszno – Rynarzewo.

Kiedy 1 września 1939 r. Niemcy hitlerowskie napadły na Polskę, mieszkańcy Trzemeszna zorganizowali straż obywatelską i dzielnie stawili czoła armii najeźdźcy. Niestety, słabo uzbrojeni obrońcy miasta po zaciętych walkach pod wsiami: Kruchowa, Jastrzębowo i Niewolno, musieli skapitulować. W walkach



Trzemeszno, ul. św. Jana

poległo ogółem 50 obrońców Trzemeszna. 9 grudnia 1939 r. rozpoczęło się wysiedlenie polskich mieszkańców Trzemeszna do Generalnej Guberni. Łącznie wysiedlono ok. 900 osób (wśród nich była moja Rodzina), a na roboty przymusowe w głąb Rzeszy wywieziono ok. 400 Polaków.

Obecnie miasto liczy ponad 7 tys. mieszkańców, a cała gmina – o charakterze przemysłowo-rolniczym – ponad 14 tys.

W Trzemesznie i okolicy znajduje się wiele zabytków kultury materialnej, jak np. Bazylika pw. Wniebowzięcia NMP, dawny szpital św. Łazarza, Alumnat, wieża ciśnień i stary browar. W Trzemesznie urodziło się lub przebywało wiele znaczących postaci, m.in.: Jan Kiliński – słynny szewc, pułkownik, bohater insurekcji kościuszkowskiej, czy Jędrzej Moraczewski – pierwszy polski premier. Z miastem swoje losy związali: Jędrzej Śniadecki – ojciec polskiej chemii, Franciszek Mertens – słynny matematyk, profesor uniwersytetów w Krakowie i Wiedniu, prof. Kazimierz Zimmermann – rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Wojciech Trompczyński – marszałek Sejmu i Senatu (urodzony w pobliskiej wsi Trzemzał), Mieczysław Paluch – organizator i przywódca powstania wielkopolskiego oraz dowódca drugiego powstania śląskiego, opat Michał Kościeszy Kosmowski, prof. Czesław Łuczak – historyk, rektor UAM w Poznaniu i Jerzy Waldorff – krytyk muzyczny i dziennikarz. We wsi Ławki należącej do gminy Trzemeszno urodził się Hipolit Cegielski – znany Wielkopoleanin.

Dziadkowie

Michalina Kijewska przyszła na świat 24 września 1864 r. w Wilkowie (Barcin). Wojciech Biliński urodził się 23 stycznia 1860 r. w Obudnie jako jeden z bliźniąt. Pochodził z rodziny o tradycjach robotniczo-rzemieślniczych – jego dziadek od strony matki był tkaczem-płóciennikiem.

Wojciech i Michalina pobrali się w roku 1885. Para doczekała się dziesięciorga dzieci, z których dwoje zmarło w wieku wczesnodziecięcym. Dwie najstarsze córki wyemigrowały na stałe do Stanów Zjednoczonych Ameryki. Rodzina, prawdopodobnie w poszukiwaniu lepszych możliwości bytowych, wielokrotnie zmieniała miejsce zamieszkania. Z terenu Kujaw (Wójcin, Nowa Wieś, Szczepankowo i Gąsawa) przenieśli się do Wielkopolski (Strzałkowo i Dolsk). Około 1904 r. (lub wcześniej) Wojciech Biliński pracował jako zegarmistrz, prowadził na Rynku w Dolsku sklep zegarmistrzowski połączony z warsztatem. Zmarł 30 września 1911 r., gdy mój ojciec miał zaledwie pięć lat. Sytuacja bytowa całej rodziny drastycznie się wtedy pogorszyła, bowiem żona, jak większość kobiet w tamtych czasach, nie pracowała zawodowo. Michalina była osobą bardzo religijną, związaną z Kościołem i zaangażowaną w działalność charytatywną.

Zmarła 8 stycznia 1941 r. w Dolsku z przyczyn naturalnych, z dala od rodziny, która w dużej części znajdowała się na wysiedleniu w Generalnym Gubernatorstwie.

Moi dziadkowie po kądzieli, Franciszka Jankowiak z d. Kaczmarek i Józef Jankowiakowie (rodzice mojej mamy Anny), pochodzili z Wielkopolski, z okolic Dolska. Pobrali się w 1885 r. w Dolsku. Doczekali się dziewięciorga dzieci, w tym mojej mamy Anny (dwóch synów poległo podczas I wojny światowej, jeden syn zmarł w Lublinie podczas wysiedlenia w okresie II wojny światowej). Józef był gospodarzem oraz cieślą. Budował m.in. stodoły oraz drogi. W roku 1894, na zebraniu kółka rolniczego w Dolsku, odczytał rozprawę pt. *Jak najtaniej i najtrwalej budować*. Był on również członkiem Straży Ludowej, zaprzysiężonym na rynku w Śremie 22 kwietnia 1919 r. Zmarł w 1928 r. Babcia Franciszka zmarła 1939 roku.

Rodzice i rodzeństwo

Mój tato, Czesław Biliński, z zawodu był zegarmistrzem, mama, z domu Jankowiak, była bez zawodu. Miałem o rok młodszego brata Mieczysława i pięć lat młodszą siostrę Janinę. Swoje dzieciństwo wspominam jako spokojne. Od czwartego roku życia uczęszczałem do ochronki prowadzonej przez siostry zakonne. Warunki mieszkaniowe były wystarczające, choć nie mieliśmy łazienki, a drewniana ubikacja była na podwórzu. Razem z bratem byliśmy urwisami. Do największego wybryku należało czepianie się autobusu: wskakiwaliśmy na drabinkę umieszczoną z tyłu pojazdu i w ten sposób przejeżdżaliśmy każdorazowo około pięćdziesięciu metrów. Na zakręcie autobus musiał mocno zwolnić i w tym momencie zeskakiwaliśmy z drabinki. Ojciec bardzo ostro na to reagował i raz nam się oberwało szczoteczką zegarmistrzowską – niewiele większą od szczotki do zębów i wyposażoną w specjalne włosie. Podczas wymierzania kary złamała się, ale ojciec umiejętnie ją skleił. Później była już pamiątką naszych wybryków.

Ojciec uczył się w Szkole Ludowej w Dolsku. Miał wiele talentów, m.in. plastyczny i muzyczny, wyróżniał się doskonałym słuchem i pięknym głosem, potrafił imitować trele i gwizdanie ptaków. Był także sprawny ruchowo. Później uczęszczał do Szkoły Kupieckiej w Krotoszynie, którą skończył w 1924 r., w wieku 17 lat. W tym samym czasie (1921-23) odbywał praktyki zawodowe w zakładzie zegarmistrzowskim swojego brata Andrzeja (mojego wujka, którego dobrze nie pamiętam, gdyż zginął jeszcze podczas wojny). Uwieńczeniem procesu zdobywania kwalifikacji zawodowych było dla niego zdanie egzaminu czeladniczego w 1928 r. Od września 1928 do marca 1930 r. tata odbywał służbę wojskową w 55. Pułku Piechoty w Lesznie, w stopniu starszy szeregowy, specjalność



Mój tato Czesław Biliński przy pracy w prowizorycznym warsztacie podczas okupacji

strzelec. Egzamin mistrzowski zdał przed komisją egzaminacyjną Izby Rzemieślniczej w Poznaniu w 1938 r. Otworzył zakład zegarmistrzowski w Trzemesznie przy ulicy św. Jana 19, potem św. Jana 2. Należał do Bractwa Kurkowego.

Zawarł związek małżeński z Anną Jankowiak w 1931 r. w kościele w Dolsku. Po ślubie mama przeniosła się do Trzemeszna i tam właśnie w grudniu 1932 r. przyszedłem na świat, w grudniu 1933 r. urodził się mój brat Mieczysław, a w listopadzie 1937 r. siostra Janina.

Ojciec był osobą bardzo kontaktową, uprzejmą, zawsze miał dużo klientów i wielu znajomych.

Spokój rodzinnego życia, choć bardzo ograniczonego ze względu na



Bractwo Kurkowe, Trzemeszno. Mój tato czwarty od lewej

możliwości finansowe rodziców, przerwała mobilizacja ogłoszona w związku z groźbą wybuchu wojny.

Pod koniec sierpnia 1939 r. tata został zmobilizowany do wojska. Nie uczestniczył w żadnych walkach, bo już 30 września dostał się do niewoli niemieckiej. Został zwolniony dopiero 8 grudnia 1939 r. i powrócił do Trzemeszna, jednak niedługo cieszył się powrotem i sklepem, ponieważ jeszcze w tym samym miesiącu zostaliśmy całą rodziną przymusowo wysiedleni przez okupantów niemieckich do Generalnej Guberni. Do Trzemeszna wróciliśmy dopiero wiosną 1945 r. i ojciec odzyskał sklep przy ul. św. Jana.

W połowie 1945 r. przenieśliśmy się do Poznania. Tam od 1947 r. tata prowadził sklep zegarmistrzowski przy ul. Święty Marcin 62 (obecnie 36), ale w 1952 r. został przymusowo przeniesiony przez nowe władze do małego lokalu położonego przy ul. 27. Grudnia 7 (w bramie nieistniejącej już kamienicy), gdzie prowadził jedynie naprawy (bez sklepu). W latach 1952-1954 był członkiem komisji egzaminacyjnej przy Izbie Rzemieślniczej w Poznaniu.

Z czasem u ojca pojawiły się poważne problemy ze wzrokiem, które uniemożliwiały mu dalszą pracę i w 1969 r. przeszedł na zasłużoną emeryturę. Niestety, ze względu na słaby wzrok nie mógł zrealizować marzenia, jakim było kolekcjonowanie i naprawa starych zegarów. Nie potrafił jednak siedzieć beczynnie i spędzał czas na majsterkowaniu oraz opiece nad ogrodem.

Tata doczekał się czworga wnucząt i jednego prawnuka. Ogromnym ciosem była dla niego śmierć mojej mamy w 1991 r., która odebrała mu radość życia – zmarł zaledwie rok później.

W opinii mojej i rodzeństwa mama była wyjątkowo dobrym człowiekiem. Dbała o nas każdego dnia, przygotowywała jedzenie, szła lub przerabiała ubranka. Była prawdziwym organizatorem życia codziennego. Dla mnie osobiście była najcudowniejszym człowiekiem na świecie. Od wczesnych lat mojego dzieciństwa do końca jej życia była mi bardzo bliska. Co prawda, może nie w pierwszych latach dziecięcych, ale trochę później, zawsze mówiłem do niej: „Moja kochana mamusia”. Czasami rodzeństwo pokpiwało, że jestem takim maminsynkiem, a ja z takim określeniem w pełni się zgadzałem. Zawsze mamę odwiedzałem z bukietem kwiatów. Wspierałem mamę w bardzo różnych sytuacjach przez całe życie, szczególnie w okresie mojej działalności zawodowej i społecznej. Pomagałem przy utrzymaniu dużego ogrodu, koszeniu trawy (początkowo jeszcze kosą lub sierpem, potem kosiarką), w przygotowywaniu warzywniaka, kompostownika, obcinaniu żywopłotów i krzewów. Zawsze byłem do dyspozycji. Pozostałe rodzeństwo, co prawda, współuczestniczyło, ale jednak rzadko, przede wszystkim ze względu na stan zdrowia albo brak zamiłowania do pracy ogrodniczej.

Zawsze byłem pełen uznania dla mojej mamy: nie tylko zajmowała się gospodarstwem domowym, organizowała codzienne życie, ale – co chciałbym szczególnie podkreślić – prowadziła dom otwarty dla krewnych i znajomych. Często przyjeżdżali do nas krewni z województwa poznańskiego w sprawach służbowych lub edukacyjnych. Pobyty niektórych osób były jednodniowe lub dwudniowe, ale były również przypadki, że krewni przebywali po trzy albo i więcej miesięcy, celem ukończenia na przykład kursów specjalistycznych. W związku z tym mama była ciągle zajęta i nie miała czasu na wypoczynek czy rekreację. W późniejszych latach życia, często z mojej inicjatywy i przy mojej pomocy, rodzice wyjeżdżali do sanatorium. Najczęściej ja zwoziłem ich samochodem do określonych miejscowości, z kolei w przywożenie rodziców angażował się brat. Dzisiaj, już po trzydziestu czterech latach od jej śmierci, żywię wielki szacunek dla mojej matki.

Mój brat Mieczysław przyszedł na świat 12 grudnia 1933 r. Tak jak i ja uczył się w Liceum św. Marii Magdaleny. Gdy był w ostatniej klasie, ówczesne władze szkołę rozwiązały, zostawiając uczniów na przysłowiowym „łodziu”. Mieczysław wykorzystał ten czas na uzyskanie uprawnień czeladniczych w zakładzie zegarmistrzowskim ojca. Maturę zdał jako uczeń szkoły ogólnokształcącej dla pracujących. Od wczesnej młodości jego wielką pasją były sporty motorowe, które uprawiał jako właściciel ciężkiego motocykla IŻ-49. Studia rozpoczął na Politechnice Poznańskiej, ale później przeniósł się na Politechnikę Warszawską, na nowo utworzony kierunek, jakim była wówczas mechanika precyzyjna. Jednocześnie w trakcie nauki odbywał obowiązkowe wówczas Studium Wojskowe, które ukończył, otrzymując stopień podporucznika rezerwy wojsk pancernych. Po uzyskaniu dyplomu inżyniera powrócił do Poznania i bardzo szybko otworzył prywatny zakład mechaniki precyzyjnej przy ul. Garbary, później przeniesiony na ul. Szubińską.

Mietek projektował i wytwarzał różne przedmioty, m.in. igły chirurgiczne, elementy regulujące łóżka szpitalne czy nawet podzespoły do pierwszych polskich komputerów osobistych Meritum. Ówczesne władze nie darzyły sympatią „prywatnej inicjatywy”, więc latem, gdy zawodowi oficerowie brali urlopy, brat był często wzywany do poznańskiego Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych, by szkolić młodych czołgistów. Na początku lat 60. brat ożenił się z Barbarą Frankowską – magister historii, którą jeszcze w czasach licealnych poznał za pośrednictwem naszej siostry. Janka i Basia razem chodziły do Liceum Ogólnokształcącego nr 8 i bardzo się wówczas przyjaźniły. Przyszła żona Mietka bywała w naszym domu przy ul. Sowińskiego częstym gościem. Z tego związku Mietek miał córkę Agatę, później doczekał się wnuka Aleksandra i wnuczki Inki.

Jak już wspomniałem, przez całe życie Mietkowi towarzyszyło zamiłowanie do motoryzacji. Dlatego zaangażował się w działalność Automobilklubu



Tablica pamięci poświęcona mojemu bratu Mieczysławowi Bilińskiemu

Wielkopolskiego i zaczął startować w rajdach oraz wyścigach. Był jednym z pomysłodawców budowy toru wyścigowego w Poznaniu. W gronie podobnych sobie inżynierów-zapaleńców związanych z Automobilklubem zasiadł do stołu kreślarskiego. W krótkim czasie opracował trajektorię jezdni, geometrię zakrętów oraz przygotował plany, które posłużyły do budowy najdłuższego toru wyścigowego w Polsce.

Tor oficjalnie otwarto w grudniu 1977 r. i do dziś służy on pasjonatom wyścigów samochodowych oraz motocyklowych. Jego charakterystyka, techniczna kompleksowość i długość sprawiają, że jest wysoko ceniony przez polskich i zagranicznych kierowców.

Jeszcze na krótko przed śmiercią w 2003 r. Mietek brał udział w rajdach organizowanych przez Automobilklub, startując w nich błękitnym Mercedeselem SLC. Okazjonalnie sędziował także wyścigom na Torze Poznań, którego był współtwórcą.

Co ciekawe, gdy zajmował się chronometrażem i mierzył czas, w którym kierowcy pokonywali okrążenie, używał do tego przedwojennego stopera otrzymanego w prezencie od naszego ojca.

Siostra Janina po ukończeniu LO nr 8 w Poznaniu i równolegle siedmioletniej Państwowej Szkoły Muzycznej I stopnia (w klasie fortepianu) podjęła studia na Wydziale Historii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. W czasie studiów, zgodnie ze swoimi wcześniejszymi zainteresowaniami, śpiewała w studenckim chórze przy Politechnice Poznańskiej, którego założycielem i dyrygentem był prof. Stefan Stuligrosz. Można powiedzieć, że w ten sposób moja siostra podtrzymała tradycje rodzinne, gdyż ja i mój brat Mieczysław śpiewaliśmy, choć on znacznie krócej, w chłopięcym chórze Stefana Stuligrosza. Śpiewaliśmy zresztą nie tylko w chórach, ale również w domu – wszyscy razem, przy akompaniamencie grającej na pianinie siostry. W naszym „rodzinnym chóрку” szczególnie wyróżniał się głos ojca. W roku 1961 siostra uzyskała tytuł magistra historii i zgodnie z wykształceniem rozpoczęła pracę w szkolnictwie. Po kilku latach zapisała się na dwuletnie studium doktoranckie z nauk politycznych na UAM w Poznaniu. Uzyskany tytuł doktora pozwolił jej na rozpoczęcie pracy jako adiunkt na Wydziale Turystyki i Rekreacji Akademii Wychowania Fizycznego. Na tym samym wydziale pełniła później przez kilka lat funkcję prodziekana. Obecnie jest na emeryturze.



Moja siostra Janina Bilińska z córką Magdaleną w dniu obrony jej pracy magisterskiej, Bolonia 1999 r.



Z rodzicami i rodzeństwem



Zdjęcie rodzinne. Od lewej brat Mieczysław, mama Anna, ja, ojciec Czesław, siostra Janina

Siostra zawsze lubiła dobre kino oraz książki, szczególnie o tematyce historycznej, politycznej oraz biografii. Mimo podeszłego wieku nadal oddaje się tym pasjom. Siostra ma jedną córkę, Magdalenę (ur. 1971), która jest tłumaczem oraz nauczycielem języka włoskiego.

Moja Rodzina

Żona Marylka

Wspaniały partner naszego wspólnego życia, Maria Bilińska z domu Wilkowska-Sariusz, urodziła się 26 września 1937 r. w Głownie (woj. łódzkie). Po zakończeniu II wojny światowej wraz z rodzicami i dwoma braćmi przeprowadziła się do Gdyni. Warunki mieszkaniowe były bardzo trudne, choć z biegiem lat wyraźnie się polepszały. Marylka podjęła studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, które ukończyła w 1957 r. Nie planowała kariery sędziowskiej, prokuratorskiej, adwokackiej czy radcowskiej. Zamierzała pracować w administracji rządowej lub samorządowej. Pierwszą pracę podjęła w Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych w Poznaniu na stanowisku referenta. Następnie, aż do zakończenia pobytu w Poznaniu, pracowała w Wydziale Organizacyjno-Prawnym Urzędu Wojewódzkiego.



Z żoną i synami na spacerze

W 1959 r. zawarliśmy związek małżeński. W 1960 r. urodził się nasz syn Mirosław, a rok później – Tomasz. W 1976 r. zamieszkaliśmy w Zielonej Górze, gdzie Marylka podjęła pracę w Urzędzie Wojewódzkim w podobnym jak w Poznaniu wydziale. Nasi synowie kontynuowali naukę w szkole średniej. W latach 1982-1984 wspólnie z Marylką i synami przebywaliśmy w Algierii. Po powrocie z zagranicy żona kontynuowała pracę w Urzędzie Wojewódzkim w Zielonej Górze.

Marylka była wspaniałym towarzyszem życia małżeńskiego. Nie tylko opiekowała się domem, pracowała zawodowo, ale – co chciałbym podkreślić – zawsze mnie wspierała i pomagała. Często mówiła: „Nie mam co pisać na maszynie, zabierz się do pracy”. Niekiedy przy różnych okazjach i w różnych gremiach żartobliwie stwierdzała: „Co? Tadeusz coś napisał? To przecież ja mu wszystko napisałam!”. Rzeczywiście, w zdecydowanej większości wszystkie publikacje z brudnopisów przepisywała Marylka.

Zmarła nagle, w wieku 53 lat. To wydarzenie do dzisiaj budzi we mnie bunt. Nie mogę się pogodzić z losem, jaki mnie spotkał. Niestety, nie zdążyłem odwdziaczyć się jej za nasze wspaniałe wspólne życie.



Zdjęcie ślubne z żoną Marylką

Mirosław Paweł Biliński

Mirosław Paweł Biliński urodził się 23.06.1960 r. w Poznaniu. Od 1976 r. mieszkaniec Zielonej Góry. Żonaty. Żona Małgorzata jest magistrem historii. Ma dwoje dzieci z poprzedniego małżeństwa, syna Krystiana, córkę Annę i jedną wnuczkę Emilię. Absolwent LO nr VII w Zielonej Górze. W latach 1980-1985 ukończył prawo na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. W 1987 r. aplikację sądową przy Sądzie Okręgowym w Zielonej Górze a w 1990 r. aplikację radcowską. Asesor sądowy w Sądzie Rejonowym w Świebodzinie. Od 1990 r. czynny radca prawny specjalizujący się w obsłudze podmiotów gospodarczych, w tym banków, głównie jako kancelaria zewnętrzna. Prezes i członek zarządu kilku spółek, likwidator, członek rad nadzorczych. W latach 1998-2002 radny

miasta Zielona Góra. Wieloletni delegat Lubuskiej Okręgowej Izby Radców Prawnych. Jeździ dla zdrowia na rowerze i lubi czytać książki.

Tomasz Biliński

Urodził się 18 grudnia 1961 r. w Gdyni. Ukończył szkołę średnią o profilu sportowym w Zielonej Górze i studia w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Zielonej Górze na kierunku wychowanie techniczne. Prowadzi prywatną działalność gospodarczą. Pracował w kancelarii komornika na 1/2 etatu przez okres trzech lat. Jego hobby to sport, przede wszystkim lekkoatletyka. W skoku wzwyż osiągnął wynik 2,07 m, a w dziesięcioboju lekkoatletycznym zdobył mistrzostwo i wicemistrzostwo województwa zielonogórskiego.

Elżbieta Bilińska

Moja druga żona, Elżbieta, z domu Filanowska, urodziła się 28 lutego 1942 r. w Sochaczewie (woj. mazowieckie). Córka Władysławy i Józefa (z zawodu introli-gatora). Po ukończeniu szkoły średniej Elżbieta podjęła studia w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu na Wydziale Humanistycznym na kierunku filologia polska. Po studiach podjęła pracę jako nauczycielka języka polskiego w szkole średniej. Przez krótki okres pracowała także w Wydziale Kultury Urzędu Wojewódzkiego w Opolu. Po przeprowadzce do Zielonej Góry pracowała w Centrum Kształcenia Ustawicznego: najpierw jako nauczyciel języka polskiego, a w końcowych latach przedemerytalnych jako metodyk. Niemal przez całe życie walczyła o lepszy stan zdrowia. W styczniu 2013 r. wystąpiło u niej wysokie ciśnienie krwi, a następnie udar i wylew. Prawie cztery miesiące trwała walka o jej życie i sprawność. Niemal codziennie odwiedzałem ją w szpitalu, niekiedy nawet dwa razy dziennie. Organizowałem przygotowanie specjalnego pokarmu, bardzo często ją karmiłem. 27 kwietnia 2013 r. wystąpiło u Elżbiety ostre zapalenie oskrzeli i lekarzom, niestety, nie udało się jej uratować.

Elżbiecie zawdzięczam wiele pięknych lat wspólnego życia.



Ślub z drugą żoną Elżbietą

Część II

Lata II wojny światowej (1939-1945)

Wysiedlenie

Radość, że rodzina jest w komplecie, nie trwała długo. We wrześniu 1939 r. zostaliśmy wysiedleni. Przedstawiciel urzędu miasta wraz z żołnierzem niemieckim obwieścili, że z rozkazu zarządu miasta mamy w ciągu dwóch godzin opuścić mieszkanie. Mogliśmy zabrać tylko to, co byliśmy w stanie unieść. Ja i brat mieliśmy plecaczki, do których mama włożyła drobne rzeczy, trochę jedzenia oraz napoje. Cały dobytek, który mogliśmy zabrać, został wrzucony do worka, który był niesiony przez ojca. Mama musiała zająć się naszą siostrzyczką – wówczas dwuletnią Janeczką, a oprócz tego także niosła część dobytku.

Na rynku stały wozy konne, po jednym dla każdej wysiedlanej rodziny. Choć nie zawsze było to przestrzegane. Do rynku nie było wprawdzie daleko, jakieś pięćdziesiąt metrów, ale tę drogę trzeba było pokonać pieszo. Dla nas, chłopaków, nie stanowiło to problemu, ale dla matki, która trzymała jeszcze na rękach siostrzyczkę, czy ojca, który niósł cały nasz dobytek, było już dużo trudniejsze. Niemcy zawieźli nas pod eskortą z rynku na dworzec kolejowy i tam skierowano nas do odpowiedniego wagonu, a dokładnie do przedziału klasy trzeciej, wraz z dwiema innymi rodzinami – pięcioosobową i trzyosobową. Warunki podróży były więc bardzo trudne, dzisiaj już raczej niewyobrażalne. Nieznany był cel tej drogi ani kierunek. Jechaliśmy około półtora dnia, a właściwie pół dnia i całą noc z jednym krótkim przystankiem. Następnego dnia w południe pociąg stanął, nakazano nam opuścić wagon i wraz z innymi wysiedlonymi zostaliśmy skierowani do obozu przejściowego, do którego wiodła polna droga. Największe trudności w pokonaniu tego odcinka pieszo znów miał mój ojciec. Był bardzo wyczerpany po kampanii wrześniowej 1939 r., a teraz musiał dźwigać ciężki wór z całym dobytkiem. W pewnym momencie się przewrócił i razem z bratem pomagaliśmy mu się podnieść. W końcu dotarliśmy do bram obozu przejściowego. Wysiedlone rodziny ustawiono w długi szereg, każda musiała podejść do stanowiska kontroli, gdzie odbywało się sprawdzenie tożsamości, rewizja osobista i bagażu. Mojej mamie w czasie rewizji zabrano obrączkę i łańcuszek

z medalikiem. Ojciec nieco wcześniej się zorientował, że przeprowadzana jest rewizja osobista, w czasie której Niemcy zabierają drogocenne przedmioty, i swoją obrączkę ślubną włożył do latarki między baterie. W czasie kontroli Niemiec zażyczył sobie włączenia latarki. Na szczęście zadziałała i Niemiec nie kazał jej otworzyć. Tak więc naszym jedynym majątkiem była obrączka ojca, trochę jedzenia, jakieś ubranie i kocyk z poduszczką. Po przeprowadzonej kontroli skierowano nas na teren obozu utworzonego w wielkim gospodarstwie rolnym, z dużym placem i zabudowaniami gospodarczymi.

Moją rodzinę na nocleg skierowano do świniarni. Chcę jednak podkreślić, że było tam czysto, ale posadzka – betonowa czy z polepy glinianej – nie dawała komfortu, zwłaszcza że dni były już coraz chłodniejsze. Mieliśmy z bratem zadanie pozierać leżącą słomę na dość dużym placu znajdującym się za budynkiem świniarni. Niewiele nam się udało jej zdobyć, bo zbierali ją także inni wysiedleńcy. Na środku placu była studnia z pompą, z której można było nabrać wody. Pod żadnym pozorem nie można było opuszczać obozu, ale można było się zbliżyć do ogrodzenia z drutu kolczastego. Na szczęście Niemcy nie reagowali, gdy się zbliżały do niego dzieci ze wsi i przynosiły nam trochę jedzenia. Życie w obozie było trudne, ale spokojne.

Po kilku dniach wczesnym rankiem zarządzono pobudkę i poinformowano nas, że z obozu przejściowego będziemy skierowani do miejsca docelowego. Jakiego? Nie mówiono. Kazano nam uformować szereg ze wszystkich rodzin i zostaliśmy skierowani ponownie na stację kolejową. Droga wydawała się jeszcze bardziej męcząca niż poprzednio, ponieważ wszyscy byliśmy wycieńczeni. Teraz na stacji zostały podstawione wagony towarowe, kryte. Do każdego kierowano kilka, może kilkanaście rodzin. Byliśmy bardzo stłoczeni, ale ponieważ na dworze było już bardzo zimno, to dzięki temu nie odczuwaliśmy negatywnego wpływu niskiej temperatury.

Garwolin

Tym razem podróż była krótka, trwała jeden dzień. Okazało się, że stacją docelową był Garwolin, wówczas nieduże miasto w województwie warszawskim.

Poinformowano wszystkich, że na zapleczu dworca stoją wozy konne i każdy wóz będzie zabierał jedną rodzinę. Mój ojciec i jego bliski znajomy, Józef, nie zdecydowali się jednak na takie rozwiązanie. Przede wszystkim dlatego, że nie było wiadomo, jak będzie wyglądało życie w Garwolinie. Również dlatego, że przyjaciel ojca miał brata w Lublinie, który wcześniej opuścił Trzemeszno, przewidując konflikt zbrojny z Niemcami. Zdecydowano, że w najbliższym możliwym terminie pojedziemy do Lublina. Rodzice mieli niewiele pieniędzy,

choć przed opuszczeniem obozu przejściowego każda rodzina dostała jakąś niewielką kwotę.

Lublin

Do Lublina przyjechaliśmy z nadzieją, że dość szybko znajdziemy brata Józefa, który miał tylko bardzo ogólne informacje, gdzie i w której dzielnicy miasta on mieszka, bez dokładnego adresu. Do czasu jego odnalezienia dwie rodziny, moja i Józefa, razem ulokowały się w poczekalni w narożniku, odgradzając się kilkoma krzesłami. Poczekalnia była prawdopodobnie podzielona na dwie części: osobno dla Polaków i Niemców, ale co istotne – bufet był wyłącznie dla Niemców. Co prawda, mój ojciec znał język niemiecki, kończył bowiem szkołę podstawową i szkołę kupiecką, w których ten język obowiązywał, ale jego kolega Józef lepiej się nim posługiwał (zdał maturę w tym języku). Ja towarzyszyłem mojemu ojcu, a koledze ojca towarzyszył jego syn Walerian. Ojcowie zwrócili się w języku polskim do barmanki i zamówili jedzenie, bowiem, jak wspominałem, mieliśmy drobne pieniądze na przejazd. Nagle pojawiło się dwóch żandarmów niemieckich, którzy kategorycznie zabronili sprzedaży i w ostrych słowach odezwali się do naszych ojców. Na to pan Józef ze spokojem (miał zresztą charakter flegmatyka) odpowiedział grzecznie piękną niemieczyzną: „My wiemy, że to jest wyłącznie dla Niemców, ale nas wysiedlono z województwa poznańskiego. Jesteśmy tutaj z rodzinami i musimy jakoś przetrwać, coś zjeść”. Po kilku kolejnych zdaniach Niemcy zaniemówili, do tej pory pamiętam ich twarze. Nie wiedzieli, co powiedzieć. Ocenilem, że Józef posługiwał się językiem niemieckim poprawniej niż oni. W końcu ocknęli się i zaczęli pytać: „Dlaczego was wysiedlili?”. Ojcowie odpowiedzieli, że nie wiemy. Zapytali: „Jakie zawody wykonywaliście?”. Kolega ojca odpowiedział, że był urzędnikiem, a ojciec, że jest zegarmistrzem. Niemcy nie mogli pojąć, że Polacy, którzy tak dobrze znali język niemiecki, zostali wysiedleni bez żadnego powodu. Nic już nie mówiąc, odeszli po kilku dodatkowych zdaniach wypowiedzianych w ich języku przez mojego ojca. Zabraliśmy jedzenie i na jakiś czas zaspokoiliśmy głód. Ojcowie od samego świtu poszli szukać brata Józefa – Antoniego. Znaleźli go na peryferiach miasta. Dzięki jego życzliwości przebywaliśmy tam jakieś cztery, pięć dni, podczas gdy mój ojciec intensywnie szukał mieszkania w mieście, najlepiej w centrum, gdzie był większy ruch. Było to ważne ze względu na jak najszybszą możliwość podjęcia przez niego pracy w warsztacie zegarmistrzowskim. W końcu znalazł przystosowany do zamieszkania lokal, który znajdował się na trzecim piętrze budynku przy ulicy Krakowskie Przedmieście 32. Pomieszczenie miało nieocieplony strych, ale, co ważne, był tam też piec kaflowy, na którym można było

gotować i przy nim się ogrzać. Plusem mieszkania była też ubikacja znajdująca się w drugiej, niezagospodarowanej części strychu. Za umeblowanie służyło jedno, za to bardzo szerokie łóżko małżeńskie, jakiś stół i krzesło.

Pierwsze noce spaliśmy w piątkę. Po pewnym czasie w mieszkaniu znalazło się jeszcze jedno łóżko i stół będący miejscem pracy mojego ojca, który chciał jak najszybciej przystąpić do wykonywania swojego zawodu. Był to przecież jedyny sposób na utrzymanie rodziny. Na własnoręcznie zrobionej tablicy informacyjnej napisał „Zegarmistrz”, narysował tarczę zegara i dodał, że jest to oficyna na trzecim piętrze. Za zgodą dozorcę tablicę wywiesił na frontonie budynku i czekał na pierwszych klientów. Ponieważ w okolicach nie było żadnego zegarmistrza, już po kilku dniach przyszli pierwsi klienci. Ojcu brakowało jednak odpowiednich narzędzi, których ze względu na ograniczenia związane z zabraniami innych przedmiotów niezbędnych do przeżycia nie mógł zabrać z Trzemeszna. Był jednak człowiekiem przewidującym i tuż przed opuszczeniem mieszkania przekazał sąsiadowi niedużą, ale ciężką walizczkę, w której umieścił tokarkę precyzyjną, różne części zamienne i narzędzia zegarmistrzowskie. Szybko więc podjął decyzję, aby moja mama pojechała do Trzemeszna i przewiozła tę walizkę. Zadanie było trudne, jednak mama, młoda, trzydziestoletnia kobieta podjęła się jego wykonania. Przekroczyła tak zwany punkt przejściowy między Generalną Gubernią a Warthegau i bez większych trudności wróciła do Trzemeszna. Sąsiad szybko ją rozpoznał i wydał walizkę. Powrót do Lubina zajął jej kilka dni.

W tym czasie było święto Bożego Narodzenia i wigilię spędziliśmy bez mamy. Jedyną potrawą na stole był chleb z wątrobianką nie tylko dlatego, że ojciec nie miał jeszcze pieniędzy na zakupy, ale ciężko było w ogóle kupić cokolwiek. Po powrocie mamy życie wróciło do normalności. Ojciec miał coraz więcej klientów, a w ślad za tym pieniędzy pozwalających na skromne, ale spokojne życie.

Jednymi z pierwszych klientów byli niemieccy żołnierze. Pierwszy, który odwiedził warsztat ojca, był bardzo zaskoczony, że ojciec zna niemiecki i mógł się z nim szybko porozumieć. Powiedział o tym swoim kolegom i co pewien czas pojawiali się kolejni żołnierze oraz mieszkańcy z zegarkami do naprawy. Bywały i takie sytuacje, że Niemiec jako zapłatę za naprawę zegarka przyniósł chleb wojskowy, zwany komisiakiem.

To spokojne życie zostało przerwane przejmującym zdarzeniem. Pewnej niedzieli cała nasza rodzina zamierzała pójść do kościoła. Była taka rodzinna tradycja, że gdy wychodziliśmy z budynku, zawsze pierwsza szła mama. Było to powodowane głównie ostrożnością: trzeba było najpierw się zorientować, jaka jest sytuacja na zewnątrz. Tym razem, gdy wychodziliśmy z domu, było inaczej. Coś mamie zabrałem, a mama chciała mi to odebrać. Trwało to zaledwie kilka

sekund. Oddałem tę rzecz, ale w tym czasie ojciec pierwszy wyszedł z budynku i od razu usłyszał od Niemców: „Ręce do góry!”. Postawił na ziemi siostrę, którą miał na rękach, i wykonał polecenie. Przywołano go do wyjścia z budynku i, tak jak wielu innym mieszkańcom, Niemcy wskazali miejsce na środku jezdni. A zatem była to łapanka. Po jakimś czasie została uformowana kolumna ludzi, głównie mężczyzn, których skierowano na plac. Tam ustawionych było kilka stanowisk, przy których siedzieli żołnierze niemieccy, a inni formowali kolejki do poszczególnych stołów. Kiedy ojciec stanął we wskazanej kolejce, zauważył, że przy stoliku innej kolejki siedział żołnierz, który zostawił u niego zegarek do naprawy. Wprawdzie Niemcy pilnowali porządku, ale ojciec obserwując wartowników, wyczuł właściwy moment i stanął w innym miejscu.

Ludzie z łapanki kolejno podchodzili do stołu. Odbываła się kontrola tożsamości i zapadały decyzje kierujące złapanych na roboty do Niemiec, w szczególnych przypadkach – na policję. Ci, którzy pracowali w zakładach produkujących dla wojska niemieckiego, byli zwalniani.

Kiedy Niemiec zobaczył ojca stojącego przed stołem, szybko go rozpoznał i zapytał: „Co ty tu robisz?”. Ojciec po niemiecku odpowiedział, że złapano go, gdy chciał iść z rodziną do kościoła. „A mój zegarek jest już naprawiony?” – zapytał Niemiec. Ojciec odpowiedział: „Zegarek jest rozebrany, wyczyszczony i naprawiony. W najbliższym czasie będzie gotowy do odbioru”. Niemiec pomruczał coś pod nosem i wypisał zezwolenie ojcu na opuszczenie placu.

Zdawaliśmy sobie sprawę, że bez ojca bardzo trudno będzie nam żyć. Najbardziej załamana była matka, która – bez zawodu i znajomości – pozostałaby sama z trójką dzieci. Gdy ojciec wrócił do domu, wszyscy płakaliśmy z radości i ulgi. Od tego feralnego dnia, dla bezpieczeństwa, ojciec raczej rzadko wychodził z domu, ja i brat pomagaliśmy мамie w zakupach.

W Lublinie uczęszczaliśmy do szkoły, chociaż nauka była przerywana z różnych przyczyn, np. niskich temperatur w okresie zimowym, bowiem w tym czasie zdarzały się mrozy sięgające minus 30 stopni Celsjusza. Chodniki i jezdnie nie były odśnieżane i w czasie zimy jeździły sanie należące do rolników lub zakładów pracy. Były także dorożki na żelaznych płozach.

W Lublinie pozostaliśmy do wiosny 1942 r. Ojciec podjął decyzję o przeprowadzce, pomimo iż warunki życiowe były ustabilizowane. Coraz częściej jako klienci przychodzili do zakładu Niemcy, którzy chętnie tam przesiadywali, by porozmawiać o sytuacji wojennej lub żeby się dowiedzieć, co społeczeństwo polskie myśli o wojnie i okupantach. Ojciec czasami opowiadał nam o tych rozmowach, gdy Niemcy przymuszali go do udzielenia odpowiedzi, której on kategorycznie unikał. Ojciec nie lubił politykowania, dlatego sytuację tę uznał za niebezpieczną. Znajomość języka niemieckiego była ojcu bardzo potrzebna i pomocna, ale istniała obawa, że obserwujący dom Polacy mogą pomyśleć, że

ojciec przekazuje jakieś informacje o innych mieszkańcach. Dlatego nawiązał dość szybko kontakt ze znajomym z Trzemeszna, który był również wysiedlony, ale do Garbatki, niedużej wsi pod Radomiem, mającej po części charakter letniskowy. Zorganizował transport i niespodziewane dla wszystkich opuściliśmy Lublin.

Garbatka

W Garbatce zamieszkaliśmy w domku letniskowym. Wprawdzie otoczenie było piękne, dookoła las, trochę przestrzeni na ogród, ale sama miejscowość była bardzo mała. W nowym miejscu ojciec starał się pozyskać klientów przez rozwieszenie różnych informacji o naprawianiu zegarków, ale klientów jednak nie było wielu. W najbliższej okolicy była tylko jedna większa wieś, a ponadto nie wszyscy w czasie wojny mieli już zegarki, szczególnie w takich miejscach. Życie jednak toczyło się spokojnie. Ja hodowałem króliki, niekiedy nawet kilkanaście sztuk. Moim obowiązkiem było dostarczanie dla nich odpowiedniej ilości zielonej karmy, a w okresie zimowym zdobywanie siana i gotowanie ziemniaków. Często z okazji dni świątecznych królik stanowił podstawową potrawę dla całej



Z rodziną w Garbatce. Siedzę po lewej. Czasy okupacji

rodziny. Miałem także za zadanie zbieranie suchych szyszek, z braku papieru stanowiących podpałkę do pieca, w którym paliliśmy drewnem.

W Garbatce przebywaliśmy do wiosny 1944 r. Było już bardzo niebezpiecznie, bo zbliżał się front. Co pewien czas zdarzały się bombardowania przez lotnictwo rosyjskie i alianckie znajdującego się niedaleko Garbatki lotniska w Dęblinie. Szczególnie efektownie wyglądało bombardowanie w nocy: najpierw teren został oświetlony tysiącami lampionów, opadających wolno na teren lotniska, a następnie samoloty zrzucały bomby. Dęblin przez pewien czas był zapleczem dla Wehrmachtu, stanowił więc strategiczny punkt w działaniach wojennych.

W związku z niebezpieczną sytuacją rodzice postanowili przeprowadzić się do Częstochowy. Przeprowadzka, jak zwykle, nie była skomplikowana, ponieważ nadal nie mieliśmy zbyt wiele rodzinnego majątku.

Częstochowa

W Częstochowie zamieszkaliśmy w dzielnicy Stradom, w budyneczku na przedmieściach, blisko koszar wojskowych. Do dyspozycji mieliśmy właściwie jeden duży pokój i skromną kuchnię. Było ciasno, ale dla nas wystarczająco. Tak jak w poprzednich miejscach pobytu, w czasie wysiedlenia ojciec starał się poinformować o swojej działalności lokalną społeczność poprzez ogłoszenia rozwieszane w okolicy. Ze względu na bliskość koszar wśród klientów zdarzali się także Niemcy, których sytuacja na froncie była już bardzo niekorzystna. Po przegranej bitwie pod Stalingradem wojska ciągle się wycofywały i istniało niebezpieczeństwo dla mieszkańców miasta, że opuszczający miasto okupant będzie plądrował domy. Między innymi ze względu na to ojciec rzadko wychodził z mieszkania. Pokój, w którym mieszkaliśmy, miał jedną dodatkową przestrzeń pod podłogą. Nie była to piwnica, ale miejsce, do którego mogły się schować dwie lub trzy osoby. Wejście było na środku pokoju, przykryte klapą, na której był dywanik, a na nim stał stół. Razem z mamą, w obawie przed aresztowaniami, przeciwiczyliśmy sposób zamykania ojca w tym pomieszczeniu. Może wydaje się dziwne, że wspominam taki drobiazg, ale rodzice doszli do wniosku, że wejście ojca do tego schowka musi być opanowane w sposób doskonały. W przypadku niebezpieczeństwa trzeba było w ciągu kilkunastu sekund otworzyć włącznik i go zamknąć. To zadanie należało do mnie, jako najstarszego z rodzeństwa i najwyższego w rodzinie, oraz mamy. Polegało to na tym, że w tym samym czasie odsuwaliśmy po jednym krzeselku, potem odstawialiśmy stół, przesuwaliśmy dywanik i otwieraliśmy włącznik. W kryjówce było zimno, więc ojciec musiał zabrać swój płaszcz, butelkę wody i kawałek chleba. Okazało się, że te ćwiczenia przydały się dwukrotnie. Raz na dworze słychać było alarm i hałas, że Niemcy

przeszukują mieszkania i rabują. Wtedy szybko schowaliśmy ojca, jednak nikt wtedy nie wszedł do mieszkania. W ramach oblężenia Częstochowy Niemcy uciekali również z koszar. Jak się okazało, żołnierze nie mieli czym odjechać, w związku z czym wpadali z okrzykiem do domów w poszukiwaniu rowerów, motocykli, zabierali konie. Nie szukali ojca, ale dla pewności schowaliśmy go do kryjówki pod podłogą w ciągu dwudziestu sekund. Podobnie jak sąsiedzi mieliśmy szczęście, bo nie dysponowaliśmy ani rowerem, ani koniem.

W Częstochowie mama chętnie chodziła na roraty o szóstej rano. Było to trochę niebezpieczne, dlatego zawsze zabierała mnie ze sobą. Kościół był oddalony o prawie dwa i pół kilometra. Jednak nie był to dla mnie problem, a mama była zadowolona, że jej towarzyszyłem i że mogła być obecna na mszy.

W Częstochowie również chodziłem do szkoły, jednak moja nauka nie była systematyczna. Wiedzę starałem się uzupełniać w domu ćwiczeniami rachunkowymi i czytaniem książek.

Częstochowa nie była zdobywana. Jedynym ważniejszym incydentem była sytuacja, gdy w centrum miasta ustawił się niemiecki czołg „tygrys”, który zablokował wjazd od strony Warszawy. Gdy ostrzelał radzieckiego T-32, to „tygrys” kilkoma strzałami szybko go wyeliminował. Kiedy nadjechał drugi czołg radziecki, sytuacja się powtórzyła. Dopiero trzeci T-32 zajechał „tygrysa” od tyłu i zniszczył go strzałem w wieżyczkę.

Od przypadkowych strzałów zginęło kilkanaście, a może i kilkadziesiąt osób. Rosjanie zdobyli Częstochowę i poszli dalej. Linia frontu szybko się przesunęła na zachód i już na początku 1945 r. rodzice planowali jak najszybszy powrót do Trzemeszna.

Rok 1945 – powrót do Trzemeszna

Wiosną 1945 r., jeszcze przed zakończeniem wojny, przyjechaliśmy do Trzemeszna. Mieliśmy ogromne szczęście, że cała rodzina wróciła żywa i zdrowa. Powrót do rodzinnego miasta odbył się bez większych przeszkód i z wielką radością wróciliśmy do naszej lokalnej społeczności. Zamieszkaliśmy w tym samym mieszkaniu, które na szczęście nie było zniszczone i miało ciągle te same meble. Po pięciu i pół roku na wygnaniu, wędrowce z miejsca na miejsce, w ciągłym niebezpieczeństwie, że może zdarzyć się coś nieprzewidywalnego, wreszcie poczuliśmy – szczególnie moi rodzice – swobodę, szczęście i pewność, że już nic nam nie grozi.

Ojciec szybko przystąpił do wykonywania prac zegarmistrzowskich, a mama organizowała na nowo życie domowe.

Część III

Lata młodości

Gimnazjum i Liceum im. Jana Kilińskiego w Trzemesznie

Pierwszą istotną sprawą, którą pamiętam, było zgłoszenie mnie do Gimnazjum i Liceum im. Jana Kilińskiego. Zgłoszenie przyjęto, poproszono mnie na krótką rozmowę, po której komisja stwierdziła, że będę mógł być przyjęty do klasy drugiej gimnazjum, jeśli w ciągu najbliższych wakacyjnych miesięcy postaram się poszerzyć swoją wiedzę, a jeśli spełnię ten warunek, nie będę miał żadnych opóźnień w edukacji, co w okresie powojennym było powszechnym zjawiskiem.

Uczyłem się solidnie i po kolejnym spotkaniu z zespołem nauczycieli zostałem przyjęty do drugiej klasy. W trakcie roku szkolnego uczyłem się dobrze, choć warunki nauczania były bardzo trudne: lekcje odbywały się w zastępczych pomieszczeniach, szkoła bowiem została częściowo zburzona. Przypominam sobie, że brałem udział w czynach społecznych polegających na odgruzowywaniu budynku. Skierowano mnie do grupy najmłodszych uczniów, których zadaniem było oczyszczanie cegieł z zaprawy i układanie ich w stopy. W tym samym czasie grupa starszych uczniów wyciągała cegły przy zachowaniu wielkiej ostrożności, w każdej chwili bowiem mogły się zaważyć istniejące jeszcze ściany.

W drużynie ZHP

W Trzemesznie wraz z rozpoczęciem nauki wstąpiłem do harcerstwa. Przypominam sobie pierwsze zbiórki i pierwsze wykonywane zadania. Najbardziej utkwił mi w pamięci niedzielny przemarsz hufca spod spalonej bazyliki do kościoła na mszę świętą, zawsze z poczem sztandarowym. Przechodziliśmy przez miasto z wielką dumą i przy powszechnym zainteresowaniu mieszkańców. Tylko raz byłem na obozie harcerskim. Zdobyłem kilka sprawności oraz uczestniczyłem w spektaklach artystycznych dla lokalnej społeczności wiejskiej. Warunki były trudne, ale tak powinno być w harcerstwie. Otrzymywaliśmy posiłki, jednak często byliśmy głodni. Pewnego wieczoru starsza część druhowa postanowiła

się zbuntować. Kierownictwo obozu zdecydowało, że tego dnia, jednorazowo, porcje będą dwu- albo i trzykrotnie większe niż zwykle. Później już nie było żadnych problemów z wyżywieniem na obozie.

Przeprowadzka do Poznania

Pewnego dnia, dość niespodziewanie, ojciec poinformował nas, że planuje przeprowadzkę do Poznania. Uznał bowiem, że tam będą lepsze warunki dla całej rodziny, poza tym w Poznaniu mieszkali już nasi bliscy krewni, którzy również wrócili z wysiedlenia. Ciotka była siostrą mojego ojca, a wujek bratem mojej mamy. Zapewne pomogli w pokonywaniu trudności w pozyskaniu mieszkania w Poznaniu, co oczywiście w tamtych czasach było niezwykle trudne.

Zamieszkaliśmy w mieszkaniu dwuczęściowym. Nie były to więc warunki sprzyjające życiu codziennemu. Nie było łazienki, a ubikacja znajdowała się obok klatki schodowej na półpiętrze. W jednej części mieszkania, w pokoju na poddaszu spałem z bratem, rodzice i siostra – w drugiej części mieszkania znajdującej na drugim piętrze.

Po przeprowadzce do Poznania zostałem zapisany do Gimnazjum i Liceum imienia św. Magdy Magdaleny. Była to szkoła o wielkich tradycjach i – co istotne – wyłącznie dla chłopców. Uczyłem się nieźle, choć nie tylko nauka była w zakresie mojego zainteresowania i obowiązków. Pod koniec 1947 r. poinformowano uczniów, że będzie przeprowadzony nabór do chóru chłopięcego, wówczas nazwanego chórem księdza Gieburowskiego, ale prowadzonego przez Stefana Stuligrosza.

W chórze Stuligrosza

Kiedy nastąpiła rekrutacja do chóru, Stefan Stuligrosz odwiedzał kolejne trzy klasy i oceniał możliwości poszczególnych uczniów. Niektórzy mówili od razu, że się nie nadają, bo nie mają słuchu. Pozostałych pan dyrygent prosił o powtórzenie dowolnej sekwencji dźwiękowej. Wypadłem bardzo dobrze, uzyskałem jego aprobatę i zapisał mnie do chóru. Zaznaczył, że muszę mieć zgodę rodziców, którą oczywiście otrzymałem i tak rozpocząłem karierę chórzysty, wówczas w tak zwanym chórze księdza Gieburowskiego pod dyrekcją Stefana Stuligrosza. Był to chór kościelny przy parafii Świętego Krzyża w Poznaniu (przy ul. Grobla). Ćwiczenia, w ramach których śpiewaliśmy najczęściej pieśni kościelne, odbywały się dwa razy w tygodniu w salce katechetycznej. Każde spotkanie było oczywiście nauką śpiewu, ale także, co chciałbym bardzo podkreślić, nauką

kultury bycia. Wszelkie zajęcia były prowadzone w stylu harcerskim i zawsze miały charakter zbiórki. Dyrygent do każdego z nas zwracał się *per* „druh” i do niego także zwracaliśmy się w ten sposób. Na ćwiczenia przychodzili także starsi wiekiem chórzyci, przy czym mężczyźni i młodzi członkowie chóru mieli osobne zajęcia. My, jako chłopcy, zawieraliśmy między sobą kolejne znajomości. Po dwóch lub trzech miesiącach nauki śpiewania, ustawiania i ćwiczenia głosu staliśmy się chórzystami.

Po stosunkowo krótkim okresie przygotowań w każdą niedzielę śpiewaliśmy w kościele w trakcie mszy świętej. Wzrastająca dojrzałość chóru pozwalała na wykonywanie coraz trudniejszych utworów muzycznych, zazwyczaj z zakresu muzyki kościelnej. W mojej pamięci pozostały występy chóru w szczególności w czasie świąt kościelnych, np. Świąt Wielkanocnych i Bożego Narodzenia. Do osiągnięć chóru należało wykonanie najpiękniejszej mszy św. *Missa Papae Marcelli*, *Mesjasza* Georga Händla oraz *Stabat Mater Dolorosa Iuxta Crucem Lacrimosa*. Śpiewaliśmy także na szczególnych uroczystościach diecezjalnych, które odbywały się w katedrze na Ostrowie Tumskim, zwykle w pomniejszonym składzie – nie więcej niż dwudziestu chórzystów. Dużo satysfakcji sprawiało mi także śpiewanie w harcerskim chórze *Ośmiu bąków*, z którym zaliczyłem pierwszy występ radiowy. Miałem wielką tremę i przeżywałem ten występ szczególnie. Powodem była nieobecność na próbie przed występem mojego kolegi, również altu II. Na szczęście pojawił się tuż przed wejściem na antenę, a sam występ został oceniony bardzo pozytywnie. Nasz chór występował wielokrotnie w ramach różnych okazji, głównie świąt państwowych lub harcerskich. Każdy taki występ zawsze był dla mnie przemiłym przeżyciem. Wraz z dorastaniem, jak to bywa z głosami chłopięcymi, zacząłem przechodzić mutację. Wówczas druh Stuligrosz postanowił, że powinienem przejść do tenorów. Rozpocząłem próby, ale trwało to jednak krótko, okazało się bowiem, że alty są zbyt słabe i pomimo mutacji musiałem do nich powrócić.

Ostatecznie występowałem w chórze Stefana Stuligrosza jeszcze może dwa, trzy miesiące i zakończyłem karierę śpiewaczą trwającą prawie dwa lata.

Byłem niezłym sportowcem

W szkole zaczął mnie pasjonować sport, z wychowania fizycznego zawsze miałem wysokie oceny. Ćwiczeniem, jakim szczególnie mogłem się pochwalić, był pad na jedną rękę z pozycji stojącej oraz salto do przodu. W związku z powyższym często byłem delegowany do reprezentowania mojej szkoły imienia Świętej Magdy Magdaleny w różnych rozrywkach, m.in. piłki nożnej, koszykówki i siatkówki. Nigdy jednak nie reprezentowałem wysokiego poziomu, ponieważ

wciąż byłem amatorem. Pewnego dnia zjawił się w szkole przedstawiciel klubu AZS Poznań celem rekrutacji uczniów do grupy lekkoatletów. Nauczyciel wychowania fizycznego wskazał kilka osób, wśród których znalazłem się i ja. Dość szybko podjąłem treningi ogólnosprawnościowe i wkrótce zapadła decyzja, że powinienem uprawiać skok wzwyż, a w przyszłości może także pięciobój lub dziesięciobój lekkoatletyczny. Skakałem stylem nożycowym, wzorując się jeszcze na przedwojennych czasach. Dość szybko osiągnąłem średni poziom krajowy oraz zdobyłem mistrzostwo Poznania. Swój najlepszy wynik osiągnąłem na zawodach kontrolnych: 186 centymetrów, który w tamtych czasach uważano za co najmniej dobry. Niespodziewanie dla mnie bardzo dobry wynik uzyskałem także w trójskoku, niestety, nabawiłem się kontuzji. Najwięcej jednak satysfakcji sprawił mi wynik w pięcioboju lekkoatletycznym. Byłem wicemistrzem województwa poznańskiego, uzyskując następujące wyniki: 100 metrów – 11,4 s, skok w dal – 6,64 m, skok wzwyż – 178 cm, pchnięcie kulą – 11,21 m i 400 metrów – 57,8 s. Tyimi wynikami osiągnąłem klasę mistrzowską, jednak klasyfikacja została zmieniona po paru dniach i osiągnąłem wynik I klasy sportowej.

Pomimo że sport traktowałem raczej amatorsko, to jednak uprawianie go pochłaniało dużo mojego czasu. Byłem już w drugiej klasie liceum i musiałem więcej czasu poświęcić nauce.

Matura

Egzamin dojrzałości zdałem bez problemów. Byłem przekonany, że po ogłoszeniu wyników z radości połamie krzesło, a stwierdziłem jedynie, że właściwie matura to nic wielkiego. Może dlatego, że byłem bardzo dobrze do niej przygotowany, ponieważ w ostatnich miesiącach dużo czasu poświęciłem na naukę.

Postanowiłem pójść do ojca, do warsztatu, i przekazać mu dobrą wiadomość. Ucieszył się, ale bez entuzjazmu. Powiedział jednak z satysfakcją: „Przed tobą nikt z naszej rodziny nie zdobył matury”. Zmierzałem już do domu, aby i mamę poinformować o zdaniu matury, gdy po drodze spotkałem się z kolegą, który w ostatnim roku zrezygnował z nauki i było powszechnie wiadomo, że nadużywał alkoholu. Zaczepił mnie na ulicy i stwierdził: „Jesteś po zdanej maturze, to musisz coś postawić”. Odparłem, że jadę do mamy i żeby dał mi spokój. On jednak nalegał, trzymając mnie za rękę: „Chociaż piwo postaw!”. Dla świętego spokoju postanowiłem z nim pójść do najbliższej restauracji, dla kolegi zamówiłem duże piwo, dla siebie małe. Był oburzony: „Co ty, małe piwo będziesz pił? Taki chłop?”. Ponownie mu uległem i zamówiłem dwa duże piwa. Siedzieliśmy i rozmawialiśmy. Wypiłem może dwa łyki swojego piwa, podczas gdy kolega wychylił już prawie połowę zawartości kufła. Powiedziałem mu, że

muszę wyjść i poinformować mamę, jak mi poszło na maturze. Zapewniłem go, że wrócę. Nie oponował. Ucieszył się nawet, bo zostawiłem mu prawie całe swoje piwo. Z pewnością je wypił..

Spotkanie z mamą było bardzo serdeczne. „Mój synek zdał egzamin dojrzałości!” – powiedziała z płaczem, przytulając mnie do siebie i mocno ściskając.

Rodzice z tej okazji postanowili przygotować duże spotkanie dla rodziny i znajomych, na które przyszło piętnaście, a może i więcej osób. Należało wypić chociaż jeden kieliszek. Wypiłem, ale byłem bardzo zmęczony przeżyciami i nieprzespanymi nocami, podczas których się uczyłem do matury. Powiedziałem, że muszę się odprężyć, w drugim pokoju położyłem się na łóżku i szybko usnąłem. Gdy się obudziłem się w nocy, gości już nie było.

W okresie mojego uczęszczania do liceum ojciec postanowił polepszyć nasze warunki mieszkaniowe. Planował pozyskać inne mieszkanie lub domek. Udało mu się kupić stosunkowo tanio willę dwurodzinną, w której wszystkie mieszkania były zajęte. Oba były przeznaczone dla nas, ale zamieszkała była także część piwnicy przez trzecią rodzinę, a na poddaszu mieszkał samotny mężczyzna. Właściciel willi zapewniał jednak, że w ciągu miesiąca ten lokator się wyprowadzi, ponieważ zamierza się przenieść do innego miasta. Zobowiązanie zostało zrealizowane.

Po miesiącu mieliśmy do dyspozycji 75-metrowe trzypokojowe mieszkanie z łazienką i ubikacją. Jego zaletą był duży przydomowy ogród z krzewami i drzewami owocowymi. Jak wcześniej wspomniałem, dużo czasu poświęcałem na pracę w tym ogrodzie.

Byliśmy wreszcie całą rodziną w jednym mieszkaniu i czekaliśmy na wyprowadzenie się pozostałych lokatorów, szczególnie tych zamieszkujących pomieszczenia piwniczne i strych. Pokój dzieliłem tylko z bratem i mając dobre warunki do dalszego rozwoju, postanowiłem podjąć studia w Wyższej Szkole Inżynierskiej na Wydziale Budownictwa.

Część IV

Rozwój naukowy

Problem z dostaniem się na studia

Złożyłem dokumenty na Wydział Budownictwa Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Poznaniu. Niestety, nie zakwalifikowano mnie do egzaminu, tłumacząc oficjalnie, że jest zbyt dużo chętnych. Dowiedziałem się jednak, że nie przyjęto mnie, ponieważ ojciec miał swój warsztat, a prywatna inicjatywa nie była dobrze widziana przez ówczesne władze. Dobrze to pamiętamy z historii lat powojennych. To prawda, że w początkowym momencie pobytu w Poznaniu ojciec miał własny warsztat i sklep w bardzo dobrym miejscu, przy ulicy Święty Marcin, zatrudniał pomocników i uczniów. Później jednak wymówiono mu tę lokalizację ze wskazaniem bardzo skromnego pomieszczenia (ok. 10 m²) w oficynie przy ulicy 27. Grudnia, w podwórzu, w niedużym, dobudowanym budynku. Właśnie w tym czasie zdałem maturę i nie bardzo mogłem się pogodzić ze stwierdzeniem, że to zbyt mała ilość miejsc na wydziale lub prywatna inicjatywa jest przyczyną niedopuszczenia mnie do egzaminu. Co prawda, nie miałem bardzo dobrego świadectwa maturalnego, bo średnia wyniosła może nawet nieco mniej niż cztery, ale było to jednak świadectwo najlepszego gimnazjum i liceum w Poznaniu, kształcących na najwyższym poziomie. Ojciec mnie pocieszał, mówił, żebyśmy się nie martwił. Zapewniał, że podejmę u niego naukę i jako zegarmistrzowi będzie mi się dobrze powodzić. Przyznam, że nawet trochę próbowałem, jednak czułem, że nie jest to moja dziedzina – już od młodych lat chciałem być budowlańcem, ewentualnie ogrodnikiem.

W tej sytuacji postanowiłem pójść do pracy. Nie mając żadnych kwalifikacji, podjąłem pracę jako pracownik sezonowy w oddziale drogowym PKP Poznań, odcinek numer cztery. Praca fizyczna nie była dla mnie problemem, tym bardziej że dotyczyła prawie wyłącznie wymiany rozjazdów kolejowych. Szczególnie wymagane były: dokładność, staranność i umiejętność czytania rysunku technicznego. Dość szybko kierownictwo tego odcinka zauważyło moje umiejętności i możliwości kierowania robotami. Skierowano więc mnie do biura, gdzie planowałem realizację różnych robót remontowych według

określonych zasad i metod, dotychczas mi nieznanych. Nie miałem z tym żadnych trudności, szybko podejmowałem i wykonywałem polecenia. W ramach tej pracy musiałem także wykonywać inne zadania przypisane dla biura, które dotyczyły m.in. przyjmowania informacji o stanie wód w rzekach, głównie Warty i jej dopływów, niemalże w całym województwie. Ze względu na mój stan kawalerski byłem właściwie jedynym dobrym kandydatem do sprawowania całodniowych i nocnych dyżurów. Moja praca była bardzo odpowiedzialna: musiałem odbierać telefony z informacjami o poziomie zagrożenia wylewami w zależności od okresu roku i dane ujmować w tabelę, a następnie przesyłać je do dyrekcji PKP Poznań.

W sumie pracowałem nie więcej jak $\frac{3}{4}$ roku. Dostałem bardzo dobrą opinię za okres pracy i potwierdzenie – co może jeszcze ważniejsze – że pracowałem na stanowisku robotnika, co miało mi ułatwić dostanie się na wyższe studia.

Studia na Wydziale Budownictwa Politechniki Poznańskiej

Zbliżał się kolejny rok akademicki i ponownie złożyłem dokumenty. Zacząłem intensywną naukę, przypominając sobie wiedzę zdobytą w liceum. Tym razem zostałem dopuszczony do egzaminu i bez żadnych problemów dostałem się na wymarzony wydział.

Studia rozpocząłem jeszcze w starych zabudowaniach przedwojennych. Warunki były trudne, brakowało miejsc w ławkach, czasami siedzieliśmy na parapetach okien, a niekiedy nawet na podłodze. Jednak nikomu to nie przeszkadzało, bo wszyscy chcieliśmy się uczyć.

Uczyłem się dobrze, zdawałem wszystkie egzaminy i w dalszym ciągu uprawiałem sport, reprezentując swoją Szkołę, szczególnie podczas międzyuczelnianych zawodów lekkoatletycznych. Olbrzymią satysfakcję dała mi tablica z rekordami w konkurencjach lekkoatletycznych, wywieszona w centralnym punkcie holu gmachu głównego uczelni: w pięciu konkurencjach wymienione było nazwisko Tadeusz Biliński. W późniejszych latach, w czasie kilku zjazdów absolwentów Wydziału Budownictwa, występujący koledzy przypominali ten fakt, sprawiając mi tym wielką przyjemność. Nie działałem w żadnej organizacji, ale brałem udział w czynach społecznych, m.in. w budowie nowego gmachu Wydziału Budownictwa na Piotrowie, sadzeniu drzew wzdłuż dróg czy na terenie uczelnianym. W ramach tych czynów nieśliśmy pomocy rolnikom, szczególnie przy zbiorach ziemniaków i buraków cukrowych. Nie było to częste i nie pochłaniało zbyt wiele czasu, lecz niekiedy dezorganizowało naukę.

Studia inżynierskie przebiegały bez żadnych problemów, postanowiłem zatem podjąć studia magisterskie. Dostałem się na nie, choć, jak pamiętam, byłem na ostatnim bądź przedostatnim miejscu listy. Warunkiem przyjęcia była średnia ocena powyżej czterech.

Magisterium

Na studiach magisterskich naprawdę zacząłem się uczyć. Za małymi wyjątkami osiągałem dobre i bardzo dobre stopnie, choć trochę wolnego czasu poświęcałem na grę w brydża, jednak zawsze z wielkim rozsądkiem. Gdy nastąpiła chwila wyboru tematu pracy magisterskiej, zgłosiłem się do profesora Tadeusza Kozłowskiego, wysokiej klasy naukowca i bardzo dobrego pedagoga, specjalisty z teorii sprężystości. Otrzymałem propozycję opracowania bardzo trudnego tematu. Profesor zaznaczył, że podobny, nieco łatwiejszy temat wcześniej wziął kolega, Czesław Nawrocki, który był najlepszym z nas. Profesor zapewnił jednocześnie, że kolega mi pomoże. Niestety, pomocy nie uzyskałem, ponieważ kolega przeżywał w tym czasie tragedię rodzinną. Zabrałem się do pracy jak nigdy wcześniej. Temat był bardzo trudny, ale z teorii sprężystości już wcześniej otrzymałem ocenę bardzo dobrą, więc w pewnym stopniu byłem przygotowany do rozwiązywania zagadnienia. Jeszcze dzisiaj pamiętam, że w efekcie moich studiów i szukania rozwiązania znalazłem odpowiednią funkcję, która pozwoliła na stosunkowo proste opracowanie całości tematu. U profesora byłem na konsultacji raz, tuż po rozpoznaniu zagadnienia. Później pochłonęła mnie praca i dopiero po rozwiązaniu całego zagadnienia i przepisaniu go na czysto, a było to około czterdziestu stron z rysunkami i szkicami, przyszedłem do profesora z prośbą o przyjęcie pracy. Profesor wnikliwie przejrzał pracę i spojrzał na mnie, mówiąc: „Kolega panu pomógł?”. Zaprzeczyłem, tłumacząc, że przeżywa on bardzo chwile. „To pan sam to zrobił?” – profesor zapytał z niedowierzaniem. Odpowiedziałem, że tak. Pracowałem może po dziesięć, dwanaście godzin dziennie, a warunki do pracy miałem zapewnione przede wszystkim przez mamę, która ograniczała wchodzenie innych osób do mojego pokoju, mówiąc: „Cicho, Tadeusz pracuje”. W tym czasie rodzice już nie mieli nawet pretensji o to, że palę papierosy.

Profesor po ponownym przejrzaniu pracy powiedział, że jest bardzo dobra i nie spodziewał się takiego rezultatu. Te kilka słów dało mi ogromną satysfakcję. „Jeszcze tę pracę przejrzę, ale potwierdzam, że ją przyjmuję i zgłaszam pana do obrony pracy w pierwszym terminie” – powiedział na pożegnanie. Było to dla mnie miłe zaskoczenie. Profesor dodał jeszcze, że egzaminatorem będzie również

profesor Lucjan Ballenstedt, który był najlepszym statykiem w Poznaniu i należało się spodziewać materiału z zakresu statyki budowli.

Na przygotowanie się do egzaminu miałem zaledwie kilka dni, był to bowiem pierwszy termin. Wykłady profesora odświeżyłem sobie w niecałą noc, jak to było przed maturą.

Posiedzenie komisji egzaminacyjnej było nietypowe. W pierwszym terminie zostało dopuszczonych czterech lub pięciu studentów. Właściwą komisję dla każdego studenta stanowili dwaj profesorowie. Gdy wszedłem na salę, poproszono mnie, żebym usiadł przy stoliku, przy którym już siedział mój promotor – profesor Tadeusz Kozłowski i profesor Lucjan Ballenstedt jako egzaminator.

Na samym początku profesor Tadeusz Kozłowski przedstawił bardzo wysoką ocenę mojej pracy. Odpowiedziałem na kilka pytań o wysokim poziomie trudności – formułowali je wysokiej klasy naukowcy. Egzamin zmierzał do końca i przed ostatecznym ogłoszeniem oceny mojej pracy przez komisję profesor Tadeusz Kozłowski zwrócił się do mnie z propozycją: „Proszę pana, został ogłoszony konkurs na aspiranturę stacjonarną, powinien pan startować!”.

Nie było nawet rozmowy na ten temat, nie wiedziałem, ile osób się zgłosiło, ale potraktowałem to poważnie, przede wszystkim jako wielkie wyróżnienie ze strony profesorów, ale i spore zaskoczenie. Nigdy nie przewidywałem, że mogę zostać nauczycielem akademickim, chociaż w okresie studiów, szczególnie magisterskich, bardzo często wysoko oceniano wygłaszane przeze mnie referaty, zazwyczaj z pamięci. Miałem doświadczenie w wystąpieniach publicznych, ponieważ w czasie studiów inżynierskich często byłem proszony o deklamację wybranych wierszy podczas różnego rodzaju akademii, co nie sprawiało mi żadnych trudności.

Mimo wątpliwości niezwłocznie zgłosiłem się w dziekanacie i poprosiłem o wpisanie mnie na listę kandydatów do konkursu na aspiranturę. Konkurs miał się rozstrzygnąć po dwóch, trzech tygodniach. Czasu miałem dostatecznie dużo, aby przypomnieć sobie zdobyte wiadomości. Po pewnym czasie dowiedziałem się, że po zgłoszeniu się pięciu kandydatów lista została zamknięta. Wiedziałem również, że jest jeszcze tylko jedno miejsce. Trochę zwątpiłem w swój sukces, ale uparcie przygotowywałem się do tego konkursu.

W przededniu konkursu okazało się, że jedna osoba zrezygnowała i do konkursu przystąpiło ostatecznie czterech kandydatów, z czego jeden nie był pewny, czy wejdzie w ogóle na salę. W czasie luźnej dyskusji przed rozpoczęciem konkursu okazało się, że ja mam znacznie większą wiedzę niż oni, ponieważ kończyli studia wcześniej i dużo ze zdobytej wiedzy na studiach już zapomnieli, a ja byłem świeżym absolwentem.

Nauczyciel akademicki

Ostatecznie do konkursu przystąpiło trzech kandydatów, spośród których ja wypadłem najlepiej i z dniem 1 września 1956 r. zostałem aspirantem. Jeden z przystępujących do konkursu kandydatów na aspiranturę został dopuszczony na aspiranturę niestacjonarną (niepłatną), ja natomiast otrzymałem wynagrodzenie równe wynagrodzeniu starszego asystenta.

W zakresie moich obowiązków był przede wszystkim rozwój naukowy, przygotowywanie pracy doktorskiej i prowadzenie niektórych zajęć dydaktycznych. Rada Wydziału Budownictwa podjęła decyzję, że moim opiekunem będzie profesor Roman Kozak, przewidywany na przyszłego promotora pracy doktorskiej. Była to wiadomość dla mnie bardzo pozytywna, bo bardzo liczyłem na jego pomoc, choć z drugiej strony czas profesora był ograniczony, został bowiem wybrany na rektora Politechniki Poznańskiej.

Niezwłocznie przystąpiłem do studiowania literatury. Odbyłem kwerendę na Politechnice Wrocławskiej i Politechnice Gliwickiej. W bibliotece Politechniki Gliwickiej znalazłem interesujące mnie opracowania. Były to dwie prace doktorskie: pierwsza z zakresu dwukierunkowej wytrzymałości betonów autorstwa prof. Józefa Głomba – późniejszego profesora i członka Polskiej Akademii Nauk, a druga dotycząca strat przy sprężaniu w konstrukcjach sprężonych autorstwa Jerzego Zielińskiego, przyszłego profesora. Stanowiły one podstawę do pierwszej rozmowy z profesorem Romanem Kozakiem.

Doktorant

W czasie pierwszej rozmowy z prof. Romanem Kozakiem przedstawiłem propozycje tematów pracy doktorskiej: *Płyty dwukierunkowo sprężone lub sprężone belki ciągłe*. Profesor mocno się zastanawiał, aż w końcu zadał pytanie: „Czy nie są to za trudne zagadnienia?”. Odpowiedziałem, że nie. „To które zagadnienie pan wybiera jako temat pracy doktorskiej?” – zapytał. Odpowiedziałem natychmiast, że płyty dwukierunkowo sprężone. Profesor stwierdził, że tym zagadnieniem nikt w Polsce się jeszcze nie zajmuje. Potwierdziłem, ale zazna-czyłem, że zapoznałem się już z teorią płyt oraz tarcz i sądzę, że będę w stanie przedstawić rozwiązanie teoretyczne oraz przeprowadzić odpowiednie badania doświadczalne. Profesor się zgodził, jednak przestrzegł mnie, że jest to bardzo obszerny zakres pracy. Miałem tego świadomość, dlatego niezwłocznie przystąpiłem do dalszego studiowania literatury w tym zakresie, określenia też pracy doktorskiej oraz obszaru badań doświadczalnych.

Przedemną był ogrom pracy, bowiem w tym samym czasie rozpocząłem już zajęcia dydaktyczne. Profesor Roman Kozak poprosił mnie o poprowadzenie wykładów, najpierw z zakresu budownictwa ogólnego – stan wykończenia, a następnie z zakresu konstrukcji sprężonych. Byłem początkującym młodym pracownikiem i moje pierwsze wykłady wymagały odpowiedniego przygotowania.

Postanowiłem prowadzić zajęcia zawsze bez pomocy i jakichkolwiek podkładów. Zdarzało się, że zjawiałem się w sali wykładowej dużo wcześniej, czasem w dzień poprzedzający wykład, aby na tablicy narysować różne fragmenty konstrukcji z zachowaniem właściwych proporcji, gwarantując słuchaczom ich czytelność. Taką zasadą kierowałem się przez całe swoje zawodowe życie wykładowcy. Dużo czasu poświęcałem przygotowaniu wykładów z konstrukcji sprężonych, bo miałem je przeprowadzić jako pierwszy na Politechnice Poznańskiej. Przypominam sobie dwie hospitacje, obie wypadły bardzo pozytywnie. Byłem w tamtym czasie bardzo obciążony z jednej strony zakresem dydaktycznym, właściwie ponad miarę, a z drugiej strony już studiami naukowymi. Pomimo tego w 1958 r. postanowiłem podjąć studia matematyczne na Uniwersytecie Wrocławskim. Pierwsze dwa lata studiów mimo ograniczonego czasu przebiegały sprawnie, ale na trzecim roku zaczęły się trudności, musiałem bowiem dążyć do możliwie szybkiego zakończenia pracy doktorskiej, wstępnie przewidzianego na rok 1962.

Praca teoretyczna była właściwie już zakończona. Była to już wyższa matematyka i musiałem znaleźć odpowiednią funkcję monotoniczną, odwzorowującą różne stany obciążenia. Uznałem, że korzystając z podwójnych szeregow Fouriera, można było doprowadzić przekształcenie warunków nieprzeliczalnych w warunki przeliczalne.

Dużo więcej trudności miałem przy zorganizowaniu i przeprowadzeniu badań doświadczalnych, których w takim zakresie w laboratorium instytutu jeszcze nie wykonywano. Musiałem zdobyć odpowiedni sprzęt, urządzenia, zamówić materiały i zorganizować zespół badawczy. Przygotowania elementów i ich badań przebiegały wprawdzie sprawnie, ale zajmowały sporo czasu. Podczas jednej z wizytacji w laboratorium przeprowadzonej przez profesora Jana Kmitę, rektora Politechniki Wrocławskiej, zostały mu przedstawione moje badania. Był zaskoczony zastosowaniem nowego sprzętu i nowoczesnych metod pomiarowych. Po laboratorium oprowadzał profesor Andrzej Rzyżyński, który w pewnej chwili powiedział: „Ty jeszcze o nim usłyszysz”. Było to dla mnie zachętą do dalszej intensywnej pracy i pomimo dużych trudności w realizacji zadania udało mi się zakończyć pisanie pracy doktorskiej w pierwszym półroczu 1964 r. Promotor wydał pozytywną opinię, a Rada Wydziału skierowała pracę doktorską do recenzji przez profesora Stefana Kaufmana z Politechniki Gliwickiej i profesora Tomasza Kluza z Politechniki Warszawskiej. Pozytywne

recenzje wpłynęły szybko, bo już pod koniec wakacji, stanowiąc podstawę do wyznaczenia terminu obrony pracy doktorskiej. Byłem przekonany, że nastąpi ona w najbliższym czasie i będzie to pierwsza obrona na Wydziale Budownictwa Politechniki Poznańskiej.

Ówczesny dziekan, profesor Wiktor Jankowski, dokładał wszelkich starań, aby obrona – zarówno w części otwartej, jak i zamkniętej – przebiegła sprawnie. Niestety, zmniejszenie kadrowe Rady Wydziału związane z odejściem jednego z profesorów wprowadziło dziekana w zakłopotanie, ponieważ minimum kadrowe wymagane przy przeprowadzaniu przewodów doktorskich było wątpliwe. Zapadła decyzja, aby wstrzymać się do momentu przyjęcia na wydział kolejnego profesora. Nowy samodzielny pracownik został przyjęty dopiero na początku 1965 r., dając podstawę do podjęcia przez Radę Wydziału decyzji o terminie obrony mojej pracy doktorskiej. Zebrałem wśród współpracowników bardzo pozytywne opinie o mojej pracy, ale pomimo tego do ostatniej chwili starałem się dobrze przygotować do jej publicznej obrony.

Zostały przygotowane odpowiednie plansze formatu A1, a salę dydaktyczną dostosowano do przeprowadzenia publicznej obrony. Jak potem oceniono, przedstawiłem swoją pracę doktorską zwięźle, logicznie i z polotem. Dyskusja nie była zbyt długa, na wszystkie pytania odpowiadałem poprawnie i bez trudności. Ciągle jednak przypominam sobie jedno pytanie, na które nie odpowiedziałem elegancko. Stwierdziłem wówczas, że najprostszym rozwiązaniem byłoby przycięcie narożników płyty w miejsce wykonania dylatacji między płytą a narożnikami. Taki drobiazg, a prawie po siedemdziesięciu latach ciągle mnie to męczy.

Na obronie byli obecni także moi rodzice. Poprosiłem ich, aby usiedli w takim miejscu, na które nie będę zwracał uwagi w trakcie przedstawiania pracy doktorskiej.

Po zamknięciu publicznej obrony odbyło się zamknięte posiedzenie Rady Wydziału. Pracę doktorską, jak i obronę oceniono bardzo wysoko. Jednomyślną decyzją Rady uzyskałem stopień naukowy doktora nauk technicznych. Byłem z tego powodu bardzo zadowolony, ale prawdziwie szczęśliwi byli moi rodzice, nigdy bowiem nie spodziewali się – tak mi mówili – że ich dziecko osiągnie taki sukces.

Po oficjalnym ogłoszeniu wyników zaprosiłem całą Radę Wydziału oraz moich rodziców do restauracji na poczęstunek. Mojego brata poprosiłem o koordynację przejazdu, jak również organizację całego przyjęcia, które przebiegło w bardzo przyjemnej atmosferze.

Adiunkt

Po uzyskaniu stopnia doktora myślałem jeszcze o ukończeniu studiów matematycznych, ale uniemożliwiały to liczne obowiązki na uczelni. Musiałem także wykonywać różne ekspertyzy, ale co także istotne, byłem bardzo zaangażowany w działalność pracowniczej spółdzielni mieszkaniowej przy Politechnice Poznańskiej. Już znacznie wcześniej byłem najpierw przewodniczącym rady nadzorczej spółdzielni, a później przez dwie kadencje jej prezesem, ale teraz musiałem dokończyć zaplanowane zadania. Równocześnie zostałem powołany przez rektora Politechniki Poznańskiej do komisji mieszkaniowej i powierzono mi obowiązki przewodniczącego. Zadaniem komisji była weryfikacja wniosków o mieszkania zgłoszonych przez pracowników uczelni, co wiązało się z wizytami w aktualnie zajmowanych przez nich lokalach i spisaniem protokołu. Samo komisyjne ocenianie sytuacji mieszkaniowej pracowników nie było zadaniem trudnym, ale bardzo obciążającym. W tym czasie zostałem też powołany przez prezydenta Poznania do komisji budowy osiedla mieszkaniowego Rataje.

Co prawda, nie powierzono mi żadnych funkcji, ale dość częste spotkania z mieszkańcami terenów przewidzianych pod budownictwo osiedlowe oraz z wykonawcami i z biurami projektów zabierało mi dużo czasu, także kosztem rodziny. To moje zaangażowanie było formą zabezpieczenia naszych coraz większych potrzeb finansowych, ale jednocześnie uniemożliwiło mi ukończenie wymarzonych studiów matematycznych. Często z przykrością wspominam ten fakt, ale nie zawsze możemy zrealizować to, o czym marzymy i musimy dokonać wyboru tego, co w danym momencie jest najważniejsze.

Z pełnym zaangażowaniem już jako adiunkt prowadziłem zajęcia dydaktyczne, opracowywałem kolejne publikacje, wspólnie z kolegami przygotowałem kilka podręczników. Brałem także udział w realizacji dwóch programów rządowych. Jeden z nich, dotyczący oceny stanu bezpieczeństwa dźwigarów kablobetonowych, wymagał poświęcenia dużo czasu. Polegał przede wszystkim na rewizytowaniu wielu zakładów pracy – nie tylko na terenie Poznania – i na sprawdzeniu stanu technicznego wszystkich dźwigarów kablobetonowych wbudowanych w konstrukcje przemysłowe.

Docent

W 1968 r., w związku z ciągłym brakiem samodzielnej kadry naukowej, została w Polsce podjęta akcja powołania na stanowisko docenta możliwie najlepszych pracowników z właściwym dorobkiem naukowym, ale nieposiadających stopnia naukowego doktora habilitowanego. W tym celu władze uczelni, po konsultacji

z władzami dziekańskimi, wytypowały również moją kandydaturę. Rada Państwa, wówczas uprawniony organ, powołała mnie na stanowisko docenta.

Nadal przybywało mi zadań. Zostałem pełnomocnikiem dyrektora do spraw bhp i ppoż. Zostałem również powołany na stanowisko prodziekana do spraw studiów zaocznych i przydzielono mi funkcję kierownikiem zakładu. Zaproponowano mi także stanowisko dyrektora do spraw inwestycji na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Chodziło o zorganizowanie wielkiego przedsięwzięcia inwestycyjnego obejmującego zarówno obiekty dydaktyczne, domy akademickie, jak i stołówki zlokalizowane poza granicami Poznania (powszechnie nazywano je „Złotym Potokiem”, obecnie: MORASKO). Po głębszym przemyśleniu propozycji nie przyjąłem, ponieważ miałem już zaplanowany kolejny cel w mojej karierze naukowej.

W drodze do habilitacji

Postanowiłem uzyskać stopień naukowy doktora habilitowanego. Szybko znalazłem temat, który według przeprowadzonego przeze mnie rozpoznania był wówczas oryginalny i dotyczył stanów naprężeń i odkształceń w przekrojach zespolonych, które w tym czasie zaczęto coraz powszechniej stosować także i w Polsce, szczególnie w mostownictwie. Na podstawie przeprowadzonych studiów literaturowych stwierdziłem, że nie ma pełnego ścisłego rozwiązania teoretycznego. Istniały tylko przybliżone metody określania tych stanów.

Intensywne prace nad monografią habilitacyjną rozpocząłem w 1970 r. Ponieważ Wydział Budownictwa Politechniki Poznańskiej nie miał uprawnień do nadawania stopnia doktora habilitowanego, musiałem poczynić odpowiednie starania, aby uzyskać zgodę na przeprowadzenie kolokwium habilitacyjnego na jednej z uczelni technicznych, które takie uprawnienia mają. Szybko zdecydowałem się na Politechnikę Wrocławską. Z prośbą o spotkanie zwróciłem się do profesora Jana Kmity, który częściowo znał moje badania. Profesor, wówczas już nie rektor Politechniki Wrocławskiej, ale tak jak wcześniej wybitny specjalista z zakresu mostownictwa, zgodził się i wyznaczył mi termin konsultacji.

Podczas spotkania przedstawiłem temat, zakres poszukiwań twórczego zachowania i ewentualny termin złożenia pracy habilitacyjnej. Ustaliliśmy wstępne terminy prezentacji zrealizowanych etapów mojej pracy. W okresie intensywnego opracowywania pracy habilitacyjnej miałem oczywiście trochę trudności. Chciałem uzyskać klasyczne rozwiązanie, wykorzystując swoje umiejętności matematyczne. Proste było doprowadzenie do układu ośmiu równań różniczkowych, przedstawiających stan naprężeń w przekrojach zespolonych, ale trudności przysparzało uzyskanie rozwiązania klasycznego. Bez problemu

doprowadziłem układ ośmiu równań do układu czterech równań różniczkowych zwyczajnych, znacznie trudniejsze było dalsze przekształcenie do układu trzech równań, który już i tak był bardzo złożony i skomplikowany. Doszedłem do wniosku, że nie da się doprowadzić do układu dwóch równań, co mogło stanowić podstawę do uzyskania rozwiązania klasycznego. Dostrzegając problemy, zwróciłem się z prośbą o pomoc do mojego przyjaciela, informatyka. Były to początki elektronicznej techniki obliczeniowej i większe uczelnie dysponowały już pierwszymi komputerami. Przyjaciel popatrzył na ten układ równań i stwierdził, że jest to tak skomplikowane, iż on nie ma możliwości wprowadzić tego do komputera. Wielokrotnie pytał, skąd się wziął układ trzech równań, który zapisany był na kilku stronach formatu A4. Odpowiedziałem mu zgodnie z prawdą, że przedstawiłem ten stan naprężenia bardzo precyzyjnie w układzie ośmiu równań i za swój sukces uważam, że sprowadziłem ten układ do trzech. Wyrzucił dezaprobatę wobec mojego takiego działania, ale obiecał, że mi pomoże. Poprosił jedynie, abym przyniósł mu ten układ ośmiu równań, ale w układzie biegunowym, a następnie wytłumaczył mi, na czym on polega. Zapewnił, że w ciągu dwóch dni przedstawi mi rozwiązanie.

Ciężko nad tym pracowałem i wystarczył jeden, góra dwa dni, abym opracował układ zgodnie z sugestią przyjaciela. Gdy mu go dostarczyłem, stwierdził z ironią, że dopiero teraz wygląda, jak należy. Były to równania w dość prostej postaci w odróżnieniu od układu trzech równań, który wcześniej przedstawiłem, pozwalające po przekształceniu w równania różnicowe na wprowadzenie ich do systemu komputera. Umówiliśmy się, że ja przygotuję kilka zestawów parametrów, które byłyby sprawdzeniem prawidłowości funkcjonowania programu, a on w tym czasie przygotuje program obliczenia. Po kilku dniach miałem już wyniki i choć przydarzył się jeden błąd, szybko udało się go usunąć. Zagadnienie zostało rozwiązane, zatem pozostało napisanie pracy habilitacyjnej, w której w koniecznym skrócie trzeba było przedstawić wiedzę w tym zakresie oraz możliwości i własne ujęcie stanu naprężeń w przekrojach zespolonych, heterogenicznych i wielomateriałowych.

W czasie, kiedy kończyłem opracowywanie pracy habilitacyjnej, dostałem propozycję wyjazdu na staż naukowy na uniwersytecie w Liège, na Wydziale Nauk Ścisłych. Propozycję przyjąłem, choć moja znajomość języka francuskiego była wtedy znacznie ograniczona, w związku z czym przygotowując pracę habilitacyjną do druku, jednocześnie uczyłem się języka obcego.

Staż naukowy w Liège (Belgia)

Pracę złożyłem do druku i prawie w tym samym czasie wyjechałem na sześciomiesięczny staż do Belgii. Na wydrukowanie pracy i jej recenzję trzeba było długo czekać, dlatego ten wyjazd nie był żadną przeszkodą w doprowadzeniu do kolokwium habilitacyjnego.

We wskazanym terminie przyleciałem do Brukseli, a następnie koleją przyjechałem do Liège. Niestety, mimo iż mój przyjazd był ustalony, na dworcu nikt na mnie nie czekał. Gdy zadzwoniłem pod podany mi wcześniej numer telefonu, sprawa się wyjaśniła: ktoś jednak miał mnie odebrać, ale mnie nie dostrzegł. Po rozmowie miałem już zapewniony transport do hotelu.

Nazajutrz odbyło się bardzo miłe spotkanie z profesorem Romanem Bausem, dyrektorem instytutu, w którym miałem przewidziany staż naukowy. Towarzyszył mi jeden z pracowników instytutu, Polak, Andrzej Brenneisen, doktor nauk technicznych, który już od wielu lat był w Belgii.

Podczas rozmowy (była prowadzona w języku francuskim, który trochę kalczyłem) przedstawiłem profesorowi zakres moich zainteresowań naukowych i zadeklarowałem chęć pracy przy badaniach naukowych, a także, jeśli to będzie możliwe, przeprowadzenie badań naukowych w zakresie belek zespolonych, żelbetowo-sprężonych. Profesor przyjął to z zadowoleniem i zapytał, czy mam przewidziane jakieś środki finansowe na przeprowadzenie badań. Powiedziałem, że nie, ale mam stypendium przyznane mi przez rząd Belgii. Stwierdził, że w tej sytuacji będzie konieczność znalezienia odpowiedniego rozwiązania. Profesor Baus poinformował mnie, że tydzień temu na staż naukowy przyjechał także Bułgar, który ma stypendium ONZ i środki przewidziane na badania naukowe, jednak stwierdził, że nie zamierza prowadzić badań. Profesor zasugerował jednocześnie, że być może uda mi się owego Bułgara przekonać, aby zmienił decyzję i wyraził zgodę na badania według mojego programu i przekazał na to środki ONZ-towskie oraz aby uczestniczył w tych badaniach. „Przecież się jakoś dogadacie?” – zapytał, a potem dodał z uśmiechem: „Jak nie po francusku, to po rosyjsku”.

Został wyznaczony termin spotkania z Bułgarem. Rozmowa była bardzo bezpośrednia i serdeczna. Rzeczywiście, rozmawialiśmy w połowie po francusku, w połowie po rosyjsku. Dość szybko wyraził zgodę na wykorzystanie pieniędzy przyznanych mu na badania, ale propozycją ich współprowadzenia nie był zainteresowany. Niezwłocznie przekazałem tę informację dyrektorowi instytutu, profesorowi Bausowi. Bardzo się ucieszył, gdyż akurat laboratorium nie miało większych zleceń, a zespół badawczy był dość liczny. Ponieważ sprawa finansowania badań została szybko załatwiona, przygotowałem ich program.

Kierownik laboratorium dokonał poprawek językowych i po krótkim okresie przygotowań zostały wykonane elementy doświadczalne, czyli osiem belek o różnych parametrach.

Dyrektor instytutu był bardzo zadowolony z takiego obrotu sprawy nie tylko dlatego, że instytut będzie mógł się wykazać działalnością badawczą związaną z ciekawym oraz aktualnym wówczas tematem w Belgii, ale także dlatego, że nie będzie żadnych problemów z jego finansowaniem. Jak mi później przekazał pan Andrzej, to zadowolenie wynikało także z faktu, że poprzedni stażysta z Polski nie tylko nie wykazywał zainteresowania badaniami i studiami, uczestnictwem w seminariach, pracą w instytucie, ale przyczynił się do wielu drobnych kłopotów świadczących o jego całkowitym braku chęci do jakiegokolwiek pracy naukowej.

Prace w laboratorium przebiegały sprawnie, elementy zostały przygotowane bardzo dokładnie. Prawidłowo wykonano sprzężenie niektórych elementów i badania materiałów, skurczu i pęcznienia betonu oraz relaksacji zastosowanej stali. Na przygotowanych elementach wykonano również, zgodnie z moimi zaleceniami, siatkę pomiarów i zapewniono stałe warunki cieplno-wilgotnościowe.

Badania wymagały czasu, obejmowały bowiem zjawiska reologiczne, czyli opóźnione w czasie, których przyspieszenie było nie tylko niewskazane, ale też niemożliwe. Po trzech, czterech miesiącach badanych elementów okazało się, że zjawiska reologiczne są dalekie od ustabilizowania, co nie było dla nikogo szczególnym zaskoczeniem. Wiedziałem przecież, że te parę miesięcy nie wystarczy do badań przy tak złożonych przekrojach. Dyrektor instytutu postanowił, że do przeprowadzenia badań niszczących i badań odkształceń potrzebny będzie mój powrotny przyjazd, tym razem na trzy miesiące. Termin ten został określony tylko ogólnie, był bowiem w dużym stopniu zależny od stabilizacji zjawisk reologicznych.

Miałem kilka spotkań ze studentami, podczas których przedstawiałem badania, przeprowadziłem jedno seminarium dla pracowników instytutu i napisałem częściowy raport z zakończenia pierwszego etapu badań naukowych. Byłem przekonany, że niebawem wrócę tu na trzy miesiące, a badania zostaną w pełni zakończone. Miałem dobre kontakty, przede wszystkim z pracownikami laboratorium, pracownikami administracyjnymi i dyrektorem instytutu. Warto wspomnieć, że pewnego dnia, w czasie realizowania jakichś badań, zostałem doń wezwany. Pamiętam ten dzień przede wszystkim dlatego, że wyjątkowo nie miałem krawata, a do dyrektora należało pójść w krawacie. Uratował mnie kierownik laboratorium, który pożyczył mi swój. Rozmowa była bardzo miła, dyrektor poinformował mnie, że wszelkie sprawy związane z zakończeniem badań zostały już załatwione i dostałem zezwolenie na wykorzystanie środków

przeznaczonych na ich kontynuację. Obiecał, że w celu ustalenia terminu mojego kolejnego przyjazdu będziemy w kontakcie listowym.

Koniec mojego pobytu w Liège zbliżał się szybko, tym bardziej że nie ograniczał się on wyłącznie do prowadzenia badań naukowych. Byłem także stałym konsultantem pracy doktorskiej Libańczyka D. Cortasa dotyczącej wpływu zarysowania przekrojów żelbetowych na wytrzymałość konstrukcji. Prowadziłem także jedną pracę magisterską dotyczącą stanu naprężeń w konstrukcjach zespolonych i byłem konsultantem innej. Wymagało to jednak tylko sporadycznych spotkań, najwięcej czasu zaś poświęcałem na konsultacje z zakresu konstrukcji sprężonych dla studentów trzeciego roku budownictwa.

Przygotowania do obrony pracy habilitacyjnej

Niezwłocznie po przyjeździe do Poznania przystąpiłem do wykonania wcześniej zaplanowanych zadań. Szczególnie dużo uwagi poświęciłem procesowi wydawniczemu mojej pracy habilitacyjnej oraz kontaktom z profesorem Janem Kmitą, moim opiekunem w przygotowaniu habilitacji. Czas szybko mijał i proces wydawniczy mojej pracy habilitacyjnej dobiegał końca. Zostali wyznaczeni recenzenci: prof. zw. dr hab. inż. Jan Kmita i prof. zw. dr inż. Adam Mittel. Zostałem wstępnie poinformowany, że kolokwium habilitacyjne może być przeprowadzone pod koniec 1972 r., zatem od razu przystąpiłem do przygotowania swojej prezentacji.

W tym czasie zostałem poproszony przez profesora Jana Kmitę, abym przyjechał do Instytutu Inżynierii Lądowej Politechniki Wrocławskiej celem przedstawienia głównych tez mojej pracy habilitacyjnej. Seminarium, na którym byli obecni wszyscy pracownicy naukowcy Instytutu Inżynierii Lądowej, odbyło się na początku października 1972 r. i przebiegło w bardzo miłej atmosferze. Dyskutanci pozytywnie ocenili mój dorobek naukowy w zakresie stanu naprężeń w przekrojach zespolonych, wszystkie wystąpienia były dla mnie przychylne, ale w mojej pamięci pozostało wystąpienie profesora Dąbrowskiego, który nie tylko podkreślił sprawne i logiczne przedstawienie zagadnienia, ale, co było dla mnie miłym zaskoczeniem, że wygłosił je bez pomocy kartek i poprawną polszczyzną.

W ostatnich miesiącach przed habilitacją miałem także dużo obowiązków związanych z powołaniem mnie na prodziekana Wydziału Budownictwa Politechniki Poznańskiej. Starłem się jak najlepiej wywiązywać z obowiązków. Regularnie organizowałem spotkania ze studentami poszczególnych lat studiów

zaocznych i skrupulatnie przestrzegałem godzin przyjęć studentów. W późniejszym okresie dużo czasu poświęcałem na organizowanie uroczystości rozpoczynających studia zaoczne i absolutorioów.

Przebieg kolokwium habilitacyjnego

Kolokwium zostało wyznaczone na 2 listopada 1972 r. na Politechnice Wrocławskiej. Przyjechałem do Wrocławia dzień wcześniej i złożyłem wizytę profesorowi Janowi Kmicie, aby omówić przebieg kolokwium. Profesor jeszcze raz wyraził pozytywną opinię o mojej pracy habilitacyjnej i jej prezentacji na seminarium instytutu, a jednocześnie zwrócił się do mnie z konkretną prośbą, abym w czasie przebiegu kolokwium habilitacyjnego nie brał do ręki kredy. Zalecił, żeby nie dać się sprowokować do wykonywania różnych rysunków. „Na posiedzeniu Rady Wydziału będzie obecny również profesor Adam Mitzel, wysokiej klasy naukowiec z zakresu zjawisk reologicznych i zapewne będzie miał wiele uwag do pracy” – poinformował mnie. – „Dowiedziałem się także – kontynuował – że profesor liczył, iż to ja powinienem do niego się zwrócić z prośbą o poprowadzenie procesu habilitacyjnego”. Uwagę przyjąłem poważnie i postanowiłem nie brać kredy do ręki.

Po południu, w przeddzień kolokwium, powtórzyłem sobie w pamięci jeszcze całą prezentację z nadzieją, że jutro wszystko będzie przebiegało poprawnie. Następnego dnia zgłosiłem się o wyznaczonej godzinie u dziekana Wydziału Budownictwa, który poinformował mnie, że na posiedzeniu Rady Wydziału będą przeprowadzone dwa kolokwia habilitacyjne i ja będę drugim habilitantem. W związku z decyzją dziekana musiałem czekać prawie dwie godziny na korytarzu. Kiedy poproszono mnie na posiedzenie, dziekan, zgodnie z powszechnie obowiązującymi procedurami, przedstawił mój życiorys, krótko omówił mój dorobek naukowy oraz poinformował o pozytywnych opiniach przedłożonej pracy habilitacyjnej i poprosił mnie jej o półgodzinne przedstawienie. Prezentację miałem dobrze opanowaną, sprawnie przedstawiłem zasadnicze tezy i treść oraz wnioski pracy habilitacyjnej. Po prezentacji została otwarta dyskusja, podczas której kilku profesorów kolejno przedstawiało swoje stanowisko odnośnie do prezentowanego przeze mnie problemu oraz wyrażało swoją ocenę. W zasadzie wszystkie wystąpienia były pozytywne. W końcowej części postanowił wystąpić profesor Adam Mitzel. Powiedział, że, co prawda, przychyła się do poprzednich wypowiedzi i że prezentacja została dobrze przedstawiona, to jednak uważa, że nie znam dokładnie szczegółowego ujęcia zjawisk reologicznych i w związku z tym przyjmuję stosunkowo proste założenie, zgodnie zresztą

z normą. Podkreślił, że gdybym uwzględnił teorie Arutuniana i jego własne osiągnięcia, to wyniki byłyby bardziej dokładne, co pozytywnie wpłynęłoby na ocenę stanu bezpieczeństwa konstrukcji. Z zarzutem, że nie znam teorii Arutuniana i osiągnąć profesora Mitzla, nie mogłem się absolutnie zgodzić. Zdecydowałem się na pełną odpowiedź na jego wątpliwości. Wziąłem kredę do ręki i w pierwszej kolejności przedstawiłem teorie Arutuniana, w tamtym okresie bardzo cenioną nie tylko w środowisku polskim. Spokojnie, ale zdecydowanie przedstawiłem na odpowiednim wykresie cały proces przebiegu zjawiska reologicznego oraz konsekwencji zmieniających się naprężeń. Starłem się przedstawić to bardzo czytelnie poprzez wprowadzenie odpowiednich oznaczeń. W pewnej chwili profesor Adam Mitzel głośno zwrócił mi uwagę, że „to nie ‘t’, a symbol tau”. Przyjąłem to ze spokojem, szybko poprawiłem błąd i odwróciłem się w kierunku profesora. Podziękowałem za uwagę i się ukloniłem. Korzystając z luźniejszej atmosfery, przystąpiłem do szczegółowego opowiadania poszczególnych faz procesu, przywołując co pewien czas wyniki badań przeprowadzonych przez profesora Adama Mitzla. Wyraźnie czuł się zaskoczony. „To już szczegóły” – powiedział. Natychmiast udzieliłem odpowiedzi na możliwość zastosowania teorii Arutuniana do obliczania stanu naprężeń w przekrojach zespolonych. Stwierdziłem, że oczywiście nie ma żadnych problemów, abym ja w tym swoim układzie równań różniczkowych, zwyczajnych, opartych na jednej teorii parametrowej Dischingera nie mógł ich wprowadzić. Stwierdziłem, że mogę wprowadzić szczegółowe zależności wynikające z teorii Arutuniana, jednak otrzymam układ równań różniczkowo-całkowych, których rozwiązanie metodą tradycyjną jest absolutnie niemożliwe, a przy wykorzystaniu elektronicznej techniki obliczeniowej na etapie rozwiązywania tego zagadnienia było jeszcze u nas tym bardziej niemożliwe. Profesor nie odpowiedział. Zapytałem, czy moja odpowiedź była wyczerpująca? Profesor kiwnął głową. Było jeszcze jakieś wystąpienie innego pracownika naukowego, które nie miało jednak większego znaczenia. Dziekan po chwili zapytał, czy ktoś jeszcze ma zamiar wziąć udział w dyskusji. Nie było chętnych, zatem dziekan ogłosił kolokwium habilitacyjne za zakończone. Ja, zgodnie z procedurą, opuściłem salę. Rada Wydziału podsumowywała przebieg mojego kolokwium habilitacyjnego i zostałem ponownie poproszony. Dziekan poinformował uczestników, że Rada Wydziału pozytywnie ocenia przebieg całego kolokwium habilitacyjnego i nadaje mi stopień doktora habilitowanego nauk technicznych.

Po Radzie Wydziału było jeszcze kilka nieoficjalnych spotkań, których przebiegu już właściwie nie pamiętam. Natomiast bardzo dobrze pamiętam rozmowę z moim opiekunem, profesorem Janem Kmitą. Był bardzo przejęty i zmęczony. Powiedział, że nie przypuszczał, że kolokwium będzie tak przebiegało. Wynik głosowania był prawie jednomyślny, ale przypomniał mi, że miałem absolutnie

nie brać kredy do ręki, a ja nie dotrzymałem danego słowa. Powiedział: „Muszę panu wyznać, że w momencie, gdy brał pan kredę do ręki, mając na uwadze ten zaczepny ton profesora Adama Mitzla, chyba zbladłem. Zrobiło mi się słabo. Lecz po krótkim czasie, po kilku kreskach, prawidłowo kreślonych, w odpowiednich proporcjach, z oznaczeniami, czułem, że krew mi wraca do serca. Poczulem się już dobrze. Odpowiadał pan wspaniale. Wszystkim się to podobało, z powagą i odpowiednią grzecznością, bez okazania zdenerwowania. Było to dla mnie niezwykle zaskoczeniem”.

Podziękowałem profesorowi za pomoc w ukierunkowaniu pracy habilitacyjnej i jej realizacji. Profesor przypomniał, że o zatwierdzeniu uchwały Rady Wydziału decyduje Centralna Komisja do spraw kadr naukowych, a ta znacznie ostrzej ocenia uchwały, czy to w sprawie postanowień rad wydziałowych na stopień naukowy doktora habilitowanego, czy tytułu profesora. Oczywiście widziałem, że wszyscy ubiegający się o stopnie naukowe i tytuły profesorów z niecierpliwością czekali na orzeczenie Centralnej Komisji.

Kontakty z profesorem Janem Kmitą miałem potem coraz częstsze. Był to wysokiej klasy naukowiec, a przy tym dobry nauczyciel. W późniejszych latach wspólnie napisaliśmy książkę naukową, a jeszcze później, na jego życzenie, zostaliśmy przyjaciółmi. To był naprawdę wielki człowiek.

Po raz drugi w Liège

Drugi staż odbył się zgodnie z przewidywaniami w październiku 1973 r. Instytut Budownictwa Uniwersytetu w Liège zwrócił się z prośbą do rektora mojej uczelni o wyrażenie zgody na mój przyjazd w celu odbycia trzymiesięcznego stażu.

W programie drugiego stażu przewidziano kontynuowanie badań deformacji i przemieszczeń elementów doświadczalnych będących pod wpływem zjawisk reologicznych, przeprowadzenie badań niszczących elementów doświadczalnych oraz napisanie raportu końcowego.

Po załatwieniu wszystkich formalności niezwłocznie przystąpiłem do realizacji zaprogramowanych badań. Przebiegały one bardzo sprawnie, zarówno te podstawowe, jak i uzupełniające. Ciekawe były zwłaszcza badania niszczące elementów zespolonych. Postanowiono zwrócić szczególną uwagę na proces zarysowywania się elementów w procesie statycznego powiększania obciążenia – temu zagadnieniu poświęciłem w przeszłości wiele uwagi.

Wyniki badań potwierdziły teoretyczne przewidywania. Przygotowany przeze mnie raport obejmujący cały proces badania elementów doświadczalnych oraz badań uzupełniających został przyjęty przez kolegium instytutu. W dowód

uznania mojego zaangażowania i zrealizowania całego programu badań, zostałem zaproszony na uroczystą kolację.

W czerwcu 1975 r. udałem się na kongres RiLEM, który odbywał się w Liège, Przygotowany przeze mnie referat dotyczący konstrukcji zespolonych został opublikowany w materiałach kongresowych.

W listopadzie 1975 r. zostałem ponownie zaproszony przez Instytut Budownictwa w Liège, tym razem w celu przeprowadzenia dwóch seminariów. W lutym 1976 r., w czasie dziesięciodniowego pobytu, przeprowadziłem dwa seminaria poświęcone wpływowi zjawisk reologicznych na stany naprężeń w przekrojach zespolonych, szczególnie żelbetowo-sprężonych.

Część V

Zielonogórska

Przejście do Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze

W czerwcu 1976 r. niespodziewanie z prośbą o rozmowę zwrócił się do mnie kierownik Wydziału Nauki Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Poznaniu. Był to mój przyjaciel doktor Jerzy Filipiak – były pracownik Politechniki Poznańskiej. Bez żadnego wstępu, w imieniu ministra, profesora Sylwestra Kaliskiego, przedstawił mi propozycję przejścia do pracy w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Zielonej Górze, z jednoczesnym przejściem funkcji rektora tej uczelni. Byłem tak bardzo zaskoczony tą propozycją, że zaniemówiłem. Nigdy nawet o tym nie myślałem, tym bardziej że w Poznaniu czułem się bardzo dobrze, a moje sprawy życiowe układały się pomyślnie, w Poznaniu mieszkali moi rodzice i rodzeństwo, a także krewni, tu miałem wielu przyjaciół, zajmowałem wygodne mieszkanie. Zieloną Górę znałem tylko z opowiadań oraz kilku wizytacji. Zapytałem Jerzego, dlaczego wybór padł na mnie, a nie na jakiegoś pracownika Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze? Odpowiedział: „Takie rozwiązanie jest zupełnie niemożliwe. Dwukrotnie przeprowadzone kontrole przez Najwyższą Izbę Kontroli nie przyniosły żadnych pozytywnych rezultatów”. „Może i tak jest, ale dlaczego nie ma żadnych propozycji dla osoby z Politechniki Wrocławskiej, skoro mają bardzo dobrą współpracę?” – zapytałem. Jerzy odpowiedział: „Problem polega na tym, że w uczelni zielonogórskiej utworzyły się dwie grupy: wrocławska i ogólnopolska, wzajemnie rywalizujące”. To uzasadnienie było dla mnie ważne. Po chwili znów zapytałem: „Dlaczego ja, na dodatek z Wydziału Budownictwa, a nie innych wydziałów na Politechnice Poznańskiej?”. Jerzy uzasadnił to następująco: „Przed rozmową z tobą rozważaliśmy jeszcze innego kandydata, który po rozpatrzeniu propozycji odmówił jej przyjęcia”. W tej sytuacji czułem się wielce zakłopotany, bo z jednej strony było to swego rodzaju wyróżnienie, ale z drugiej czekało mnie wiele niewiadomych, a może i trudności, których pokonanie nie będzie takie proste. Jerzy dodatkowo poinformował mnie, że jeśli chodzi o mieszkanie, to będzie ono takie, jakie mam teraz w Poznaniu, a może

nawet i większe, też spółdzielcze. Na zakończenie naszej rozmowy zapewnił mnie, że wie, jak trudna jest to decyzja i że muszę ją omówić z żoną, dlatego nie oczekiwał ode mnie odpowiedzi w tym momencie. Dał mi trzy dni do namysłu, pożegnaliśmy się, a ja zostałem sam na sam z problemem. Bałem się natychmiast pójść do domu, a czas był już najwyższy. Zastanawiałem się, jak przedstawię żonie złożoną mi propozycję. Przecież z takim trudem zbudowaliśmy ognisko domowe, mamy dobre mieszkanie, na pięknym osiedlu i blisko uczelni. Mamy synów kontynuujących naukę i wspólnych przyjaciół.

Po moim wejściu do mieszkania żona od razu zapytała: „Dlaczego tak późno wracasz?”. Opowiedziałem jej o spotkaniu z przyjacielem i o przedstawionej przez niego ważnej propozycji pracy. Żona zapytała: „Jaka to propozycja?”. Odparłem, że chodzi o przejście do Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze z jednoczesnym objęciem funkcji rektora tej uczelni. Liczyłem się z tym, że żona będzie negatywnie nastawiona do tej propozycji, a ona, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, powiedziała: „No to jedziemy!”. Byłem w szoku. Teraz to ja czułem się oponentem, miałem wszak wiele wątpliwości. Zawsze jednak wszystkie sprawy omawiałem z żoną, co było bardzo korzystne dla naszego małżeństwa. Dlatego wieczorem długo rozmawialiśmy na ten temat, analizując wszystkie argumenty za i przeciw. Ostatecznie doszliśmy do wniosku, że się zgodzę. Odwiedziłem również rodziców i poinformowałem ich o zmianie miejsca zamieszkania i objęciu kierownictwa uczelni w Zielonej Górze. Byli mile zaskoczeni, choć wiedzieli, że tracą bezpośredni kontakt z synem, a jak wielokrotnie wspominałem, mieliśmy bardzo dobre relacje. Gdy przedstawiłem im otrzymaną propozycję, powiedzieli: „Ale przecież będziesz mógł nas odwiedzać, na miejscu jest jeszcze twój brat i siostra”.

Decyzja zatem zapadła. Poinformowałem mojego kolegę Jerzego, że zgadzam się na zmianę miejsca zamieszkania i objęcie funkcji rektora na zielonogórskiej WSI, ale musimy jeszcze porozmawiać o kilku szczegółach. Spotkaliśmy się na drugi dzień i przedstawiłem mu moje stanowisko: „Jestem zdecydowany podjąć pracę w Zielonej Górze pod warunkiem, że jeszcze w tym roku, do końca grudnia, będę miał odpowiedni przydział na mieszkanie spółdzielcze, bo razem z żoną nie przewidujemy długiej rozłąki”. Jerzy zapewnił mnie, że dołoży wszelkich starań, aby tak się stało. Poruszyłem także drugą sprawę: „Powiedz mi, jakie jest stanowisko władz politycznych w Zielonej Górze w kwestii zmiany rektora?”. Szczerze, choć z lekkim zakłopotaniem odpowiedział, że z tym jest mały problem, Komitet Wojewódzki PZPR w Zielonej Górze bowiem negatywnie ocenia koncepcję zmiany rektora, ale jeśli koniecznie musi się to stać, to oni uważają, że kandydat na rektora powinien być z zielonogórskiego środowiska. Co prawda, w końcowej fazie uzgodnień już tak ostro Komitet nie reprezentował

swojego stanowiska, ale – jak niektórzy mówili – przeciągał sprawę: „Jeśli musi to być ktoś z zewnątrz, na dodatek z Poznania, to powinien to być profesor tytularny”. A ja w tym czasie jeszcze nie miałem tego tytułu. Sprawa była już wstępnie rozpatrywana, ale jej finał był daleki. W czasie kolejnych rozmów nie uzyskałem akceptacji Komitetu Wojewódzkiego PZPR, jednak minister nauki i szkolnictwa wyższego był nieugięty. Zobowiązał ówczesnego rektora Politechniki Poznańskiej, Bolesława Wojciechowicza, do przyjazdu wraz z kandydatem do Warszawy w celu dokładnego omówienia sprawy. W ustalonym terminie znalazłem się wraz z rektorem u ministra Kaliskiego. Rektor scharakteryzował moją osobę, którą dość nieźle znał, byłem przecież jego pełnomocnikiem do spraw bhp i ppoż. oraz prodziekanem. Wspomniał, że pełniłem różne funkcje w mieście i na uczelni. Po prezentacji minister pożegnał rektora i w bezpośredniej rozmowie ze mną dość szczegółowo przedstawił aktualną sytuację w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Zielonej Górze. Omówił stanowisko niektórych środowisk uczelnianych, a przede wszystkim poinformował o braku pozytywnej opinii Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Stwierdził, że jest to, co prawda, duże utrudnienie, ale sprawa bez żadnych wątpliwości zostanie rozpatrzona pozytywnie. „Jeśli wyraził pan już zgodę, to polecam z dniem 1 września zgłosić się w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Zielonej Górze na spotkanie z dyrektorem Zygmuntem Szafranem. Będzie tam obecny również wiceminister Roman Ney” – powiedział. Na koniec życzył mi powodzenia, spokoju i cierpliwości. Sądziłem, że zrobiłem dobre wrażenie, ale wiedziałem, że w tamtych czasach brak akceptacji władz wojewódzkich niezwykle utrudniał pracę. Miałem jednak wiadomość, że stanowisko ministra jest na tyle mocne, że prędzej czy później dojdzie do uzgodnienia.

Czas szybko płynął. W ustalonym terminie pojechałem razem z żoną do Zielonej Góry. Przed miastem zatrzymaliśmy się w zajeździe myśliwskim. Uzgodniłem z żoną, że tutaj będzie oczekiwać na mój powrót. Pojechałem do Wyższej Szkoły Inżynierskiej i zgłosiłem się w rektoracie. Rzeczywiście, profesor Roman Ney był już obecny. Tak samo jak pełniący dotychczas funkcję rektora profesor Zygmunt Szafran. Rozmowa była bardzo krótka: profesor Ney dokonał wzajemnej prezentacji, a ponieważ wcześniej informacje przekazał profesorowi Szafranowi, to na zakończenie ograniczył się do propozycji: „Przejdźcie teraz na ty, bo będziecie musieli z sobą współpracować”. Profesor Ney odjechał, a ja po kilku chwilach rozmowy, umawiając się na kolejne spotkanie, pożegnałem się z Zygmuntem Szafranem i wróciłem do żony. Zjedliśmy wspólnie obiad i po krótkim pobycie w Zielonej Górze wróciliśmy do Poznania.

Zostałem rektorem Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze

Po kilku dniach przyjechałem do Zielonej Góry. Z polecenia ministra objąłem funkcję rektora, a pierwszą sprawą, jaką załatwiłem, było uzyskanie dla siebie pokoju gościnnego. Był to warunek konieczny, abym bez przeszkód mógł być w Zielonej Górze bez przerw na podróże do Poznania i z powrotem.

Dziś mogę stwierdzić, że powierzone mi zadanie było bardzo trudne. Nie mając akceptacji komitetu wojewódzkiego, a mówiąc wprost: nie mając decyzji ministra w formie pisemnej, unikałem rozstrzygania wielu spraw, koncentrując uwagę na poznaniu środowiska, nawiązaniu kontaktów i na realizacji postanowień Najwyższej Izby Kontroli zawartych w dwóch kolejnych protokołach. Od samego początku współpraca z prorektorami układała się bardzo dobrze. Docenci Antoni Wysocki i Henryk Maćkowiak rozumieli, że jakaś zmiana musiała nastąpić. A czy najlepsza? To się dopiero okaże. Obrałem taktykę odwiedzania najważniejszych osób uczelni. W pierwszej kolejności umówiłem się na spotkanie u byłego rektora, docenta Kazimierza Bącala, kierownika Zakładu Metrologii Mechanicznej. Złożyłem także wizytę dziekanom wydziałów elektrycznego i mechanicznego oraz dyrektorce biblioteki, pani magister Marii Wasik – była bardzo zaskoczona, że to rektor przychodzi do niej, poprzedni rektor bowiem nie odwiedzał kierownictwa jednostek uczelni, tylko wzywał ich do siebie. Często spotykałem się z rewidentem kontroli wewnętrznej Zygmuntem Nodzyńskim, który wyrażał zadowolenie ze zmiany rektora. Deklarował realizację postanowienia Najwyższej Izby Kontroli, podkreślając, że rektor Zygmunt Szafran odwlekał podejmowanie jakichkolwiek decyzji.

Spraw ujętych w protokole NIK było wiele, najczęściej raczej drobnych, mało istotnych, ale na każdej uczelni wszystkie postępowania muszą być czytelne i niebudzące wątpliwości. Okazało się na przykład, że nie powoływano komisji, które miałyby prawo do likwidacji popstutego lub zużytego sprzętu, nie przeprowadzano także regularnych inwentaryzacji. Ujawniono, że znikły deski kreślarskie, ponoć zepsute, ale nikt nie wiedział, gdzie są. Brakowało także lamp czy niektórych narzędzi. Niemalym zaskoczeniem były przypadki, kiedy to przeznaczone do badań zamrażarki i lodówki znalazły się w mieszkaniach niektórych pracowników. Co prawda, tłumaczono, że w taki sposób też bada się urządzenia użytku domowego, ale protokołów z badań w ogóle nie było. Były natomiast przypadki podwójnego sprzedania tej samej ekspertyzy – nie były one liczne, ale takie praktyki są po prostu niedopuszczalne. Te wszystkie drobne sprawy były po kolei rozwiązywane, także dzięki rzetelnej pracy rewidenta, za co mu wielokrotnie dziękowałem.

Najtrudniejszą jednak sprawą była kwestia budowy obiektu dydaktycznego, o bardzo dużej kubaturze, bez uprzednio uzyskanego stosownego pozwolenia. Po prostu rozpoczęto budowę, zakładając, że wystarczy rozpocząć inwestycję, ponieważ taki obiekt był uczelni potrzebny, zatem ministerstwo się do tego przychyli, zostanie wydane pozwolenie i wpłyną środki finansowe. W tamtym okresie centralą dla inwestycji szkół wyższych była dyrekcja Inwestycji Uczelnianych z siedzibą w Poznaniu. Pierwsze kontakty, jakie nawiązałem z tą instytucją, pokazały, że w ogóle starań o wprowadzeniu takich inwestycji do planu nie zrobiono. Sprawa zatem była oczywista: decyzją nadzoru Głównego Zarządu Urzędu Budowlanego budowa obiektu – już w pewnym stopniu zaawansowana – została wstrzymana. Na placu budowy były już wykonane elementy prefabrykowane, ramy typu H i bezpośrednio montowane w odpowiednich miejscach konstrukcji, należało więc dołożyć wszelkich starań, aby pozwolenie na budowę uzyskać w jak najkrótszym czasie. Co prawda, projekt był, ale brakowało bardzo wielu uzgodnień. Kilka moich wizyt w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego, bezpośrednio u dyrektora Departamentu Inwestycji, magistra inżyniera Romana Pawłowskiego, doprowadziło do ustalenia, co po kolei należy załatwić. Wszelkie uzgodnienia trwały ponad pół roku, ostatecznie uczelnia uzyskała pozwolenie i budowa była kontynuowana.

W pierwszym okresie moje działania ograniczały się wyłącznie do spraw uczelni. Jednym z bardziej istotnych zadań było zorganizowanie i przeprowadzenie inauguracji roku akademickiego 1976/1977. Miałem już wówczas wsparcie większości pracowników, którzy chętnie mi pomagali, tak więc inauguracja przebiegła bez żadnych zakłóceń. Nastąpiło oficjalne przekazanie władzy rektorskiej przez profesora Zygmunta Szafrana, który przekazał mi insygnia władzy rektorskiej. Wówczas ogłosiłem rozpoczęcie roku akademickiego słowami: *Quod felix faustum bonum fortunatumque sit*. Na zakończenie zwróciłem się do studentów i nauczycieli akademickich oraz pracowników uczelni, co zostało bardzo dobrze przyjęte przez całą społeczność akademicką. Niektórzy mieli łzy w oczach, gdy mówiłem, by pamiętali o swoich rodzicach, najbliższych, wzajemnym szacunku i empatii. Podkreśliłem, że wspólnie budujemy naszą przyszłość.

Na inauguracji byli obecni jeden z sekretarzy komitetu wojewódzkiego, wicewojewoda i wiceprezydent Zielonej Góry. Po inauguracji otrzymywałem same pozytywne oceny, w lokalnej prasie podkreślano rangę tego wydarzenia.

Po inauguracji z większą intensywnością nawiązywałem kontakty z poszczególnymi jednostkami, z wydziałem personalnym, z wydziałem aparatury, działem do spraw nauki. Spotykałem się z zyczliwością, choć były głosy, że jestem nieformalnym rektorem. Sugerowano: „Zapytajcie rektora, czy ma papiery”. Ja, choć rzeczywiście ich nie miałem, rzetelnie wykonywałem swoją pracę, kontaktując się z ministerstwem i informując o przebiegu realizacji zadań. Na moje

pytanie, kiedy otrzymam oficjalną nominację, dyrektor Mieczysław Derentowicz najczęściej mówił: „Niech będzie pan cierpliwy, sprawa zakończy się dobrze”.

Bardzo dobrze współpracowało mi się z sekretarką rektora. Pozostała na tym stanowisku, była bowiem bardzo pryncypialną w utrzymywaniu porządku w sekretariacie i w kontaktach z innymi jednostkami uczelni, co mi bardzo odpowiadało.

Zgodnie ze swoim postanowieniem nie składałem wizyt wojewodzie i prezydentowi miasta czy dyrektorom dużych zakładów przemysłowych w mieście. Nie nawiązywałem żadnych kontaktów z burmistrzami miast współpracujących z uczelnią. Bywałem w teatrze, w filharmonii, ale zawsze nieoficjalnie. Czasami bardzo to utrudniało pracę, bo niektóre zajęcia, szczególnie laboratoryjne, odbywały się w zakładach pracy. Na przykład studenci Wydziału Elektrycznego odbywali niektóre zajęcia laboratoryjne w Lumelu, a Wydziału Mechanicznego w Zastalu. Ważne zatem było utrzymywanie jak najlepszych kontaktów z tymi zakładami, niekiedy były bowiem one także sponsorami w zakupie niezbędnych urządzeń dla tworzonych w uczelni laboratoriów.

W drugiej połowie października zatelefonowano z sekretariatu pierwszego sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Zielonej Górze. Poinformowano mnie, że sekretarz zaprasza mnie na spotkanie. Wiedziałem, że to ważny moment. Wizyta była krótka, a rozmowa od samego początku dość sztywna. Momentami wydawało mi się nawet, że sekretarz nie wie, co właściwie powiedzieć. Ostatecznie usłyszałem, że egzekutywa Komitetu Wojewódzkiego partii akceptuje mnie na stanowisku rektora Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze. Ucieszyłem się, ponieważ ta decyzja pozwalała mi na pełną realizację zadań zleconych przez ministra. W trakcie rozmowy nadmieniłem, że okres od przyjazdu z Poznania do dzisiaj był dla mnie niezwykle trudny. Wprawdzie mogłem w pełni realizować wszelkie sprawy wewnętrzne uczelni, ale nie mogłem nawiązywać kontaktów z bardzo ważnymi osobami w mieście i województwie. Na pytanie sekretarza „Dlaczego?” odpowiedziałem, że nie mając stanowiska egzekutywy, nie chciałem w żadnym przypadku pogarszać sytuacji, nawiązując kontakty zewnętrzne. Z jednej strony mógł to odebrać jako rodzaj przytyku, jednak po chwili zorientował się, że w moim stanowisku widać wyraźnie podkreślenie wagi decyzji egzekutywy i jego osoby. Poinformowałem sekretarza także o swoich zamierzeniach w nawiązywaniu kolejnych kontaktów.

Po kilku dniach dostałem pisemną nominację na stanowisko rektora Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze. Wiedziałem, że pozycja ministra była niezwykle mocna, nie tylko w środowisku naukowym, ale także i partyjnym, jednak do chwili uzyskania oficjalnej zgody sekretarza Komitetu Wojewódzkiego towarzyszyła mi niepewność.

Prawa do doktoryzowania i nadawania habilitacji dla Wydziału Budownictwa i Inżynierii Środowiska

W 1986 r., pełniąc funkcję dyrektora Instytutu Budownictwa, rozpocząłem starania o uzyskanie uprawnień doktoryzowania dla Wydziału Budownictwa i Inżynierii Środowiska oraz prawa nadawania przez Radę Wydziału stopnia naukowego doktora nauk technicznych w dyscyplinie budownictwo.

Przedstawiona przeze mnie inicjatywa uzyskała pełne poparcie nie tylko pracowników wydziału, ale także ówczesnego rektora uczelni, profesora Michała Kisielewicza. W składzie osobowym wydziału na kierunku budownictwo pracowało pięciu profesorów oraz sześciu docentów, w tym trzech ze stopniem doktora habilitowanego. Wstępne rozmowy z przedstawicielami wydziałów budownictwa, zarówno Politechniki Poznańskiej, jak i Politechniki Wrocławskiej, pozwalały przypuszczać, że wniosek znajdzie uznanie Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Uzyskaliśmy przychylne stanowisko Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa, zwrócono nam jednak uwagę, że w składzie osobowym władz dziekańskich powinien być co najmniej jeden profesor lub doktor habilitowany z kierunku budownictwa.

Ostatecznie wniosek został przygotowany pod koniec 1986 r. Decyzją Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego z roku 1987 wydział uzyskał prawa nadawania przez Radę Wydziału stopnia naukowego doktora nauk technicznych w dyscyplinie budownictwo.

Pierwsze obrony odbyły się w 1989 i 1992 r., a promotorami byli profesor Leon Rowiński z Politechniki Gliwickiej i profesor Kazimierz Flaga, dr h.c. multi z Politechniki Krakowskiej. Doktorami zostali wówczas Jerzy Łakomski i Andrzej Kuśnierz. Z biegiem lat w strukturze wydziału pracowało coraz więcej profesorów i doktorów habilitowanych.

W kadencji 2008-2012 w strukturze wydziału funkcjonowały dwa instytuty i odbywało się kształcenie na trzech kierunkach: budownictwo, architektura i inżynieria środowiska. W grupie 20 pracowników samodzielnych (profesorów tytularnych i doktorów habilitowanych) były osoby reprezentujące dziedzinę nauk technicznych i jedną z dyscyplin. Tak liczna grupa pracowników samodzielnych w strukturze wydziału skłoniła dziekana, dr. hab. inż. Jakuba Marciniowskiego, prof. UZ, do przygotowania wniosku o przyznanie Wydziałowi Inżynierii Lądowej i Środowiska Uniwersytetu Zielonogórskiego uprawnień habilitowania w dziedzinie nauk technicznych w dyscyplinie budownictwo. Wniosek został wysłany w lipcu 2009 r., a 14 czerwca 2010 r. dziekan otrzymał

decyzję Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów Naukowych odmawiającą przyznania wnioskowanych uprawnień. Dla bardzo młodej i prężnie rozwijającej się uczelni, jaką był wówczas Uniwersytet Zielonogórski, zdobycie kolejnych uprawnień habilitowania było niezwykle ważne. Niezrażony tym niepowodzeniem dziekan, wspierany przeze mnie, kontynuował starania. Okazją był ponowny wybór prof. Jakuba Marcinowskiego na dziekana wydziału w kolejnej kadencji. Nowe zatrudnienia oraz habilitacje zdobywane przez pracowników wydziału sprawiły, że na początku 2012 r. liczba pracowników samodzielnych, reprezentujących dziedzinę nauk technicznych, wzrosła do 23.

Za moim pośrednictwem dziekan odbierał sygnały zachęcające do ponownego złożenia wniosku. Forma szczerzej zachęty pochodziła od profesorów, którzy recenzowali poprzedni wniosek. Aktualizację wniosku z 2010 r. przygotował dr hab. inż. Andrzej Greinert, prodziekan wydziału. Wniosek został wysłany do Centralnej Komisji w październiku 2012 r. Na prośbę Biura CK zostały doślane komplety dokumentów związanych z trzema ostatnimi doktoratami przeprowadzonymi na wydziale.

Pozytywna decyzja CK poprzedzona została także pozytywną opinią Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego, która podjęto 25 marca 2013 r., co było niewątpliwym sukcesem dziekana Jakuba Marcinowskiego. Stosowny dokument, podpisany przez prof. dr. hab. Jerzego Szaflika, jest pieczołowicie przechowywany w archiwach wydziału.

Uprawnienia habilitowania to także możliwość inicjowania i przeprowadzania postępowania nadania tytułu doktora honorowego. Z inicjatywą nadania tej godności profesorowi Zbigniewowi Kowalowi wystąpił dziekan Jakub Marcinowski, a ja wygłosiłem laudację na uroczystości nadania tytułu doktora honorowego w dniu 16 czerwca 2015.

Moje zainteresowania działalnością naukowo-techniczną i legislacyjną

Poza działalnością naukową i dydaktyczną, szczególne zainteresowania wykazywałem w obszarze działalności naukowo-technicznej i legislacyjnej oraz z wprowadzaniem prawa do życia.

Spśród wielu zagadnień, trzy były w zakresie szczególnego mojego zainteresowania:

- racjonalizacja użytkowania energii i transformacja energetyczna,
- legislacja procesu inwestycyjno-budowlanego oraz dostosowanie prawa polskiego do wymagań unijnych,
- budownictwo mieszkaniowe i ochrona praw lokatorów.

Racjonalizacja użytkowania energii interesowała mnie nie tylko od początku mojej pracy zawodowej, ale także w życiu codziennym. Będąc jeszcze na stanowisku starszego asystenta, z pasją prowadziłem wykłady i ćwiczenia z zakresu fizyki budowli, zawsze bowiem uważałem, że strategicznym celem polityki państwa powinno być zmniejszenie energochłonności gospodarki oraz racjonalizacja użytkowania energii. Już w pierwszych latach posłowania (1985-1989) byłem inicjatorem powołania specjalnej podkomisji do spraw polityki paliwowo-energetycznej i górnictwa oraz odpowiedniego zespołu ekspertów.

Efektom wielomiesięcznej pracy zespołu ekspertów w składzie: prof. dr hab. inż. Tadeusz Biliński (przewodniczący), inż. Jan Grabowski, prof. dr hab. Jerzy Michna, mgr Witold Ochremiak, prof. dr hab. inż. Janusz Oprzędkiewicz, prof. dr hab. inż. Władysław Płoński, prof. dr hab. inż. Jerzy Andrzej Pogorzelski, doc. dr hab. Aleksander Szpilewicz, prof. dr inż. Jerzy Tymiński, doc. dr inż. Marian Węglarz, mgr inż. Jerzy Wójcicki, oraz podkomisji było przedłożenie raportu o stanie energochłonności gospodarki i poziomie racjonalizacji użytkowania energii i, co istotne, opracowany został projekt uchwały sejmu.

Sejm 24 maja 1989 r. podjął uchwałę w sprawie racjonalizacji użytkowania energii i paliw w gospodarce narodowej, w której zapisano, że w celu uzyskania właściwej skuteczności i efektywności działań na rzecz racjonalizacji użytkowania energii i paliw w gospodarce narodowej rząd powinien szczególnie wzmocnić swoją koordynacyjną rolę w zakresie kreowania i realizowania polityki energetycznej państwa oraz preferowania kierunków racjonalizacji paliw i energii. Podsumowaniem tej działalności legislacyjnej było wydanie przez Sejm RP książki pod moją redakcją *Racjonalizacja użytkowania energii*.

Byłem przewodniczącym podkomisji nadzwyczajnej do rozpatrzenia poselskiego projektu ustawy o wspieraniu inwestycji termomodernizacyjnych. Sprawę racjonalizacji użytkowania energii wielokrotnie przedstawiałem na posiedzeniach wielu gremiów. Byłem współorganizatorem konferencji, na których najczęściej wygłaszałem także referaty, oraz prowadziłem prelekcje w różnych środowiskach, szczególnie akademickich. Byłem autorem lub współautorem 15 publikacji w czasopiśmie krajowych oraz autorem dwóch książek.

Drugim istotnym zagadnieniem, któremu poświęcałem dużo uwagi, była organizacja procesów inwestycyjno-budowlanych i ich legislacja oraz dostosowanie prawa budowlanego do wymagań unijnych.

Prowadziłem siedem podkomisji sejmowych do rozpatrzenia projektów ustaw o tej problematyce i wielokrotnie byłem posłem sprawozdawcą projektów tych ustaw na plenarnych posiedzeniach sejmu. Wyniki prac legislacyjnych w tym zakresie przedstawiałem między innymi Komitetowi Inżynierii Lądowej i Wodnej PAN, na specjalnych spotkaniach realizowanych przez Naczelną Organizację Techniczną w Warszawie, we Wrocławiu, w Poznaniu i w Zielonej Górze.

Wygłaszałem referaty na wielu konferencjach, 41 moich publikacji znalazło się w czasopiśmie krajowych, jestem autorem lub współautorem 10 książek, w tym dwóch w języku niemieckim.

Trzecim, także pasjonującym mnie zagadnieniem było budownictwo mieszkaniowe i ochrona praw lokatorów. Niemal od samego początku rozwoju budownictwa uprzemysłowionego współuczestniczyłem we wdrażaniu systemów regionalnych i systemu krajowego WK70 i systemu regionalnego RATAJE na terenie Poznania, OW1700K w Koninie oraz systemów Wrocławska Wielka Płyta i System Szczeciński na terenie Zielonej Góry i Gorzowa. Byłem współautorem 11 książek oraz autorem (i niekiedy współautorem) 68 publikacji. Znaczna część ostatnio opublikowanych opracowań, książek lub publikacji dotyczyła modernizacji systemów regionalnych i systemu krajowego.

Dużo uwagi poświęcałem zagadnieniu renowacji budynków i modernizacji obszarów zabudowanych. Byłem inicjatorem i organizatorem konferencji pod nazwą „Renowacja budynków i modernizacja obszarów zabudowanych” w Zielonej Górze, która stała się wydarzeniem cyklicznym, na stałe wchodząc do kalendarza imprez organizowanych pod patronatem m.in. Komitetu Inżynierii Lądowej i Wodnej PAN.

Przez wiele lat byłem konsultantem naukowym w Konińskim Przedsiębiorstwie Budowlanym oraz w Zakładzie Prefabrykacji Suchy Las koło Poznania.

Zostałem Honorowym Profesorem Uniwersytetu Zielonogórskiego

W 2021 r., podczas inauguracji roku akademickiego połączonej z obchodami 20-lecia Uniwersytetu Zielonogórskiego otrzymałem tytuł Honorowego Profesora Uniwersytetu Zielonogórskiego.

Na uroczystej inauguracji dr hab. inż. Marcin Mrugalski, prof. UZ, prorektor ds. nauki i współpracy z zagranicą Uniwersytetu Zielonogórskiego, poinformował zebranych, że w dniu 24 czerwca 2021 r. dr hab. inż. Beata Nowogońska, prof. UZ, przewodnicząca Rady Dyscypliny Naukowej Inżynieria Lądowa i Transport, wystąpiła z wnioskiem o wszczęcie postępowania o nadanie mi tytułu Profesora Honorowego Uniwersytetu Zielonogórskiego. Wniosek ten zyskał poparcie Uczelnianej Rady Dyscyplin Naukowych Uniwersytetu Zielonogórskiego w dniu 14 lipca 2021 r. Następnie, na wniosek Jego Magnificencji Rektora prof. dr. hab. Wojciecha Strzyżewskiego, w dniu 29 września 2021 r. Senat Uniwersytetu Zielonogórskiego przyznał mi tytuł Profesora Honorowego Uniwersytetu Zielonogórskiego za znaczący wkład w rozwój Uniwersytetu Zielonogórskiego poprzez inicjowanie i konsekwentne realizowanie przeobrażeń

jakościowych uczelni zielonogórskich, zarówno w zakresie rozwoju zielonogórskiego środowiska akademickiego, współtworzenia nowych jednostek organizacyjnych, organizacji nowych kierunków studiów i specjalności, jak i aktywnego podejmowania nowych i kontynuowania już podjętych inwestycji uczelnianych.

Z okazji nadania tytułu laudację wygłosiła pani dr hab. inż. Beata Nowo-
gońska, prof. UZ.

Na tej samej uroczystości tytuł Profesora Honorowego Uniwersytetu Zielonogórskiego został nadany panu profesorowi dr. hab. Hieronimowi Szczegółe.

Konferencje naukowe

W Instytucie Budownictwa, w pierwszej kolejności w Wyższej Szkole Inżynierskiej, a następnie na Politechnice Zielonogórskiej i Uniwersytecie Zielonogórskim, istotne znaczenie zawsze miały dydaktyka i badania naukowe, szczególnie jednak interesujące dla środowiska instytutu były konferencje naukowe. Byłem inicjatorem i organizatorem dwóch poważnych konferencji mających już charakter konferencji ogólnopolskich, czyli „Konstrukcje zespolone” i „Renowacje budynków i modernizacja obszarów zabudowanych”. W obu byłem przewodniczącym komitetu organizacyjnego, przewodniczącym zaś komitetu naukowego konferencji „Konstrukcje zespolone” był prof. dr hab. inż. Jan Kmita, były rektor Politechniki Wrocławskiej, a przewodniczącym komitetu naukowego konferencji „Renowacje budynków i modernizacja obszarów zabudowanych” – prof. dr hab. inż. Leonard Runkiewicz, Przewodniczący Rady Naukowej Instytutu Techniki Budowlanej.

Od 2020 r. przewodniczącym komitetu organizacyjnego konferencji „Konstrukcje zespolone” jest dr hab. inż. Jacek Korentz, prof. UZ, a komitetu naukowego tej konferencji – prof. dr hab. inż. Kazimierz Flaga.

Przewodniczącą komitetu organizacyjnego konferencji „Renowacje budynków i modernizacja obszarów zabudowanych” jest dr hab. inż. Beata Nowo-
gońska, prof. UZ, a przewodniczącym komitetu naukowego jest prof. dr hab. inż. Łukasz Drobiec. Dorobek tych cyklicznie odbywających się konferencji został już wielokrotnie przedstawiony w różnych publikacjach.

Szczególnym wydarzeniem ostatniej, trzynastej Konferencji Naukowej „Konstrukcje zespolone 23” była sesja poświęcona jubileuszowi mojego 90-lecia, która odbyła się 29 czerwca 2023 roku.

Uroczystą sesję jubileuszową, jako pierwszą część konferencji, prowadził dr hab. inż. Jacek Korentz, prof. UZ, Przewodniczący Komitetu Organizacyjnego Konferencji. Uroczystego otwarcia dokonał Jego Magnificencja Rektor

prof. dr hab. Wojciech Strzyżewski, który podziękował mi za wkład w powstanie i rozwój Uniwersytetu.

Rektor powiedział m.in.: *Rocznica 90-lecia urodzin obchodzona przy okazji konferencji naukowej to najlepsza forma uroczystości dla naukowca. Pan Profesor miał okazję stworzyć tę konferencję, więc jest to ukoronowanie tej pracy i zaangażowania. Ważny jest również aspekt uniwersalności – Uniwersytet oprócz badań naukowych kształci i to, co środowisko naukowe Panu Profesorowi zawdzięcza, to są rzesze inżynierów, doktorów, doktorów habilitowanych i profesorów, którzy budowali zielonogórskie środowisko uniwersyteckie. W tej kwestii również może się Pan Profesor czuć spełniony. W Lubuskiem nie ma firmy, nie ma przedsiębiorstwa, w którym by nie pracowali absolwenci Uniwersytetu Zielonogórskiego, a wcześniej Politechniki Zielonogórskiej. Te dwa aspekty, które dopełniają życie naukowca, zostały zrealizowane, a trzeci aspekt to autorytet. Pan Profesor jest opoką i autorytetem dla wielu pokoleń budowlanców, ale nie tylko. To takich autorytetów jak Pan Profesor współcześnie bardzo potrzebujemy. Dziękuję za wszystko w imieniu społeczności Uniwersytetu Zielonogórskiego, jak i własnym, i życzę 150 lat.*

Sesję jubileuszową i konferencję zaszczyliło liczne grono wybitnych specjalistów z dziedziny budownictwa, m.in.: prof. dr hab. inż. Kazimierz Flaga, dr h.c. multi, były rektor Politechniki Krakowskiej, prof. dr hab. inż. Kazimierz Furtak, dr h.c. Politechniki Krakowskiej, były rektor Politechniki Krakowskiej, prof. dr hab. inż. Wojciech Radomski, dr. h.c. Politechniki Świętokrzyskiej, były przewodniczący Komitetu Inżynierii Lądowej i Wodnej PAN, prof. dr hab. inż. Maria Kaszyńska, przewodnicząca Zarządu Głównego PZiTb, przewodnicząca Komitetu Inżynierii Lądowej i Wodnej PAN, prof. dr hab. inż. Cezary Madryas, przewodniczący Komitetu Nauki PZiTb, były rektor Politechniki Wrocławskiej, prof. dr hab. inż. Anna Halicka, przewodnicząca sekcji konstrukcji betonowych KILiW PAN, była prorektor Politechniki Lubelskiej, prof. dr hab. inż. Marian Giżejowski, członek Komisji Doskonałości Naukowej, prof. dr hab. inż. Elżbieta Szmigiera, były dyrektor Instytutu Budownictwa Politechniki Warszawskiej, prof. dr hab. inż. Tadeusz Urban – przewodniczący Komitetu Naukowego Konferencji oraz dr hab. inż. Anna Ostańska, Powiatowy Inspektor Nadzoru Inwestorskiego w Lublinie.

W sesji jubileuszowej uczestniczyło ponadto liczne grono pracowników nauki ze środowiska zielonogórskiego, m.in. prof. dr hab. inż. Antoni Matysiak, prof. dr hab. inż. Jakub Marcinowski, prof. dr hab. inż. Adam Wysokowski, prof. dr hab. inż. Andrzej Jędrzcak, prof. dr hab. inż. Zygmunt Lipnicki, prof. dr hab. Michał Kisielewicz, dr hab. inż. Beata Nowogońska, prof. UZ, dr hab. inż. Jacek Korentz, prof. UZ, dr hab. inż. Waldemar Szajna, prof. UZ, dr hab. inż. arch. Marta Skiba, prof. UZ, dr hab. inż. arch. Anna Bazan-Krzywoszańska, prof. UZ.

Specjalne gratulacje w formie online wygłosił Minister Infrastruktury i Budownictwa Andrzej Adamczyk.

W ramach oficjalnych wystąpień życzenia i gratulacje przekazali: w imieniu Wicemarszałka Sejmu Włodzimierza Czarzastego wystąpił poseł Wiesław Szczeptański, w imieniu sekretarza Nowej Lewicy Krzysztofa Gawkowskiego wystąpiła posłanka Anita Kucharska-Dziedzic. Uroczystość zaszczylicili swoją obecnością także poseł Jerzy Materna oraz Jego Magnificencja Rektor prof. Wojciech Strzyżewski, prof. Maria Kaszyńska, prof. Cezary Madryas, prof. Kazimierz Flaga, prof. Kazimierz Furtak, prof. Beata Nowogońska i Artur Juszczyk. W imieniu Instytutu Budownictwa – Wojciech Poręba, przewodniczący Lubuskiej Okręgowej Izby Inżynierów Środowiska, a także poseł Witold Czarnecki oraz wielu kolegów i przyjaciół.

Na uroczystości jubileuszowej laudację o moim życiu i osiągnięciach naukowych wygłosiła prof. Beata Nowogońska, która powiedziała na wstępie: *Przypadł mi wielki zaszczyt i przyjemność wygłosić laudację na cześć Pana Profesora, który zawsze z ogromną życzliwością wspierał rozwój zielonogórskiego środowiska naukowego i dobrą radą wspiera nadal.*

Poniżej tekst laudacji.

Laudacja – Profesor Tadeusz Biliński – życie i osiągnięcia naukowe

Professor Tadeusz Biliński urodził się 4 grudnia 1932 r. w miejscowości Trzemeszno na pograniczu Wielkopolski i Kujaw. W grudniu 1939 r. wraz z całą rodziną został przesiedlony do Generalnej Guberni, początkowo do Garwolina k/Warszawy, później kolejno do Lublina, Garbatki i wreszcie do Częstochowy. Po wojnie rodzina Profesora wróciła do Trzemeszna, a on sam zdał egzamin do tamtejszego Gimnazjum i Liceum, by od roku 1947 kontynuować naukę w Poznaniu, gdzie w 1950 r. zdał maturę w Gimnazjum i Liceum Św. Marii Magdaleny. Po maturze profesor pracował przez rok jako robotnik w Oddziale Drogowym PKP w Poznaniu, a w 1951 r. rozpoczął studia na Wydziale Budownictwa Lądowego Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Poznaniu, które ukończył ze stopniem inżyniera w 1954 r. Następnie kontynuował studia na Politechnice Poznańskiej, gdzie w 1956 r. otrzymał tytuł magistra inżyniera budownictwa lądowego w specjalności konstrukcje budowlane. Dodatkowo, w latach 1956-1959, Profesor poszerzał swoje wykształcenie na studiach aspiranckich w Katedrze Budownictwa Politechniki Poznańskiej, a także w okresie 1957-1961 studiował zaocznie matematykę na Wydziale Matematyczno-Fizycznym na Uniwersytecie Wrocławskim.

Początki działalności zawodowej i naukowej Profesora związane są z Politechniką Poznańską, gdzie w 1959 r. rozpoczął pracę, najpierw w Katedrze Budownictwa i potem w Instytucie Technologii i Konstrukcji Budowlanych. W roku 1965 uzyskał stopień doktora nauk technicznych, następnie, w 1972, na Politechnice Wrocławskiej stopień doktora habilitowanego. W okresie 1968-1978 decyzją Ministra Nauki Szkolnictwa Wyższego i Techniki piastował stanowisko docenta etatowego, początkowo na Wydziale Budownictwa Lądowego Politechniki Poznańskiej, a od 1976 r. w Instytucie Budownictwa Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze. Jednocześnie od 1976 r. do września 1981 r. pełnił funkcję rektora Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze. W 1978 r. Uchwałą Rady Państwa otrzymał tytuł naukowy profesora nadzwyczajnego, a w 1987 r. tytuł profesora zwyczajnego. W latach 1982-1984 został zatrudniony w ramach kontraktu zagranicznego jako wykładowca na Uniwersytecie Technicznym w Oranie w Algierii. W 1984 r. prof. Tadeusz Biliński wrócił do Zielonej Góry i tutaj, w Wyższej Szkole Inżynierskiej, objął funkcję prorektora ds. nauczania i wychowania oraz jednocześnie został dyrektorem Instytutu Technologii i Organizacji Budownictwa, którą to funkcję sprawował do roku 1987. W kolejnych latach był prodziekanem Wydziału Budownictwa i Inżynierii Sanitarnej (1987-1990), dyrektorem Instytutu Budownictwa (1996-2002) oraz kierownikiem Zakładu Budownictwa Ogólnego i Architektury (2002-2006).

Prof. Tadeusz Biliński szczególnie duży wkład wniósł w rozwój uczelni zielonogórskich i zielonogórskiego środowiska akademickiego. Był rektorem, prorektorem, pełnił także funkcję dyrektora instytutu, prodziekana w Wyższej Szkole Inżynierskiej, Politechnice Zielonogórskiej i Uniwersytecie Zielonogórskim. Był inicjatorem i konsekwentnym realizatorem przeobrażeń jakościowych uczelni zielonogórskich. Współtworzył nowe jednostki organizacyjne, współdziałał w organizacji nowych kierunków studiów i specjalności, wspierał utworzenie Uniwersytetu Zielonogórskiego. Kontynuował już podjęte inwestycje uczelniane, podejmował nowe, bez których dzisiaj trudno sobie wyobrazić funkcjonowanie Wydziału Budownictwa, Architektury i Inżynierii Środowiska. Wniósł duży wkład w rozwój zielonogórskiego środowiska akademickiego. Wśród najważniejszych osiągnięć organizacyjnych Profesora należy wymienić:

- uczestnictwo w tworzeniu województwa lubuskiego,
- aktywny udział w działaniach na rzecz uzyskania przez Wyższą Szkołę Inżynierską w Zielonej Górze statusu Politechniki Zielonogórskiej,
- aktywne działanie w sejmie na rzecz utworzenia Uniwersytetu Zielonogórskiego,
- zainicjowanie i prowadzenie sprawy otrzymania uprawnień doktryzowania na kierunku budownictwo na Wydziale Budownictwa Inżynierii Środowiska; były to pierwsze uprawnienia doktryzowania na uczelni,
- wsparcie i pomoc w uzyskaniu uprawnień habilitowania w dyscyplinie budownictwo,

- wprowadzenie do planu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego budowy budynku dydaktycznego A-2,
- zainicjowanie budowy budynku laboratoryjnego dla inżynierii środowiska w ramach praktyk budowlanych naszych studentów,
- działania na rzecz budowy budynku dydaktyczno-laboratoryjnego dla Wydziału Budownictwa i Inżynierii Środowiska – budynek A-8 (senior budowy).

Profesor Tadeusz Biliński jest autorem lub współautorem blisko 300 publikacji naukowych, w tym ok. 30 monografii. Profesor Tadeusz Biliński wypromował 11 doktorów i sprawował opiekę nad pięcioma habilitacjami. Recenzował 12 prac doktorskich i 6 prac habilitacyjnych. Opracował 6 opinii dorobku naukowego i dydaktycznego pracowników nauki w związku z wszczęciem postępowania o nadanie tytułu naukowego profesora.

Profesor był członkiem Komitetu Inżynierii Lądowej i Wodnej PAN w latach 1999-2002 (członek Sekcji Konstrukcji Betonowych, członek Sekcji Inżynierii Przedsięwzięć Budowlanych). Zorganizował m.in. dwa posiedzenia kierownictwa Komitetu z Ministrem Spraw Wewnętrznych i Administracji oraz Ministrem Budownictwa i Gospodarki Przestrzennej, miał 4 programowe wystąpienia. Ponadto był członkiem Komisji Nauki Polskiego Związku Inżynierów i Techników Budownictwa (PZITB) – najpierw w Oddziale Poznańskim, a następnie w Oddziale Zielonogórskim, pełniąc funkcję przewodniczącego, był członkiem Komitetu Nauki PZITB.

Z inicjatywy Profesora organizowane są i przeprowadzane na naszej uczelni cykliczne konferencje naukowe. Należą do nich szczególnie uznane w środowisku naukowym, takie jak konferencja „Konstrukcje Zespólone” i konferencja „Renowacja budynków i modernizacja obszarów zabudowanych”. Profesor jest również członkiem komitetów honorowych i naukowych wielu zjazdów, kongresów i konferencji krajowych i zagranicznych oraz współpracował przy budowie stanowisk badawczych. Wielokrotnie sprawował opiekę naukową krótkoterminowych staży naukowych pracowników nauki i innych ośrodków krajowych i zagranicznych (NRD, Belgia, Algieria). Profesor współpracował z licznym gronem naukowców z innych krajowych ośrodków naukowych. Współpracował także z kilkoma ośrodkami zagranicznymi.

Szczególnie dużo uwagi poświęcał przygotowaniu do zajęć dydaktycznych. Uważany jest za bardzo dobrego wykładowcę, prowadził wykłady zawsze bez żadnych pomocy dydaktycznych. Tylko tablica i kreda, i w bezpośrednim kontakcie ze studentami. Tę zdolność pamięciowego opanowania treści wykorzystywał w czasie wygłaszania referatów na konferencjach czy seminariach, w czasie różnych wystąpień, prezentacji. W celu usprawnienia i podwyższenia efektywności procesu dydaktycznego wspólnie ze swoimi współpracownikami lub osobiście opracował 17 skryptów z zakresu budownictwa prefabrykowanego, budownictwa systemowego, systemów budowlanych, za opracowanie których dwukrotnie otrzymał nagrodę Ministra II stopnia.

W swojej działalności organizatorskiej dużo uwagi poświęcał laboratoriom dydaktycznym. W latach 1985-1986 współuczestniczył w organizacji i budowie polygonowego laboratorium dydaktycznego technologii i organizacji budowy w Zielonej Górze. Celem organizacji tego laboratorium było stworzenie odpowiednich warunków do prowadzenia zajęć z technologii elementów prefabrykowanych i z technologii oraz montażu elementów prefabrykowanych.

Profesor Tadeusz Biliński w latach 70. angażował się w organizowanie studiów podyplomowych na terenie zakładów pracy. Przykładowo zorganizował i prowadził przyzakładowe studium prefabrykacji w Zjednoczeniu Budownictwa Rolniczego w latach 1969-1971, w których udział brali pracownicy inżynieryjno-techniczni Biura Zjednoczenia Budownictwa Rolniczego i przedsiębiorstw budownictwa rolniczego. W całym okresie pracy zawodowej działał w różnych, pozauczelnianych, strukturach organizacyjnych, szczególnie dużo uwagi poświęcał wdrażaniu systemów budownictwa i nowych technik. Był konsultantem naukowym i doradcą.

Profesor Tadeusz Biliński poza działalnością naukową i dydaktyczną bardzo aktywnie uczestniczył w życiu społecznym i gospodarczym na szczeblu regionalnym i krajowym. Współpracował z licznymi przedsiębiorstwami budowlanymi, zakładami produkcji wyrobów budowlanych, kombinatami budowlanymi, biurami projektowymi, a także organami władzy rządowej i samorządowej. Był współorganizatorem Kongresu Budownictwa Polskiego w roku 2002 w Warszawie.

Profesor Tadeusz Biliński był niezwykle aktywnym uczestnikiem życia społecznego i politycznego. Od 1985 r. przez pięć kolejnych kadencji był posłem na Sejm Rzeczypospolitej i w tym czasie był m.in. członkiem Delegacji Parlamentarnej Polski do Parlamentu UE, piastował także funkcję przewodniczącego Sejmowej Komisji Polityki Przestrzennej, Budowlanej i Mieszkaniowej. Za całokształt pracy w parlamencie otrzymał niezwykle cenny wyraz uznania w postaci Pucharu Fair Play, przyznanego Mu przez posłów, członków Komisji.

Profesor działał aktywnie również w licznych stowarzyszeniach związanych m.in. z budownictwem, problematyką racjonalizacji użytkowania energii czy spółdzielczością mieszkaniową.

Za wybitne zasługi i zaangażowanie w pracy naukowej, dydaktycznej i stowarzyszeniowej Profesor był wielokrotnie odznaczany, m.in. Krzyżem Kawalerskim i Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski (1978 i 1989), Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą OOP (2000), Medalem Komisji Edukacji Narodowej (1978) i innymi odznaczeniami oraz nagrodami.

Nie sposób wymienić wszystkich obszarów aktywności Pana Profesora, za które otrzymał wiele nagród, odznaczeń i wyróżnień, m.in.: statuetkę Lubuskiej Izby Budownictwa „Kielnia Lubuska”, tytuł Honorowego Obywatela Miasta Zielona Góra. W trakcie swojej pracy naukowej, organizacyjnej i społecznej zyskał uznanie bardzo wielu ludzi, wobec których był zawsze niezwykle życzliwy. W 2017 r. – podczas

uroczystej winobraniowej sesji Rady Miasta – w planetarium *Wenus* – Profesor otrzymał tytuł Honorowego Obywatela Miasta Zielona Góra.

W 2021 r. podczas inauguracji roku akademickiego połączonej z obchodami 20-lecia Uniwersytetu Zielonogórskiego Profesor otrzymał tytuł Honorowego Profesora Uniwersytetu Zielonogórskiego.

Profesor znajduje w tym wszystkim również czas na życie prywatne. Aktualnie Profesor jest wdowcem. Ma dwóch dorosłych synów, wnuka, wnuczkę i od niedawna prawnuczkę.

Złoty Medal za Zasługi dla Rozwoju Miasta Zielona Góra

Swoje życzenia i podziękowania wygłosił również Prezydent Miasta Zielona Góra, Janusz Kubicki. Powiedział m.in.: *Mamy okazję dzisiaj uczestniczyć w wielkim wydarzeniu. Profesor Tadeusz Biliński obchodzi jubileusz 90-lecia. Jak w kilku zdaniach określić tak wspaniałą osobę jak Profesor Biliński? To wielki naukowiec, wielki społecznik, wielki polityk, wspaniały ojciec, ale również nauczyciel. Ja także na swojej drodze, jak wielu z Państwa, miałem okazję spotkać Pana Profesora. Utkwiło to w mojej pamięci i myślę, że wszyscy jesteśmy wdzięczni Profesorowi za to, że potrafił nam w życiu wskazać drogę i pomagać. Obecność tak wielu znamienitych osób świadczy o tym, że nie jestem odosobniony w tym poglądzie. Pan Profesor w Zielonej Górze dokonał wielu rzeczy. Nie jestem w stanie wymienić wszystkich, bo zabrakłoby nam czasu. Panie Profesorze, od wielu lat ma Pan tytuł Honorowego Obywatela Miasta Zielonej Góry, a ja chciałbym dzisiaj wręczyć Panu dodatkowy argument podkreślający znaczenie Pana osoby dla miasta – Złoty Medal za Zasługi dla Rozwoju Miasta Zielona Góra, bo myślę, że Panu się należy w pierwszej kolejności – za to, co Pan zrobił dla naszego miasta, dla wszystkich, którzy tutaj żyją, dla regionu lubuskiego. Panie Profesorze, bardzo dziękuję za to i liczę, że dalej będzie Pan nas wspierał radą, tak jak cały czas Pan to robi.*

Na zakończenie sesji jubileuszowej zostałem poproszony o zabranie głosu. Powiedziałem wtedy:

*Niepostrzeżenie mijają chwile,
potem dni tygodnie miesiące,
a potem już lata mijają dyskretnie i skrycie,
i tak szybko mija życie.
Szczególnie wśród grona najbliższych,
wśród grona przyjaciół,
tak niewiele cierni a tak wiele pięknych kwiatów.
Dziesiąt, dziesiąt i już dziewięćdziesiąt.*

Nie jest to informacja, jest to przestroga: co się raz skończy, nie można zacząć od nowa.

Serdecznie podziękowałem wszystkim uczestnikom sesji jubileuszowej, dostojnym gościom, współpracownikom, studentom i organizatorom sesji – blisko 180 osobom. Uroczystość zakończyła się poczęstunkiem.

Część VI

Pobyt i praca za granicą

Algieria. Przygotowania do wyjazdu

We wrześniu 1981 r. zakończyłem pełnienie funkcji rektora Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze, zgodnie z planem włączyłem się bardzo aktywnie w proces dydaktyczny, proces badań naukowych i kształcenia kadr naukowych. Napisałem kilka artykułów i rozpocząłem pisanie kolejnej książki: choć czasy były niespokojne, ja w swojej pracy naukowo-badawczej znalazłem ukojenie. Rozwijałem także kontakty z przedsiębiorstwami budowlanymi i stowarzyszeniami działającymi na terenie Zielonej Góry. Miałem aktywne kontakty z Polskim Związkiem Inżynierów i Techników Budownictwa oraz Stowarzyszeniem Architektów Polskich, wraz z żoną uczestniczyliśmy w różnych spotkaniach towarzyskich. Bez obowiązków administracyjnych zarządzania uczelnią pracowałem mi się bardzo dobrze. Jak zawsze lubiłem wykładać i prowadzić ćwiczenia. Miałem po prostu częstsze kontakty ze studentami. Szczególnie zależało mi na rozwoju naukowym pracowników Instytutu Budownictwa. Sam prowadziłem seminaria naukowe i dopingowałem innych do wystąpień na zebraniach instytutu.

W tym czasie opiekowałem się dwoma młodymi pracownikami: mgr. inż. Janem Gielarowskim i mgr. inż. Januszem Kowalskim, tymczasowo pracującym w Inwestprojekcie w Kaliszu.

Praca dawała mi bardzo dużo satysfakcji. Wracałem do domu po południu, a nie jak we wcześniejszych latach o różnych porach dnia. W domu mogłem spokojnie pracować nad kolejnymi publikacjami, jednak pewnego dnia, ku mojemu zaskoczeniu, moja żona zapytała: „Czy nie masz czasem ochoty pojechać na jakiś kontrakt zagraniczny?”. Odpowiedziałem, że o tym nie myślałem, ponieważ mam zapewnioną pracę, która daje mi wiele przyjemności i spokoju. Zauważyłem, że żona nie była zadowolona z odpowiedzi. Zacząłem przypuszczać, że może już z kimś rozmawiała na ten temat. Stwierdziłem: „To byłoby nowe wyzwanie. A co istotne, nie znam tak biegle języka francuskiego czy niemieckiego, abym mógł pojechać na kontrakt i prowadzić w języku obcym zajęcia”. Marylka odparła: „Jak to? Przecież niejednokrotnie byłem świadkiem, jak rozmawiałeś biegle w języku

francuskim. Nie raz przyjmowaliśmy też gości, z którymi mówiłeś płynnie w języku niemieckim”. Odpowiedziałem, że taka znajomość języka, jaką mam, nie jest jednak wystarczająca do prowadzenia zajęć i to zgodnie z określonym programem dydaktycznym. Na co ona spokojnie, ale zdecydowanie powiedziała: „Przecież możesz się nauczyć”. Ja nadal jednak miałem wątpliwości co do podejmowania takiego wyzwania. Marylka zapewniła na koniec: „Oczywiście ja z tobą pojedę”. Zrozumiałem wówczas, że to było jej życzenie i mocna sugestia. Po prostu chciała wyjechać na pewien czas za granicę, poznać świat. Obiecałem jej ostatecznie, że będę na ten temat rozmawiał z dziekanem, rektorem, a przede wszystkim z Polserwisem.

Przeprowadzone niemal niezwłocznie rozmowy z dziekanem i rektorem pozwalały założyć, że jeżeli zdecyduję się na wyjazd, to otrzymam zgodę, ale tylko na dwa lata. Nawiązałem kontakt z Polserwisem. Z rozmowy wynikało, po ogólnym przedstawieniu swojej sylwetki zawodowej, że jestem dobrym kandydatem do wyjazdu. Wybór padł na Algierię. Otrzymałem informacje, co należy załatwić i w jakiej kolejności, poinformowano mnie również, że rozpoczęcie stażu może nastąpić w październiku 1982 r. Rozmówca dodał jeszcze, że odbędzie się rozmowa kwalifikacyjna w Polserwisie z udziałem przedstawiciela ambasady Algierii albo przedstawiciela ministerstwa edukacji rządu algierskiego. Dość szybko otrzymałem informację zwrotną, że rozmowa kwalifikacyjna odbędzie się w ustalonym miejscu i terminie.

Teraz już na poważnie zacząłem doskonalić język francuski. Postanowiłem, że co najmniej 4-5 dni wcześniej pojedę do Warszawy, zanojuję w pokoju gościnnym Politechniki Warszawskiej i będę mógł spokojnie przygotowywać się do rozmowy kwalifikacyjnej, która będzie prowadzona w języku francuskim. Przewidywałem, jakie mogą paść pytania. Parę dni spędzone w Warszawie, w odosobnieniu, wpłynęły bardzo pozytywnie na mój stan psychiczny. O ustalonej godzinie znalazłem się w gmachu, gdzie znajdowało się biuro Polserwisu. Przyszedłem trochę wcześniej, aby punktualnie o wyznaczonej godzinie zapukać do odpowiedniego pokoju, ale wtedy otworzyły się drzwi i usłyszałem zapytanie: „Pan Biliński?”. Zostałem zaproszony do środka. Przy stole siedział już jeden pan, po karnacji poznałem, że był to Algierczyk. Nieco dalej siedziała jakaś pani, która prawdopodobnie była protokolantką. Obok jeszcze jeden pan. Przedstawiłem się, powiedziałem, gdzie aktualnie pracuję. Poproszono mnie o kilka informacji z życiorysu, w szczególności gdzie studiowałem, jakie mam stopnie naukowe, jakie funkcje sprawowałem, a także jaki jest mój stan cywilny.

Rozmowa przebiegała w miłej, swobodnej atmosferze. Po reakcjach na moje odpowiedzi poznałem, że jestem przez obu panów akceptowany. Miałem już tytuł profesora, pełniłem w przeszłości kilka funkcji administracyjnych, w tym rektora wyższej uczelni, a to dla nich było gwarancją, że będę dobrym

pracownikiem. Przedstawiłem zakres zajęć dydaktycznych, które prowadzę i badań naukowych. W rozmowie uczestniczył także przedstawiciel Algierii, który też oczywiście zadawał pytania, ale prowadzącym był jednak przedstawiciel Polserwisu. Na zakończenie rozmowy stwierdził, że pozytywnie ocenia moją osobę jako kandydata na wyjazd do jednej z uczelni wyższych w Algierii. W czasie tego podsumowania kątem oka dostrzegłem, dyskretnie spoglądając na przedstawiciela Algierii, że co pewien czas potakiwał ruchem głowy.

Była to krótka rozmowa, trwała może 10-15 minut, nie więcej. Na zakończenie zostałem poinformowany, że otrzymam pisemną informację na temat warunków zawarcia kontraktu, co będzie mnie zobowiązywało do wypełnienia kilku kwestionariuszy, przekazania paszportu celem załatwiania spraw wizowych itp. Pożegnaliśmy się w miłej atmosferze, podając sobie ręce. Byłem przekonany, że to była decyzja końcowa, ale przedstawiciel Polserwisu poinformował mnie, że decyzję w tej sprawie musi podjąć minister szkolnictwa wyższego rządu algierskiego.

W dobrym nastroju opuszczałem Warszawę i najbliższym pociągiem wracałem do Zielonej Góry. Bardzo późnym wieczorem byłem już na miejscu. Serdecznie przywitałem się z żoną – jak zwykle podchodziłem do niej z wielkim szacunkiem – i nie zdążyłem powiedzieć ani słowa, gdy ona zapytała: „To co, jedziemy?”. Odpowiedziałem jej, że chyba tak, chociaż czekało mnie jeszcze załatwienie wielu formalności, jak na przykład uzyskanie pisemnej zgody rektora mojej uczelni i akceptacji naszego ministra.

Wszystko to się działo około kwietnia 1982 r. Pozostało mi trochę czasu na załatwienie wszystkich spraw, które łączyły mnie z uczelnią. Zajęcia dydaktyczne do końca roku akademickiego prowadziłem zgodnie z planem zajęć, starałem się także wywiązać z niektórych zobowiązań wydawniczych i umówiłem się z moimi doktorantami w kwestii formy dalszej współpracy. Zakładałem, że w trakcie kontraktu będę wielokrotnie w Zielonej Górze i nie tylko w okresie wakacyjnym. Ponadto niektóre kwestie będziemy mogli rozstrzygać drogą korespondencyjną. Z jednym z doktorantów współpraca w czasie mojego pobytu w Algierii układała się całkiem dobrze: drogą korespondencyjną przysyłał mi części opracowań, a ja tym samym sposobem odpowiadałem. Drugi natomiast doktorant niewłaściwie mnie zrozumiał, bowiem po krótkim czasie od mojego przyjazdu stwierdził, że był przekonany, iż ja do Zielonej Góry już nie wrócę i nie będę miał jak mu pomóc, zmienił więc temat pracy. Byłem tym bardzo zaskoczony, wiele wysiłku włożyłem bowiem w przygotowanie programu badań, a przede wszystkim zostało prawie w pełni przygotowane stanowisko badawcze.

Starałem się wszystkie tematy dotyczące mojej pracy na uczelni i poza nią były do dnia mojego wyjazdu pozamykać w taki sposób, aby nie przysparzać nikomu żadnych problemów.

Istotną sprawą było załatwienie wszelkich formalności dotyczących wyjazdu mojej żony. Umówiliśmy się, że postąpimy zgodnie z panującą wówczas praktyką: najpierw wyjadę sam, a po załatwieniu wszelkich formalności na miejscu, w momencie uzyskania stabilizacji jak najszybciej wyślę zaproszenie, na podstawie którego żona w bardzo krótkim czasie uzyska wizę i przyleci do Algierii. Żona liczyła, że stanie się to niebawem, może za miesiąc, może tydzień dłużej. Rzeczywistość była jednak inna.

Przed rozpoczęciem zajęć ze studentami

Po przylocie do Algierii zostałem odebrany przez przedstawiciela Polserwisu. Poinformował mnie, że zgodnie ze wcześniejszymi ustaleniami będę pracownikiem uniwersytetu w Oranie. Potem miał mnie przejść przedstawiciel algierskiego ministerstwa edukacji i zawieźć do ośrodka dla cudzoziemców, a po załatwieniu różnych drobnych formalności administracyjnych mogłem samolotem polecieć do Oranu, gdzie także będzie na mnie oczekiwał przedstawiciel Polserwisu.

W trakcie tej rozmowy zauważyłem, że obok nas stoi jakiś Algierczyk i kilku Polaków. Okazało się, że w podobnym celu przylecieli do Algierii i już razem pojechaliśmy do pokojów gościnnych ministerstwa. Zostałem zakwaterowany wraz z profesorem Władysławem Biedą, emerytowanym profesorem Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie.

Następnego dnia zaproszono nas na obiad. Trochę się wzbraniailiśmy przed przyjęciem tego zaproszenia. W kraju informowano nas, że w Algierii należy unikać jakiegokolwiek zbiorowego żywienia, ponieważ ameba lub inne bakterie są tam dość powszechne. Nie było jednak wyjścia, bo – jak się dowiedzieliśmy – poza tym posiłkiem innego już nie będzie. Obiad był skromny, ale smaczny, a przede wszystkim nam nie zaszkodził – mięso było dobrze przygotowane, słodkie, do tego podano soczewicę, a do popicia – wodę ze specjalnych butelek.

Po dwóch dniach pobytu w ośrodku samolotem udaliśmy się do Oranu. Tam dość długo i z niepokojem czekaliśmy na przedstawiciela Polserwisu, od którego byliśmy uzależnieni, ponieważ nie znaleźliśmy adresu biura. W pewnej chwili podszedł do nas Algierczyk i zapytał, czy nie potrzebujemy taksówki. Odpowiedziałem mu, że nie i że zaraz odbierze nas z lotniska przyjaciel. Rzeczywiście, po pięciu, dziesięciu minutach zjawił się przedstawiciel biura i napięcie spadło. Przedstawiciel Polserwisu zabrał nas do swojego biura, które znajdowało się w jego mieszkaniu. Poinformował nas m.in., jakich będziemy musieli dopełnić formalności, które wymagają czasu i cierpliwości. Na zakończenie zaproponował nam pożyczkę w lokalnej walucie na pierwsze tygodnie pobytu

w Oranie. Po tym spotkaniu zawiózł nas do hotelu miejskiego, gdzie mieliśmy czekać na przyjazd przedstawiciela uniwersytetu. Wyżywienie musieliśmy sobie organizować sami, co nie było większym problemem. Mieliśmy pieniądze, a różnego rodzaju sklepiki były niedaleko. Jedyne, co sprawiało nam kłopot, to przygotowanie herbaty, bo woda była... słona.

Bodajże po dwóch dniach pojawił się przedstawiciel uniwersytetu i poinformował, że zawiezie mnie do przydzielonego mi mieszkania. Na pytanie mojego kolegi, co z nim, odparł, że przejedzie po niego ktoś inny. Udaliśmy się do mojego mieszkania, które było zlokalizowane na nowym osiedlu. Domy mieszkalne były o ciekawej architekturze, ale zagospodarowania przestrzennego osiedla w ogóle nie było. Udostępnione mi trzypokojowe mieszkanie było posprzątane, wymagało jednak pomalowania i uzupełnienia ubytków w tynku. Na odchodne Algierczyk poinformował mnie, że może następnego dnia przyjedzie do mnie przedstawiciel rektora. Rzeczywiście, po jednym czy dwóch dniach zjawił się młody człowiek, który zrobił na mnie bardzo dobre wrażenie. Zainteresował się stanem mieszkania i zapewnił mnie, że potrzebne materiały do przeprowadzenia tego drobnego remontu otrzymam niezwłocznie, a następnie zaproponował przejazd na spotkanie z rektorem. W czasie krótkiego spotkania z rektorem uzyskałem potwierdzenie, że będę pracował na kierunku budownictwo i w najbliższym czasie otrzymam informację o przewidywanych zajęciach. Rektor przypomniał, że nieodzowne jest załatwienie wielu formalności, pozornie prostych, ale wymagających czasu. W kancelarii rektora przekazałem jeszcze konieczne informacje, a po załatwieniu spraw administracyjnych mój opiekun zaproponował, że pojedziemy do magazynu uczelnianego, gdzie otrzymam wszystkie potrzebne materiały do przeprowadzenia drobnego remontu mieszkania.

Podjechaliśmy pod obiekt, w którym znajdował się magazyn uczelni. Mój opiekun, mając w tej kwestii doświadczenie, postanowił zaparkować w głębi posesji. Po chwili już wiedziałem, dlaczego. Kiedy szliśmy w kierunku głównego wejścia do obiektu, byliśmy świadkami wypadku: w samochód, który stał przy głównej drodze, nadjechał z wielkim impetem inny pojazd.

W magazynie otrzymałem wszystkie niezbędne materiały i narzędzia, a pracownik obsługujący magazyn wiedział nawet, jaki kolor farby potrzebuję. W drodze powrotnej do mieszkania wróciliśmy do mojego mieszkania dowiedziałem się, że mój opiekun to już prawie pracownik uczelni, ale jeszcze student studiów magisterskich (byłem promotorem jego pracy magisterskiej).

Zabrałem się za przygotowanie mieszkania i jednocześnie zawarłem stosowne umowy z dostawcą energii i wody.

Najistotniejszą jednak sprawą, która – jak się potem dowiedziałem – stanowiła problem wszystkich Polaków, było otrzymanie pierwszego wynagrodzenia. Oczekiwałem parę dni na pisemne potwierdzenie, że jestem pracownikiem

uczelnia, następnie musiałem załatwić konto bankowe, na które będzie przekazywane moje wynagrodzenie, co nie było proste. Potem musiałem oczekiwać na potwierdzenie z ministerstwa, że sprawy zostały już formalnie załatwione, a dopiero później mogłem wystąpić z wnioskiem o przesłanie pieniędzy na odpowiednie konta – część pieniędzy miałem otrzymywać w lokalnej walucie, a część w dolarach była przesyłana na konto PKO S.A. Zależało to przede wszystkim od liczby osób zamieszkujących ze mną: jeśli będę mieszkał sam, to większość kwoty będzie przekazywana do Polski. Po załatwieniu wszystkich formalności, które trwały już kilka tygodni, oczekiwałem na potwierdzenie. Pieniądze, które otrzymałem w ramach zaliczki od Polservis, już się skończyły i musiałem pożyczyć pieniądze od Polaków pracujących w Algierii od dawna. Szczęśliwym trafem spotkałem mojego kolegę z lat dziecięcych, który także mieszkał w Trzemesznie i który z całą rodziną był wysiedlony do Generalnej Guberni – jechaliśmy nawet w tym samym wagonie dwoma rodzinami. Oczywiście chętnie udzielił mi pożyczki i uspokoił, że na pewno dostanę pieniądze, muszę być tylko cierpliwy.

Ja jednak tej cierpliwości nie miałem, umówiłem się bowiem z żoną, że niezwłocznie wyślę jej zaproszenie, a nie mogłem go wysłać, ponieważ nie miałem poświadczenia o uzyskiwanym wynagrodzeniu. Był to bardzo trudny i pełen niepokoju czas, kiedy nieomal co tydzień pisałem list do małżonki, informując ją o przebiegu załatwianych spraw, sądząc, że jest ona już bardzo zniecierpliwiona. Otrzymałem pierwszą odpowiedź na mój list, w której Marylka informowała mnie, że zwolniła się z pracy i jest przygotowana do wyjazdu, ale nie może rozpocząć starań o uzyskanie wizy na pobyt w Algierii. Czas mijał, kończył się listopad, a ja nie otrzymałem jeszcze pierwszego wynagrodzenia. Zdecydowałem więc napisać do żony, że w tej sytuacji decyduję się na przyjazd do Polski pod koniec stycznia i już razem, po załatwieniu wszelkich formalności, przylecimy do Oranu.

Jak się dowiedziałem później od znajomych, Marylka była na początku nastawiona na bardzo szybki wyjazd do Algierii i bardzo się niecierpliwiła brakiem zaproszenia. Rzekomo mawiała tu i tam, zapewne żartem, że: „Ten skubaniec nie przesyła zaproszenia”. Otrzymywała listy, ale jedynym uspokojeniem dla niej była chwila, kiedy na początku grudnia dowiedziała się, że na konto w Polsce wpłynęły pierwsze pieniądze. Od tej chwili napięcie zmalało, choć moja małżonka nie była zbyt zadowolona z takiego rozwiązania sprawy, tym bardziej że korespondencja nie była ciągła. Ja wysyłałem listy, ale nie zawsze regularnie. Na początku korzystałem z poczty lotniczej, a następnie z tak zwanej okazji. Wśród algierskiej Polonii istniał taki zwyczaj, że osoba, która zamierzała wyjechać do Polski, informuje o tym innych. Wtedy przekazywano jej listy, często

ze znaczkami polskimi, które po dotarciu do Polski ta osoba miała wrzucić do skrzynki pocztowej.

Szczególnie smutne było dla mnie to, że przez pewien czas nie otrzymywałem żadnych listów od Marylki. Pewnego dnia zostałem zaproszony przez konsulat radziecki na koncert orkiestry kameralnej w Teatrze Orańskim. Przed rozpoczęciem koncertu usłyszałem głośno wymawiane moje imię i nazwisko. Okazało się, że jakaś Polka trzymała w ręku adresowane do mnie trzy listy, które jakimś cudem trafiły do niej. Podszedłem szybko i przedstawiłem się, wówczas przekazała mi korespondencję. Nie mogłem się doczekać zakończenia koncertu. Po powrocie do mieszkania z pewnym rozrzewnieniem czytałem kolejne listy do późnych godzin nocnych.

Po załatwieniu wszelkich formalności wysłałem zaproszenie z określonymi informacjami oraz zarezerwowałem sobie już przelot z Oranu do Algieru i z Algieru do Warszawy. Chciałem, żeby dni do wyjazdu minęły jak najszybciej. Radziłem sobie z prowadzeniem gospodarstwa domowego, ale czułem się bardzo samotny. Miałem dużo czasu, chodziłem więc na spacery nad brzeg morza i patrzyłem w stronę kraju, myśląc o swoich bliskich: żonie, dzieciach i rodzicach. Dwa takie dni bardzo zapadły mi w pamięć. Pierwszy to 4 grudnia, dzień moich urodzin. Skończyłem 50 lat, byłem sam, daleko od Polski. Tradycyjnie poszedłem nad morze i wspiąłem na wielki głaz. Miałem wrażenie, jakbym stamtąd jakoś lepiej widział swój kraj, swoją ojczyznę. Drugi dzień to Święta Bożego Narodzenia – święta rodzinne, w Polsce obchodzone w sposób szczególny. Przykre było, że nie zostałem na nie zaproszony przez nikogo z tu-tejszej Polonii. Później się okazało, że niektóre z polonijnych rodzin myślały, że zostaną zaproszone przez inne rodziny i na odwrót: tamci myśleli, że zostaną zaproszone przez tych pierwszych. Żeby nie stwarzać żadnej kłopotliwej sytuacji tego dnia jeszcze przed zmrokiem poszedłem na pocztę, żeby spytać, czy nie ma dla mnie listu. Nie było. Wracalem bardzo powoli, nie padało, ale niebo było mocno zachmurzone, panowała przytłaczająca ciemność. Świeateł ulicznych było niewiele, a ludzi po drodze prawie nie widziałem. Nie odważyłem się pójść nad brzeg morza. Po dłuższym spacerze wróciłem do mieszkania, do mojego algierskiego domu, pełen smutku, ale i także pewnej nadziei, że po pewnym czasie spotkamy się całą rodziną.

Pierwszy raz poznałem uczucie osamotnienia i co znaczy przebywać poza granicami Polski, w przyjaznym, ale obcym przecież kraju w okresie tak ważnych świąt, uroczyste i rodzinnie obchodzonych w mojej ojczyźnie.

Na uczelni w Oranie

Obowiązków na uczelni miałem niewiele. W pierwszym semestrze miałem trochę wykładów oraz spotkania z moimi dyplomantami.: jedne zajęcia w tygodniu, a następnie spotkania z moimi dyplomantami. Zgłosiły się cztery osoby, w tym Algierczyk, który był przedstawicielem rektora w pierwszych dniach mojej obecności w Oranie. W kolejnych semestrach miałem więcej zajęć dydaktycznych.

Spotkania zawsze były przyjemne, a ja nabierałem coraz więcej pewności w prowadzonych rozmowach w języku francuskim. Nawiązałem kontakt z biblioteką, w której była bardzo miła obsługa. Miałem dostęp przede wszystkim do lektury francuskiej, która mnie interesowała. Było dla mnie sporym zaskoczeniem, że nie miałem okazji poznać dziekana czy pracowników administracyjnych. Dopiero później Algierczycy mi wyjaśnili, że dla obcokrajowców jedynym przedstawicielem uczelni jest rektor oraz wyznaczony przez niego pracownik.

Najbardziej utkwił mi w pamięci pierwszy wykład, do którego byłem bardzo dobrze przygotowany. Postanowiłem, że na początku się przedstawię oraz przybliżę krótki zarys swojego życia, wymienię swoje stopnie naukowe i tytuły oraz pełnione funkcje w administracji uczelni. Jeszcze przed pierwszym wykładem zwróciłem się do pełnomocnika rektora z prośbą, aby pokazał mi, jak po arabsku pisze się moje imię i nazwisko. W czasie pierwszego wykładu, zaledwie po kilku słowach przywitania, przestrzegając zasad kultury arabskiej, skierowałem pierwsze słowa do panów, a potem pań. Następnie napisałem na tablicy po arabsku swoje imię i nazwisko. Wywołało to wielki aplauz i zadowolenie wśród studentów. Cały wykład przeprowadziłem sprawnie i, jak wcześniej sobie już założyłem, nie korzystałem z żadnych pomocy: tylko tablica, kreda, studenci i ja. Zauważyłem, że to się studentom bardzo podobało. Muszę w tym miejscu podkreślić, że do każdego takiego wykładu przygotowywałem się jeden dzień.

Pierwszy semestr pobytu na uniwersytecie przebiegł zatem bez szczególnych zdarzeń. Nie miałem wielu obciążeń, a jedyne, co przysparzało mi problemów, to dojazd do uniwersytetu. Moje mieszkanie było zlokalizowane niemal po przeciwnej stronie miasta. Odległość około 5 km pokonywałem niekiedy pieszo, rzadko korzystając z transportu publicznego. Najpierw musiałbym bowiem dojechać do centrum miasta, a potem się przesiąść na linię w kierunku uniwersytetu. Istotna była także odległość od mojego mieszkania do przystanku autobusowego oraz dystans dzielący przystanek końcowy od uniwersyteckiego budynku nauk stosowanych.

Dopiero w drugim semestrze miałem zaplanowany cykl wykładów (dwa razy w tygodniu) i kilka godzin konsultacji, w zależności od życzeń studentów. Na studiach pierwszego stopnia prowadziłem wykłady z przedmiotu konstrukcje

sprężone, a na studiach drugiego stopnia, magisterskich, z przedmiotu podstawy inżynierii systemów.

Do zajęć zawsze się dobrze przygotowywałem i prowadzenie ich nie sprawiało mi większych trudności. Tylko jeden raz zdarzyło się, że w czasie zajęć, zupełnie niespodziewanie, bardzo rozbolała mnie głowa. Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzało, nawet biorąc pod uwagę klimat w Algierii i panujące tam wysokie temperatury. W zaistniałej sytuacji, kiedy ból głowy nie ustawał, poinformowałem studentów, że źle się czuję i poprosiłem o chwilę przerwy. Studenci przyjęli moją prośbę z radością. Ocenilem, że algierscy studenci niczym nie różnią się od polskich, których też zawsze cieszyło wcześniejsze zakończenie wykładów. Odpowiedzieli mi, że należy długo odpoczywać i skończyć zajęcia. Nie oponowałem, podziękowałem za zrozumienie sytuacji i zajęcia skończyłem.

Dużo czasu poświęcałem na konsultowanie prac magisterskich. Miałem czterech studentów i muszę przyznać, że byli oni bardzo zaangażowani. Byłem zaskoczony, że tuż po ustaleniu tematyki pracy magisterskiej, określeniu jej zakresu i zastosowania metody obliczania przystępowali niezwłocznie do pracy. Może wynikało to z faktu, że byłem nastawiony, iż poziom przygotowania do pracy magisterskiej u Algierczyków nie jest wysoki, ale szybko się okazało, że bardzo się myliłem. Nie wykazywali się wielką wiedzą, za to charakteryzowali się dążeniem do pełnego poznania zagadnienia i skrupulatnego przygotowania pracy magisterskiej. Zgodnie ze zwyczajem prace te były ograniczane ilością stron, niekiedy nie miały wielu załączników w postaci rysunków. Ku mojemu zadowoleniu obrony prac magisterskich wszystkich czterech studentów przebiegły tak dobrze, że składano mi gratulacje.

Na wydziale, poza działalnością dydaktyczną, uczestniczyłem w dwóch wydarzeniach: seminarium naukowym o ograniczonym zakresie i konferencji, która została odnotowana w dokumentacji uniwersytetu. Konferencję organizował profesor Władysław Kuczyński, wysokiej klasy naukowiec, pięknie władający językiem francuskim, a co istotne – był już kilka lat w Algierii, znał dobrze nie tylko studentów, ale też pracowników. W konferencji wzięło udział wielu pracowników i niektórzy studenci. W jej ramach wygłoszono pięć referatów, z czego trzy wygłosili Polacy, a jeden – Algierczyk. Dyskusja nie była ożywiona, tematy były trudne, a sami uczestnicy konferencji na ogół nie mieli odpowiedniego przygotowania.

Jak wcześniej wspominałem, często bywałem w bibliotece, w której znajdowałem aktualne publikacje francuskie. Mogłem zatem na bieżąco zapoznać się z zakresem badań i studiów w mojej specjalności naukowej. Od czasu do czasu przychodzili studenci i prosili mnie o wyjaśnienie jakiejś kwestii z nieznanym mi bliżej wykładów. Nie było to zadanie proste, zagadnienia nie dotyczyły bowiem mojego szerokiego zakresu zainteresowań albo studenci nie przedstawiali

w sposób jednoznaczny swoich wątpliwości i nie formułowali odpowiednio pytania. Czasami zdarzały się zabawne sytuacje. Przyszedł do mnie jeden ze studentów, przedkładając mi jakieś rękopisy z prośbą o przetłumaczenie na język francuski. Okazało się, że nie mogłem tekstu w ogóle zrozumieć, nie wiedziałem, co jest tam napisane, szybko jednak doszedłem do wniosku, że zapewne nastąpiła pomyłka (często zakładano, że jestem innej narodowości niż polska). Oświadczyłem, że jestem Polakiem, znam język francuski, niemiecki, trochę rosyjski, ale tego tekstu nie potrafię rozszyfrować. Wkrótce sprawa się wyjaśniła: kilku zgromadzonych przy mnie studentów roześmiało się i poinformowano mnie, że był to język węgierski.

Opiniowałem kilka prac inżynierskich, których obrony były traktowane bardzo poważnie: w obecności grona studentów, pracowników i rodziców. Zawsze z pamięci wygłaszałem opinie o danej pracy i starałem się dostosować do atmosfery, która panowała na Uniwersytecie Orańskim. Tuż po pozytywnej obronie ogłaszano wynik, a zgromadzone gremium nagradzało kandydata na inżyniera brawami.

Podobało mi się to, że zawsze była to obrona nie przed nieliczną komisją, której zadaniem jest przeegzaminowanie kilku lub kilkunastu dyplomantów w czasie jednego posiedzenia, ale publiczna i poważnie przeprowadzana. Raz byłem wyróżniony, gdy poproszono mnie o przeprowadzenie takiej sesji dyplomowej. Przewidziano wówczas trzy obrony, z których każda trwała około pół godziny. Wcześniej przygotowałem się do poprowadzenia takiej sesji, prosząc mojego opiekuna, a potem dyplomanta, o odpowiednie informacje odnośnie do tego, jak powinienem się zachowywać. Była to dla mnie cenna nauka. Konsekwentnie postępowałem zgodnie ze zwyczajami przyjętymi na uniwersytecie.

W kolejnych semestrach drugiego pobytu w Algierii miałem te same zajęcia, a dodatkowo prowadziłem seminarium z wybranych przez siebie zagadnień związanych z budownictwem. Seminarium odbywały się co dwa tygodnie, a w niektórych okresach – np. w związku z ramadanem – były odwoływane. Zawsze znajdowałem w literaturze francuskiej ciekawe, nowatorskie rozwiązania techniczne, które były dla mnie podstawą do wystąpienia w czasie seminarium i do przeprowadzenia dyskusji.

W czasie mojego pobytu w Oranie, na początku czwartego semestru, rektor poinformował mnie, że uczelnia jest zadowolona z mojej pracy. Usłyszałem kilka grzecznościowych zwrotów, po czym rektor zaproponował mi pracę na kolejne dwa lata. Znalazłem się w dość trudnej sytuacji, bo założyłem, że wrócę do kraju zgodnie z wcześniejszym planem, ale strona algierska, a przede wszystkim część moich dyplomantów, naciskała bardzo, że bym wyraził zgodę na propozycję pozostania na uczelni, głównie w związku z planowanymi przez nich doktorzjami. Swoją ostateczną decyzję uzależniałem od wyniku rozmowy z żoną

i stanowiska w tej sprawie rektora mojej uczelni. Wprawdzie z rektorem mojej Alma Mater byłem już wcześniej umówiony, ale jeśli chodzi o opinię mojej żony, była ona jednoznaczna – wracam do kraju. Aby sprawa była możliwie jasna i czytelna, zwróciłem się do mojego rektora z prośbą, aby nie wyrażał zgody na ewentualną oficjalną prośbę rektora uniwersytetu w Oranie o przedłużenie mojego kontraktu. Uznałem, że taka droga będzie najbardziej formalna, a ja nie będę zmuszony do tłumaczenia swojej decyzji o powrocie.

Stało się tak, jak sądziłem: rektor Michał Kisielewicz nie wyraził zgody na przedłużenie kontaktu, o czym powiadomiono uniwersytet w Oranie drogą korespondencyjną. Pomijając fakt, że dalsze zatrudnienie w Oranie byłoby dla mnie bardzo korzystne (język francuski miałem bardzo dobrze opanowany, nawiązałem trochę znajomości wśród Algierczyków i Polaków, a wynagrodzenie było przyzwoite, choć zawsze były problemy, bo nigdy do końca nie wiedziałem, ile zarobiłem), to bardzo chciałem już wrócić do Polski.

Podziękowanie za współpracę

W swojej pracy naukowej, działalności poselskiej i polityczno-społecznej współpracowałem z wieloma różnymi gronami osób. Nie sposób wymienić wszystkich, które spotkałem w swoim długim życiu. Jestem bardzo wdzięczny za pomoc w moich dokonaniach zawodowych, pracy posła RP i działalności politycznej. Często swoje obowiązki wykonywałem również społecznie, szczególnie współpracując z organizacjami pozarządowymi, samorządowymi, organizacjami technicznymi i związanymi z moimi zainteresowaniami pozazawodowymi.

Chciałbym podkreślić, że jako przewodniczący Sejmowej Komisji Polityki Przestrzennej, Budowlanej i Mieszkaniowej Sejmu RP miałem liczne kontakty z przedstawicielami Rządu i Kancelarii Prezydenta, niezależnie od opcji politycznych partii rządzących. Współpraca ta głównie obejmowała takie działy administracji rządowej, jak: architektura i budownictwo, gospodarka przestrzenna, mieszkalnictwo, rozwój regionalny. Dotyczyła najczęściej rozwiązań prawnych, procesu legislacyjnego, polityki budowlanej oraz mieszkaniowej i uważam, że układała się ona poprawnie. Do grona osób, z którymi aktywnie współpracowałem, należy zaliczyć sekretarzy i podsekretarzy stanu: Barbarę Blidę, Andrzeja Bratkowskiego, Marka Bryxa, Andrzeja Rocha Dobruckiego, Olgierda Dziekońskiego, Roberta Dziwińskiego, Adama Kowalewskiego, Piotra Stycznia, Edwarda Szymańskiego, Andrzeja Szymańskiego, Andrzeja Urbana i Stanisława Zieleniewskiego.

Chciałbym serdecznie podziękować moim kolegom i koleżankom posłom, z którymi współpracowałem w okresie moich pięciu kadencji. Byli to

m.in.: senatorowie Zbyszko Piwoński, Jolanta Danielak, Marcin Zawila, posłowie: Karol Gruber, Andrzej Brachmański, Wiesław Szczepański, Witold Czarnecki, Roman Nowicki, Wiesław Wasiński, Kazimierz Szczygielski, posłanka Krystyna Łybacka, poseł Bogusław Liberadzki, Tadeusz Jędrzejczak, Mieczysław Serwiński, Jacek Piechota oraz mgr Elżbieta Kessel, mgr Grażyna Komar, mgr inż. Jan Wojtkiewicz, inż. Jerzy Olszewski, dr inż. Tadeusz Suwara, doc. mgr inż. Ksawery Krasowski, dr inż. Stanisław Staśkiewicz, mgr inż. Wiktor Goliński, mgr inż. Zbigniew Janowski, mgr inż. Stanisław Kukuryka, mgr inż. Włodzimierz Hausner, prof. Henryk Sadownik, mgr inż. Kazimierz Widysiewicz, mgr inż. Aleksandra Kurzyk, mgr inż. Aleksander Krupa.

Szczególne podziękowania chciałem skierować do mgr. inż. Piotra Kolczali – dyrektora CK ds. kadr naukowych w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego w Warszawie, za pomoc i zaangażowanie w przygotowanie wniosków o nadanie praw doktora, doktora habilitowanego oraz profesora.

Dziękuję przedstawicielom organizacji Stowarzyszeniowych, Izb Zawodowych i jednostek administracji państwowej i samorządowej.

Od wielu lat, mieszkając w Zielonej Górze i pełniąc różne funkcje administracyjne na uczelni, poselskie i polityczne, aktywnie współpracowałem z władzami administracji wojewódzkiej i terenowej oraz władzami samorządowymi. Podejmowane przeze mnie różne inicjatywy oraz moje uczestnictwo w realizacji wielu przedsięwzięć lokalnych zyskiwały uznanie mieszkańców, co często przekładało się na głosy w wyborach parlamentarnych. Chciałem podkreślić, że te kontakty pomagały w pozyskiwaniu środków finansowych i rzeczowych dla inicjatyw podejmowanych przez uczelnię, m.in. na organizowane konferencje naukowe, seminaria, narady i posiedzenia ogólnopolskich gremiów naukowych.

Składam serdeczne podziękowania aktualnym i byłym władzom wojewódzkim oraz miejskim: Czesławowi Fiedorowiczowi, b. przewodniczącemu Sejmiku Województwa Lubuskiego, Andrzejowi Bocheńskiemu i Elżbiecie Polak – b. marszałkom Województwa Lubuskiego. Dziękuję byłemu wicemarszałkowi Tomaszowi Wontorowi, byłym wojewodom i wicewojewodom: Zbyszkowi Piwońskiemu, Marianowi Eckertowi, Jerzemu Ostrouchowi oraz Józefowi Łosykowi, Ireneuszowi Madejowi i Janowi Świrepo.

Dziękuję za współpracę oraz życzliwość przewodniczącemu Rady Miasta Zielonej Góry Markowi Urbaniakowi, byłym prezydentom Zielonej Góry: Stanisławowi Ostředze, Bożenie Ronowicz, Zygmuntovi Listowskiemu i Januszowi Kubickiemu oraz byłym wiceprezydentom Krzysztofowi Kaliszukowi i Dariuszowi Lesickiemu, a także doradcy prezydenta – Zygmuntovi Stabrowskiemu i radnemu Tomaszowi Nesterowiczowi.

Dziękuję byłemu duszpasterzowi akademickiemu, ks. biskupowi Adamowi Dyczkowskiemu, doktorowi honoris causa Uniwersytetu Zielonogórskiego

i duszpasterzowi akademickiemu ks. prałatowi Konradowi Herrmannowi za życzliwość wyrażoną w licznych kontaktach z okazji odbywających się uroczystości na naszej zielonogórskiej uczelni i uroczystościach państwowych oraz w szkołach.

Szczególne podziękowania kieruję do byłego dyrektora i dyrygenta Filharmonii Zielonogórskiej prof. Czesława Grabowskiego za niezapomniane koncerty, których byłem słuchaczem, często z moją rodziną i niezapomnianym Zbyszkim Piwońskim.

Swoją karierę naukową rozpoczynałem na Politechnice Poznańskiej, w związku z czym za współpracę dziękuję pracownikom naukowym: prof. Ferdynandowi Dembickiemu, prof. Andrzejowi Gałkowskiemu, prof. Andrzejowi Garsteckiemu, prof. Bolesławowi Nowakowskiemu, prof. Andrzejowi Ryżyńskiemu, prof. Andrzejowi Stefańskiemu, prof. Lechowi Zimowskiemu, doc. Marianowi Frąckowiakowi, doc. Marianowi Krzysztofiakowi, doc. Władysławowi Łączakowi, dr. inż. Andrzejowi Boruszakowi, dr. inż. Stanisławowi Górskiemu, dr. inż. Jerzemu Filipiakowi, dr. inż. Januszowi Kozakowi, dr. inż. Kajetanowi Marcinkowskiemu, dr. inż. Władysławowi Olejnikowi, dr. inż. Andrzejowi Tomaszewiczowi, dr. inż. Błażejowi Zgoła, mgr. inż. Wojciechowi Gaczek, mgr. Krystynie Łukaszewskiej, techn. Bożenie Idaszak, techn. Grzegorzowi Wasilewskiemu, prof. dr. hab. Mieczysławowi Kuczmię, dr. inż. Bożenie Kuczmię.

Serdeczne podziękowania kieruję do najbliższych pracowników Wyższej Szkoły Inżynierskiej, następnie Politechniki Zielonogórskiej, a obecnie Uniwersytetu Zielonogórskiego: prof. Piotra Alawdina, prof. Zbigniewa Bacia, prof. Andrzeja Garsteckiego, prof. Jana Gawrona, prof. Józefa Gila, prof. Magdaleny Graczyk, prof. Henryka Greinerta, prof. Andrzeja Jędrzaka, prof. Stanisława Kołaczekowskiego, prof. Wandy Kononowicz, prof. Mieczysława Kuczmy, prof. Tadeusza Kuczyńskiego, prof. Antoniego Matysiaka, prof. Bolesława Nowakowskiego, prof. Jerzego Rakowskiego, prof. Jana Konrada Stawiarskiego, prof. Andrzeja Stefańskiego, prof. Zygmunta Szafrana, prof. Romualda Świtki, prof. dr. hab. inż. Marii Mrówczyńskiej, prof. dr. hab. inż. Zygmunta Lipnickiego, prof. UZ Abdrahmana Alsabrego, prof. UZ Józefa Czachrowskiego, prof. UZ Wojciecha Eckerta, prof. UZ Urszuli Kołodziejczyk, prof. UZ Jacka Korentza, prof. UZ Jerzego Kotowskiego, prof. UZ Zygmunta Lipnickiego, prof. UZ Jakuba Marcinińskiego, prof. UZ Stanisława Misztala, prof. UZ Andrzeja Skarzyńskiego, prof. UZ Janusza Szelki, prof. UZ Bogusława Wojtyszyna, prof. dr. hab. Adama Wysokowskiego, doc. Mikołaja Kłapocia, doc. arch. Tadeusza Maszkiewicza, dr. inż. Jarosława Barańczaka, dr. inż. Anny Bazan-Krzywozańskiej, dr. inż. Gerarda Brysia, dr. inż. Andrzeja Chrzanowskiego, dr. inż. Witolda Czarneckiego, dr. inż. Marka Dankowskiego, dr. inż. Elżbiety Grochowskiej, dr. inż. Joanny Kaliszuk, dr. inż. Andrzeja Kraińskiego, dr. inż. Waldemara

Krzyszewskiego, dr inż. Bożeny Kuczmy, dr inż. Grzegorza Misztala, dr inż. Beaty Nowogońskiej, doc. dr inż. Stanisława Pryputniewiczza, dr inż. arch. Marty Skiby, dr inż. Tomasza Sochy, dr. hab. inż. Waldemara Szajny, prof. UZ, dr inż. Marka Świderskiego, dr inż. Marka Talagi, dr inż. Pawła Urbańskiego, dr inż. Jana Wojnickiego, dr inż. Jerzego Wołczańskiego, dr inż. Ireneusza Wróbla, dr inż. Bronisława Zadwórnego, dr hab. inż. Anny Staszczuk, dr inż. Krzysztofa Juszczyka, mgr inż. Konrada Chmielińskiego, mgr inż. Włodzimierza Dyszaka, mgr inż. Jana Gielarowskiego, mgr inż. Urszuli Góral, mgr inż. Haliny Jasik, mgr inż. Joanny Juszczuk, mgr inż. arch. Pawła Kochańskiego, mgr inż. Zdzisława Kuski, mgr inż. Janusza Laskowskiego, mgr Grażyny Marcinowskiej, mgr inż. Iwony Roszak, mgr inż. Mirosława Sankowskiego, mgr inż. Arkadiusza Stanglewicz, mgr inż. Ireny Swatowskiej, mgr inż. Józefa Swatowskiego, mgr inż. Stanisława Wocha, mgr Bożeny Biezańskiej, mgr Janiny Samujłło, mgr. Tadeusza Stryszowskiego, inż. Franciszka Ruńca, mgr Bożeny Kucharskiej, mgr Zofii Żarnowskiej, inż. Wandy Wojny, inż. Henryka Michalaka, mgr. Mariana Drzewieckiego, inż. Zygmunta Nodzyńskiego, mgr. Andrzeja Politowicza, mgr Marty Świrydiuk, Iwony Wieczorek, techn. Krystyny Kłapoć, techn. Bożeny Płoszaj-Kobyłeckiej, techn. Wojciecha Wieczorka.

Oczywiście grono moich bliższych i dalszych współpracowników, na uczelni i poza nią, było znacznie szersze niż powyżej wymienione. Nie sposób w tej grupie pominąć współpracowników innych wydziałów i administracji uczelnianej. Dlatego chciałbym podziękować za współpracę m.in.: prof. Kazimierzowi Bącalowi, Andrzejowi Bydałkowi, Marianowi Eckertowi, Magdalenie Graczyk, Leszkowi Jerzakowi, Michałowi Kisielewiczowi, Marianowi Miłkowi, Czesławowi Osękowskiemu, Janinie Stankiewicz, Michałowi Stosikowi, Hieronimowi Szczególe, Ferdynandowi Wagnerowi oraz docentom Ireneuszowi Dzwonnikowi, Antoniemu Wysockiemu i Henrykowi Samujłło.

Także liczne jest grono profesorów, pracowników innych uczelni krajowych, z którymi wspólnie organizowałem konferencje naukowe, seminaria, współdziałałem w gremiach naukowych, w radach naukowych czy postępowaniach kwalifikacyjnych. Byli to profesorowie: Andrzej Ajdukiewicz (PŚI), Jan Biliszczuk (PW), Juliusz Barun (PG), Lesław Brunarski (ITB), Lech Czarnecki (PW), Krzysztof Dyduch (PKr), Kazimierz Flaga (PKr), Kazimierz Furtak (PKr), Józef Głomb (PŚI), Zbigniew Grabowski (PW), Jan Kmita (PW), Mieczysław Król (PL), Władysław Kuczyński (PŁ), Stanisław Kuś (PRz), Bogusław Liberadzki (ZUT), Wiesław Ligęza (PKr), Andrzej Łapko (PB), Tomisław Matyszewski (ZUT), Zbigniew Mielczarek (ZUT), Krzysztof Piwowarski (PKr), Andrzej Jerzy Pogorzelski (ITB, PB), Józef Pyszniak (PW), Wojciech Radomski (PW), Leon Rowiński (PŚI), Leonard Runkiewicz (ITB), Wiesław Stachurski (PW), Witold Andrzej Werner (PW), Stanisław Wierzbicki (ITB), Hanka Zaniewska (IGM,

PP), Cezary Madryas (PWr), Maria Kaszyńska (ZUT), Jerzy Ziółko (PG), Marian Gizejowski (PW), Anna Halicka (PL), Anna Ostańska (PL), Zenon Waszczyszyn (PKr), Anna Sobotka (AGH), Kazimierz Czapliński (PWr), Tadeusz Szulczyński (PG).

Ponadto współpracowałem z wieloma młodszymi pracownikami uczelni – doktorami. W tej grupie chciałbym wymienić: doc. Hannę Kuleszę (IGM), dr. inż. Zygmunta Michnowskiego (PW), dr. inż. Andrzeja Nowakowskiego (PŁ), dr. inż. Ryszarda Uchmana (IGM), dr. inż. Piotra Wilkoszewskiego (PG).

Utrzymywałem ciągłe kontakty z pracownikami sektora budownictwa, z projektantami, wykonawcami, inspektorami nadzoru budowlanego, inwestorami oraz pracownikami administracji budowlanej i komunalnej. Z tej grupy najczęściej współpracowałem z: dr Barbarą Bielinis-Kopeć, dr. inż. Ryszardem Polusem, dr. inż. Pawłem Urbańskim, dr Aleksandrą Kapustką, dr. inż. Janem Krawcem, inż. Zenonem Bambrowiczem, mgr. inż. Wiktorem Fanajło, mgr. inż. arch. Jerzym Gołębiewskim, mgr. inż. arch. Marcinem Grzelczakiem, mgr. inż. Wojciechem Janką, mgr. inż. Stanisławem Jęchem, mgr. inż. arch. Jerzym Kaszycą, mgr. inż. Zbigniewem Mockiem, mgr. inż. Zbigniewem Opalińskim, mgr. inż. arch. Pawłem Stankiewiczem, mgr. inż. arch. Zofią Szapałow, mgr. inż. Wojciechem Porębą, mgr. inż. Józefem Krzyżanowskim, mgr inż. Ewą Bosy, mgr. inż. Mirosławem Gruszeckim, mgr. inż. Ryszardem Sąsiadkiem, mgr. inż. arch. Pawłem Kochańskim, mgr. inż. Andrzejem Cegielnikiem, mgr. inż. Andrzejem Wesołym, mgr. inż. Tadeuszem Glapą, mgr. inż. Jerzym Napieralskim, mgr. inż. Leszkiem Jarmużkiem.

Mam świadomość, że to nie wszyscy, z którymi zetknął mnie los zawodowy i w działalności społecznej, dlatego przepraszam tych, których nieświadomie pominąłem: chciałbym, abyście Państwo pozostawili pozytywną pamięć o mnie.

Część VII

Posel – lider lewicy – społecznik

W poselskiej służbie społeczeństwu. Jak zostałem posłem IX kadencji?

Po raz pierwszy zostałem posłem na Sejm IX kadencji, jeszcze w okresie PRL-u. Do ław poselskich startowałem nie tylko z powodu kaprysu, ale ze świadomością, że jeśli zdobędę zaufanie wyborców, to będę ciężko pracował dla kraju. I tak się stało, od samego bowiem początku mojej pracy kierowałem się dewizą bycia użytecznym społeczeństwu. Zawsze działałem społecznie, ale stosunkowo mało na niwie politycznej. Choć miałem określone polityczne preferencje, to dość późno, bo dopiero w 1964 r. wstąpiłem do partii. Początkowo działałem we Froncie Jedności Narodu i innych organizacjach społecznych. Od roku 1976, kiedy przeprowadziłem się z Poznania do Zielonej Góry, bardzo aktywnie zaangażowałem się w pracę Towarzystwa Naukowego Organizacji i Kierownictwa (TNOiK) i przez trzy kadencje byłem przewodniczącym oddziału zielonogórskiego, a później wiceprzewodniczącym Zarządu Głównego tej naukowej organizacji.

Na posiedzeniu Zarządu Wojewódzkiego TNOiK rozpatrywano kolejne punkty przyjętego planu pracy, który obejmował także zaopiniowanie naszego kolegi, prezesa Stanisława Romanowskiego, jako kandydata na posła Sejmu RP. W tym samym czasie otrzymaliśmy bezpośrednią informację od zainteresowanego, że jego stan zdrowia nie pozwala mu na wyrażenie zgody na kandydowanie. Po takim stwierdzeniu w zasadzie nie wiedzieliśmy, jakie podjąć działania. Zauważyłem skupiony na sobie wzrok niektórych uczestników zebrania (byłem wówczas prezesem zarządu). Nie zastanawiając się długo, powiedziałem: „A może ja mógłbym być kandydatem?”, uważałem bowiem, może nieskromnie, że jestem przygotowany do roli posła. Pełniłem przecież wiele ważnych funkcji w Poznaniu i Zielonej Górze o czym wspominałem we wcześniejszych rozdziałach. Przy uzyskaniu pełnej aprobaty wyraziłem zgodę na kandydowanie.

Postanowiono zgłosić moją kandydaturę na posła do sejmu z rekomendacją Towarzystwa Naukowego Organizacji i Kierownictwa. Opracowano zgłoszenie, które zostało przesłane do Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Zielonej Górze.

Pamiętam, że pewnego dnia dr Józef Zych poinformował mnie: „W Radzie Państwa pana nazwisko dobrze chodzi”. Tak się wtedy mówiło. Kilka dni później zaprosił mnie do swojego biura Henryk Stawski – prezes Wojewódzkiego Stronnictwa Demokratycznego, członek Rady Państwa. W czasie rozmowy wyraził pozytywną opinię o mojej decyzji kandydowania do sejmu. Był to także wynik licznych moich wyjazdów, rozmów, spotkań z lokalnymi społecznościami w Szprotawie, Żarach i Zielonej Górze, gdzie uzyskałem poparcie tych środowisk. Po udanej kampanii wyborczej prowadzonej wspólnie z Karolem Gruberem, uzyskałem poparcie 98% wyborców.

Początki mojej pracy w sejmie wykazały, że nie wystarczą doświadczenia – jak było w moim przypadku – administratora czy w zakresie działalności organizacyjnej, aby móc spełniać dobrze obowiązki poselskie. Musiałem się jeszcze wiele uczyć, dlatego poświęcałem dużo czasu na zrozumienie swojej działalności w sejmie, zespole poselskim, w kontaktach z wyborcami i w tworzeniu sejmowego prawa.

Podsumowując, mogę powiedzieć, że pierwsze lata pracy sejmowego parlamentarzysty były dla mnie trudne, bo chciałem powierzony mi mandat spełniać jak najlepiej. Jako pierwszą powierzono mi funkcję wiceprzewodniczącego sejmowej Komisji Budownictwa. Przewodniczącym był wówczas bezpartyjny poseł, profesor nauk chemicznych Mieczysław Serwiński, przez wiele lat rektor Politechniki Łódzkiej. W problematyce budownictwa – na której mniej się znał – polegał głównie na mnie. Starałem się aktywnie pracować w tej komisji i swoją fachowością wspierać przewodniczącego. Pracownicy administracji sejmowej dobrze zapamiętali moją aktywność, ponieważ ściśle z nimi współpracowałem. Po latach mogę stwierdzić, że chciałem zrobić dużo, ale nie wszystko się udawało. Jeśli się nie ma poparcia większości, to mimo dobrych kompetencji i najbardziej szczytnych planów nie da się zrealizować własnego programu. Natomiast szanse rosną, jeśli realizuje się program grupy ludzi o podobnych poglądach, popierających określone rozwiązania.

W sejmie tzw. kontraktowym zrozumiałem, że potrzebny jest dialog. W Sejmie IX kadencji, ale także wcześniej, popierałem i realizowałem koncepcję dialogu społecznego. Nadal uważam, że z drugim człowiekiem, nawet o odmiennych poglądach, należy rozmawiać i spierać się na argumenty, dążąc do konsensusu. Okres od 1980 r. – moim zdaniem – nie był wykorzystany. Pierwsze reformy premiera Mieczysława Rakowskiego i „zielony rynek” oraz to, co robił minister Mieczysław Wilczek, bardzo mi odpowiadało. Już wtedy uważałem, że wszystko, czym nie musi zajmować się państwo, powinni przejąć indywidualni przedsiębiorcy. Na przykład naprawą i sprzedażą zegarków nie zajmowało się przed wojną państwo, robił to mój ojciec – prywatny przedsiębiorca, rzemieślnik. Równocześnie nie można jednak odstąpić od zarządzania strategicznymi

gałęziami gospodarki, jak np. zbrojeniówka, energetyka, transport czy służba zdrowia. Należałem do tej grupy społeczeństwa, która miała świadomość, że tak dalej żyć się nie da i trzeba dokonać zmian w zarządzaniu państwem. W Sejmie IX kadencji było 10, a może 20% tych, którzy byli innego zdania. Podobne zdanie wyrażałem w latach 90., gdy rządził SLD i po pewnym czasie zaczęło się źle dziać. Wówczas wypowiadałem się, że trzeba skrócić kadencję i przeprowadzić wcześniejsze wybory do parlamentu. Taka jest moja cecha osobowości, że wiem, w jakich sytuacjach trzeba ustąpić.

W działalności poselskiej ważne były dla mnie spotkania z wyborcami. W kampanii wyborczej do Sejmu IX kadencji nie było ich wiele, może około dziesięciu, starałem się więc uczestniczyć we wszystkich. Były to spotkania zorganizowane administracyjnie i miały spokojny charakter. Jedno z nich – spotkanie z kombatantami w Szprotawie – było szczególnie interesujące.

Po krótkim wystąpieniu generała Siwickiego, który był wówczas kandydatem z listy krajowej, i moim, rozpoczęła się dyskusja. Pamiętam, że odpowiadałem na pytania dotyczące szczególnie budownictwa mieszkaniowego, pamiętam także, że kombatanci wytykali nam, że nie tylko w dużych miastach są potrzebne mieszkania. Jeden z dyskutantów dość ostro zaatakował generała Siwickiego, zarzucając mu bezpośrednio, że generalicja całkowicie zapomniała o kombatantach II wojny światowej. Mówili: „Nie pamiętamy, aby ktokolwiek z nas w ostatnich latach otrzymał jakiegokolwiek odznaczenie”.

Oceniłem, że wystąpienie było bardzo ostre i zastanawiałem się, jak zareaguje generał. A on z wielkim spokojem zapytał zebranych, czy wiedzą, kto dostaje najwięcej odznaczeń w czasie wojny. Chwila ciszy. Potem ktoś się odezwał: „Kwatermistrzostwo!”. Wybuchł śmiech i napięcie zostało rozładowane. „Widzicie, sami sobie odpowiedzieliście. Dzisiaj rzeczywiście o was zapominamy – powiedział generał. – Ale tak to już jest, że nawet w czasie wojny odznaczenia dostają ci, którzy są najbliższymi dowódcami.”

Może warto wspomnieć jeszcze o jednym spotkaniu organizowanym przez TNOiK, które odbyło się w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Zielonej Górze w Sali Dębowej. Wyborców nie było wielu, może około 25 osób. Prowadzący spotkanie na samym początku, korzystając z kartki, scharakteryzował moją osobę, a w szczególności moją pracę i działalność. W tym momencie, w czasie tej prezentacji, jeden z uczestników spotkania głośno powiedział: „Jeśli to spotkanie ma być z kartki, to ja wychodzę”. Przewodniczący zapewniał, że to tylko było na początek, a kandydat będzie później rozmawiał z państwem bez kartki. On chyba nie usłyszał tych końcowych słów, bo wyszedł. Do sali później przyszło kilka osób, ale nie wiem, czy wśród nich był ten, który zgłosił swój sprzeciw. Ja oczywiście z żadnych kartek nie korzystałem, a samo spotkanie uważam za udane.

Moja działalność poselska w IX i X kadencji Sejmu

Byłem posłem na sejm IX (1985-1989) oraz X kadencji (1989-1991). Powierzono mi funkcję przewodniczącego podkomisji do spraw Ustawy o zmianie ustawy o progach publicznych i płatnych autostradach. Komisja pracowała kilka tygodni i przygotowany projekt przy pełnej aprobacie wszystkich członków komisji został przedłożony marszałkowi sejmu. Powierzono mi, zresztą zgodnie z tradycją, funkcję posła sprawozdawcy. Według oceny moich kolegów, posłów, wystąpienie było bardzo dobre, wysłuchano go w ciszy i skupieniu. Na zakończenie zwróciłem się do posłów z prośbą, aby sejm zechciał uchwalić przedłożoną ustawę. Usłyszałem gromkie okłaski, wyraz wielkiego uznania posłów, a szczególnie aplauz ze strony posłów Kongresu Liberalno-Demokratycznego. Było to zrozumiałe, byli oni bowiem wielkimi zwolennikami dopuszczeniu kapitału prywatnego i zagranicznego do realizacji krajowych inwestycji drogowych. Byłem zadowolony z odbioru mojego wystąpienia i miałem poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Pamiętam, że po przedstawieniu sprawozdania przechodziłem między ławami poselskimi obok posła Aleksandra Kwaśniewskiego, ówczesnego przewodniczącego klubu Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej, który żartem powiedział: „Tadeusz, bardzo dobrze poszło, ale musimy się tobie przyjrzeć!”

Pamiętam czas Okrągłego Stołu, choć nie byłem jego bezpośrednim uczestnikiem. Doradzałem wówczas przewodniczącemu Komisji Budownictwa, prof. Mieczysławowi Czerwińskiemu, który był członkiem jednego z podstolików. Profesor co jakiś czas przychodził do mnie z projektami, które ze mną konsultował, co mnie bardzo cieszyło. Propozycje były fantastyczne, chociaż... mało realne lub wręcz nierealne. Jako budowlaniec zdawałem sobie sprawę, że wymagają czasu i pieniędzy, a my nie mieliśmy ani jednego, ani drugiego. Co istotne, do tej pory żadnej ekipie rządzącej Polską nie udało się rozwiązać skutecznie problemu mieszkaniowego.

Dyżury poselskie, na ogół zarezerwowane na pracę posłów w terenie, pełniłem głównie w poniedziałki. W tym dniu przyjmowałem interesantów najczęściej w swoim biurze poselskim lub realizowałem wyjazdy w teren na spotkania z wyborcami w moim okręgu wyborczym. Zwykle porządek takiej pracy terenowej wyglądał następująco: wizyta w zakładzie pracy, szkole, organizacji pozarządowej, spotkanie z osobami z samorządu lokalnego, dyżur poselski w przydzielonym biurze urzędu miasta lub gminy, następnie krótkie spotkanie z członkami partii lub otwarte spotkanie z mieszkańcami. Organizacją i koordynacją dyżurów i spotkań w latach 1991-2001 zajmował się asystent mojego Biura Poselskiego – Jan Mielżyński, któremu serdecznie dziękuję za wieloletnią pracę.

W okresie IX i X kadencji odbyłem 193 spotkania poselskie na terenie naszego województwa i kraju, 94 dyżury poselskie w moim biurze i w terenie, przyjąłem w różnych sprawach 450 interesantów, w tym także delegacje z zakładów pracy, podjąłem 125 interwencji poselskich. Bardzo często trafiali do mnie ludzie z problemami związanymi z moją specjalnością, czyli przepisami prawa budowlanego i mieszkaniowego oraz inwestycyjnymi w budownictwie, ale także z wieloma sprawami osobistymi, najczęściej wynikającymi z decyzji administracyjnych.

W Sejmie X kadencji byłem posłem z naszego województwa razem z płk. Józefem Błaszczakiem, lekarzem i komendantem 105. Wojskowego Szpitala Garnizonowego w Żarach, członkiem Komisji Obrony Narodowej i Komisji Zdrowia. W tym samym czasie kandydatem na posła był Włodzimierz Janiszewski – wieloletni dyrektor Wojewódzkiego Oddziału PCK w Zielonej Górze i znany działacz tej organizacji, człowiek o bardzo wysokiej kulturze osobistej, którego wiedzę lekarską bardzo ceniłem. Niestety, nie został posłem. Mimo iż rywalizowaliśmy o mandat poselski, który ostatecznie ja uzyskałem, to pozostaliśmy przyjaciółmi.

Pamiętam dużą niechęć opozycji do naszych lewicowych kandydatów. Wprawdzie ja tego nie odczuwałem, ale może to się wiązało z moim wysokim statusem naukowym i społecznym oraz kulturą osobistą. Chociaż słyszałem pośrednio, że ktoś wypowiadał się w obecności innych osób, że nie poda mi ręki, co wówczas było częstym zdarzeniem i oznaczało lekceważenie drugiej osoby, to jednak osobiście taka sytuacja mi się nie przydarzyła. Należałem do osób – jak to niektórzy mówili – niezwykle odważnych. Cieszyłem się zaufaniem naszej społeczności, co potwierdzały w kolejnych kadencjach moje wyniki wyborcze. Jeździłem systematycznie na spotkania poselskie w terenie i zawsze zgłaszałem się do burmistrza czy wójta, niezależnie od tego, czy wóldarz miasta lub gminy akceptował moją opcję polityczną, czy nie. Jeśli był z innej opcji politycznej, rozmawialiśmy głównie o problemach społecznych i związanych z zarządzaniem jednostką samorządu terytorialnego. Jeśli z rozmowy wynikały sprawy, które w ramach obowiązków poselskich mógłbym załatwić, zawsze deklarowałem pomoc. Jeśli udało się pomóc, to oprócz osobistej satysfakcji czułem także wdzięczność lokalnego środowiska. Byłem zapamiętany jako skuteczny poseł i to przynosiło mi głosy wyborców w kolejnych kadencjach.

Pamiętam jedno z takich spotkań w terenie, bodajże w Żarach. Ktoś z uczestników bardzo ostro odniósł się w swojej wypowiedzi do minionego okresu. A wtedy jeden z członków SdRP jeszcze ostrzej odniósł się do jego wypowiedzi. Stwierdził, że tacy ludzie nie powinni przychodzić na poselskie spotkania. Wówczas zareagowałem. Poprosiłem osobę, która zabrała krytyczny głos, aby nie przejmowała się tym polemicznym głosem naszego członka i żeby nie brała tego do siebie. Powiedziałem, że nasze działania w poprzednim okresie nie

zawsze były prawidłowe i pozytywnie odbierane przez społeczeństwo. Zaproponowałem, abyśmy to teraz przedyskutowali i w ten sposób wszyscy, ja także, czegoś się nauczyli. Moja wypowiedź została nagrodzona oklaskami. Uważam, że gdy się z ludźmi szczerze rozmawia, szybko dochodzą do wniosku, że ostre stawianie sprawy i ubliżanie komuś nic nie daje. Trzeba otwarcie mówić nawet o rzeczach przykrych dla innych, ale wymaga to zawsze kultury polemiki.

Jak wcześniej wspomniałem, w tym politycznie gorącym okresie jeździłem w teren na spotkania poselskie. Czasem cieszyły się one dużą frekwencją, ale bywało też tak, niestety, że poza organizatorami nikt nie przyszedł na spotkanie. Zastanawialiśmy się, kto te spotkania torpedował? Kto zrywał plakaty z informacją o przewidywanym spotkaniu z posłem? Traktowałem to jako efekt walki politycznej. Kiedy przychodziło kilka osób, nie odjeżdżałem, prowadziłem z obecnymi na spotkaniu rozmowę o tym, co robimy jako posłowie w sejmie, nad jakimi ustawami pracuję, odpowiadałem na pytania. Czasami okazywało się, że takie małe, kameralne spotkania ośmielały ich uczestników do zadawania najtrudniejszych pytań. Pamiętam też taki wywiad ze mną i posłanką Barbarą Blidą na temat budownictwa. Dziennikarze zarzucali nam, że w 1985 r. zostaliśmy posłami z nominacji PZPR. Pomylili się, co natychmiast sprostowaliśmy – akurat posłanka Barbara Blida i ja nie mieliśmy partyjnej nominacji. W mojej ocenie przeprowadzający wywiad dziennikarze byli bardzo tendencyjni.

Jeszcze kilka słów o kampanii wyborczej w 1985 r. Pojawiło się w niej wiele nowych elementów propagujących listy komitetów wyborczych i kandydatów do parlamentu, jak np. ulotki wręczane osobiście przez kandydata na posła lub senatora i listy do wyborców adresowane imiennie. Pamiętam, że jeździłem nyską i przemawiałem przez megafon, a na spotkaniach wyborczych rozdawałem dzieciom cukierki.

Największe przeżycia miałem w Sejmie X kadencji (1989-1991) nazywanym „sejmem kontraktowym”. Jego działalność charakteryzowała się kompetencją posłów i zdolnością do kompromisów. Uważam, że my, jako posłowie lewicy, potrafiliśmy patrzeć w przyszłość i skutecznie przygotowywać ustawy stwarzające warunki do budowy demokratycznej Polski. Stanowiliśmy aktywny w pracach sejmowych klub poselski Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, a potem, w I kadencji, Parlamentarny Klub Lewicy Demokratycznej. W następnych kadencjach był to Klub Parlamentarny Sojuzsu Lewicy Demokratycznej.

Kolejne kadencje w latach 1991-2001

W wyborach czerwcowych 1991 r. do parlamentu w nowej I kadencji, czyli w latach 1991-1993, koncepcje organizacyjno-propagandowe komitetów wyborczych opierały się na doświadczeniach krajów o rozwiniętym systemie

demokratycznym, jak np. Wielkiej Brytanii – metoda od drzwi do drzwi, czyli odwiedzanie wyborców z materiałami wyborczymi bezpośrednio w ich domu. Nasza kampania wyborcza składała się zazwyczaj z trzech etapów: pierwszy – przygotowanie do wyborów, drugi – wybór kandydatów na listę komitetu wyborczego w okręgu i trzeci – przeprowadzenie kampanii celem pozyskania wyborców.

W pierwszym etapie opracowywaliśmy strategię wyborczą, kompletowaliśmy listę potencjalnych kandydatów do sejmu i senatu oraz zatwierdzaliśmy plan i harmonogram przeprowadzenia kampanii wyborczej. W drugim etapie kandydaci i ich sztaby zbierali podpisy na listach poparcia. Pamiętam, że zawsze mieliśmy tych podpisów znacznie więcej, niż wymagano. Na tym etapie były przygotowywane materiały wyborcze: programy, plakaty informujące o spotkaniach kandydatów z wyborcami, ulotki prezentujące kandydatów, ponadto szkoliliśmy się z technik wyborczych i występowania w mediach itd. A potem, w trzecim etapie, ruszaliśmy w teren: do miast i miasteczek, wsi i zakładów pracy. Pełniliśmy dyżury w zaplanowanych punktach, przeprowadzaliśmy rozmowy z wyborcami, promowaliśmy naszych kandydatów. W tym czasie aktywnie działała ekipa zajmująca się plakatowaniem.

Można podsumować, że kolejne kampanie uczyły nas coraz lepszego planowania i realizowania założonych celów, czyli zdobycie jak największej liczby mandatów poselskich i senatorskich.

Największy sukces odnieśliśmy w wyborach na II kadencję (1993-1997), kiedy posłowie SLD w koalicji z PSL objęli rządy w Polsce. Z naszych lewicowych (SLD) list wyborczych, oprócz mnie, mandaty poselskie zdobyli: Alfred Owoc, Andrzej Brachmański, Jadwiga Błoch, Kazimierz Pańtak, Franciszek Wołowicz, a senatorskie: Zbyszko Piwoński i Jolanta Danielak. Mandaty z listy SLD do Sejmu IV kadencji (2001-2005) uzyskali Bogusław Wontor i Andrzej Brachmański, a do senatu Zbyszko Piwoński, Jolanta Danielak oraz Zdzisław Jarmużek.

Brałem udział w spotkaniu posłów lewicy w 15. rocznicę czerwcowych wyborów parlamentarnych, które odbyły się 12 czerwca 2004 r., z inicjatywy Klubu Parlamentarnego SLD, w gmachu Sejmu RP, gdzie dokonano podsumowania naszej działalności parlamentarnej za dziesięć lat (1989-1999). Na spotkaniu wielokrotnie podkreślano, że posłowie lewicy potrafili patrzeć w przyszłość i skutecznie podejmować stojące przed nimi wyzwania. Były też krytyczne oceny tego, czego lewicy się nie udało zrealizować i jakie były powody obniżenia zaufania wyborców. Uczestnicy spotkania byli zgodni co do tego, że lewica nie zmarnowała 15 lat spędzonych w parlamencie polskim i pierwszych lat w parlamencie europejskim, poszukując kompromisu tam, gdzie było to możliwe. Broniała naszych racji tam, gdzie było to konieczne i gdzie byliśmy przekonani, że jest to słuszne. Nie utrudnialiśmy bezmyślnie działań ówczesnie rządzącym

władzom tylko dlatego, że byliśmy opozycją. Wnieśliśmy istotny wkład w budowę nowego ustroju naszego państwa, w budowę polskiej demokracji. Z ogromną satysfakcją przyjąłem wyróżnienie mnie wśród innych posłów na tej konferencji za wysoką aktywność, w której podkreślono moją pracę rektora Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze, posła pięciu kadencji i znakomitą oraz bardzo aktywną pracę parlamentarzysty.

Moja działalność parlamentarna. Synteza

Wygłosiłem 159 wypowiedzi na komisjach sejmowych: w Komisji Polityki Przestrzennej, Budowlanej i Mieszkaniowej, w Komisji Nadzwyczajnej do Zbadania Działalności Rządu w okresie od 30 maja do 14 października 1993 r. oraz w podkomisjach:

- ds. polityki paliwowo-energetycznej i górnictwa,
- nadzwyczajnej do rozpatrzenia poselskiego projektu ustawy o wspieraniu inwestycji termomodernizacyjnych (druk nr 2073),
- nadzwyczajnej do rozpatrzenia poprawek zgłoszonych podczas drugiego czytania do poselskich projektów ustaw: o zmianie ustawy:
 - Prawo spółdzielcze (druk nr 1930),
 - O szczególnych zasadach podziału spółdzielni (druk nr 1931),
 - O zmianie ustawy Prawo spółdzielcze (druk nr 1982),
- ds. reformy państwa – Podkomisji nadzwyczajnej do rozpatrzenia rządowego projektu ustawy Prawo budowlane (druk nr 63),
- nadzwyczajnej do rozpatrzenia rządowego projektu ustawy o najmie lokali mieszkalnych i dodatkach mieszkaniowych (druk nr 59),
- nadzwyczajnej do opracowania projektu opinii Komisji na temat projektu ustawy budżetowej na 1995 r.,
- nadzwyczajnej do opracowania projektu uchwały Sejmu RP w sprawie „Założeń Polityki Mieszkaniowej Państwa” (druk nr 694),
- nadzwyczajnej do rozpatrzenia sprawozdania z wykonania budżetu Państwa za 1994 r.,
- nadzwyczajnej do rozpatrzenia rządowego projektu ustawy o niektórych formach popierania budownictwa mieszkaniowego oraz o zmianie niektórych ustaw (druk nr 976),
- nadzwyczajnej do przygotowania sprawozdania Komisji do uzupełnienia „Założeń Polityki Mieszkaniowej Państwa” (druk nr 694-A),
- nadzwyczajnej do rozpatrzenia rządowego projektu ustaw: Prawo budowlane, o zagospodarowaniu przestrzennym oraz innych ustaw (druk nr 2095),

- nadzwyczajnej do rozpatrzenia rządowego i poselskiego projektów ustaw o zmianie ustawy o najmie lokali mieszkalnych i dodatkach mieszkaniowych (druki nr 1837 i 1633),
- nadzwyczajnej do rozpatrzenia projektu ustawy budżetowej.

Wyjazdowe posiedzenia komisji

Poza planowanymi posiedzeniami komisji w gmachu sejmu odbywały się także posiedzenia komisji na terenie kraju, najczęściej w celu omówienia konkretnych zagadnień związanych z polityką przestrzenną, budowlaną i mieszkaniową.

Spośród kilkunastu wyjazdowych posiedzeń, w których uczestniczyłem w okresie całej mojej działalności poselskiej, do najistotniejszych zaliczam:

- posiedzenie wyjazdowe w Śremie poświęcone budownictwu mieszkaniowemu realizowanemu przez Towarzystwa Budownictwa Społecznego (TBS); były to w Polsce pierwsze inwestycje tego typu;
- posiedzenie wyjazdowe w Krakowie poświęcone prawu o najmie lokali mieszkaniowych i dodatkach mieszkaniowych. Spotkanie z komisją do spraw mieszkaniowych urzędu miasta było bardzo pomocne przy opracowywaniu odpowiedniej ustawy;
- posiedzenie wyjazdowe we Wrocławiu i Opolu poświęcone ocenie zakresu zniszczeń obiektów budowlanych w wyniku powodzi. Przeprowadzone dyskusje pozwoliły nam na ocenę skutków i niezbędnych nakładów na przeprowadzenie najczęściej kapitalnych remontów, tak obiektów kubaturowych, jak i liniowych;
- posiedzenie wyjazdowe w Piotrkowie Trybunalskim poświęcone przede wszystkim infrastrukturze technicznej, a w szczególności zaopatrzenia w wodę. Okazało się, że z jednej strony problemem było niewystarczające dostarczanie wody z zakładu uzdatniania wody, a z drugiej brak wrażliwości ludzi na konieczność oszczędzania wody;
- posiedzenie wyjazdowe w Gdańsku poświęcone przede wszystkim budownictwu hydrotechnicznemu i nakładom niezbędnym na infrastrukturę drogową;
- posiedzenie wyjazdowe w Szczecinie i w Zielonej Górze poświęcone w szczególności realizacji opracowywania planów zagospodarowania przestrzennego. Problemem wszystkich miast w Polsce było niedotrzymywanie terminów nałożonego ustawą o zagospodarowaniu przestrzennym przygotowania miejscowych planów zagospodarowania przestrzennego;
- posiedzenie wyjazdowe w Kielcach poświęcone polityce inwestycyjnej, a w szczególności obciążeniu budżetu państwa wydatkami na budownictwo mieszkaniowe i termomodernizację;

– wyjazd do Białegostoku w sprawie spółdzielni mieszkaniowej.

To zaledwie kilka przykładów, w ogólnym rozrachunku bowiem takich posiedzeń wyjazdowych w ciągu 5 lat kadencji było znacznie więcej.

Ponadto odbyły się dwa posiedzenia wyjazdowe do Niemiec, które dotyczyły wymiany doświadczeń w zakresie zagadnień renowacji budynków mieszkalnych i modernizacji obszarów zabudowanych.

Reprezentowanie Sejmu RP poza granicami Polski

W latach 1993-1997 (II kadencja Sejmu) byłem członkiem delegacji do Parlamentu Komisji Wspólnej RP i UE, a w II i III kadencji zastępcą członka Delegacji Parlamentarnej RP do Zgromadzenia Parlamentarnej Rady Europy (dokładnie byłem członkiem komisji regulaminowej i immunitetów). Ponadto uczestniczyłem w wyjazdach delegacji międzynarodowych i przyjmowałem liczne delegacje zagraniczne. Polska nie była jeszcze członkiem Unii Europejskiej, jednak przedstawiciele polskiego parlamentu mieli już prawo zasiadać w Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy. Zadaniem grupy było reprezentowanie naszego kraju na wszystkich plenarnych posiedzeniach Międzynarodowego Zgromadzenia Parlamentarnej Rady Europy oraz uczestnictwo w poszczególnych klubach politycznych i komisjach branżowych. W tym zakresie nie przejawiałem szczególnej aktywności. Po pierwsze, nie miałem większego doświadczenia w takiej działalności, a po drugie, co jest bardzo istotne, nie znałem języka angielskiego, a opanowanym przeze mnie językiem francuskim oraz niemieckim nie zawsze można było się posługiwać.

Dwukrotnie występowałem na posiedzeniu komisji, raz w języku francuskim, raz w języku niemieckim, co zostało odnotowane w protokołach. Znacznie większą aktywność wykazywałem w delegacjach sejmów do parlamentów w innych krajach. Byłem w delegacji parlamentarnej do Bundestagu, której przewodniczył Mieczysław Serwiński. Uczestniczyłem w delegacji do ambasady polskiej w Moskwie, której przewodniczył Wicemarszałek Mieczysław Rakowski. Byłem w delegacji parlamentarnej do Meksyku, Kuby i Nikaragui, której również przewodniczył wicemarszałek Rakowski. Brałem także udział w delegacji do parlamentu belgijskiego, której przewodniczył marszałek Maciej Płażyński.

We wszystkich tych przypadkach pełniłem funkcję wiceprzewodniczącego. W ramach delegacji bardziej aktywnie uczestniczyłem w prowadzonych dyskusjach, często prowadzonych w języku polskim z wykorzystaniem tłumacza. Nie zawsze nadarzała się okazja, żeby bezpośrednio porozmawiać z parlamentarzystami innych krajów w ich ojczystym języku. Najczęściej rozmawiałem po francusku, ale zdarzało się także, że w języku niemieckim. Ponadto miałem dwa

wyjazdy służbowe jako przedstawiciel Komisji Polityki Przestrzennej, Budowlanej i Mieszkaniowej do Niemiec oraz jeden bardzo ważny wyjazd integracyjny do parlamentu francuskiego.

Podsumowanie pracy parlamentarnej

Podsumowując mój dorobek sejmowy, jestem przekonany, że rzeczywiście ciężko pracowałem. Wystarczy przypomnieć, że miałem blisko 181 wystąpień w debatach parlamentarnych, złożyłem niemal 106 interpelacji pisemnych, 102 razy koordynowałem prace legislacyjne w imieniu Parlamentarnego Klubu Sojuszu Lewicy Demokratycznej, zgłosiłem 35 zapytań poselskich. Miałem także jedno wystąpienie przed Trybunałem Konstytucyjnym. Nie zaniedbywałem też kontaktów z wyborcami, będąc w stałym i bezpośrednim kontakcie z mieszkańcami naszego województwa. Wyrazem tego były liczne spotkania z wyborcami, częste dyżury poselskie, wizytacje w przedsiębiorstwach, rozmowy w organizacjach i stowarzyszeniach, co pozwoliło mi poznać problemy moich wyborców i miało bezpośrednio wpływ na moją aktywność poselską w sejmie.

Biura poselskie i organizacja pracy poselskiej w terenie

Wybory do sejmu kontraktowego przebiegały w miarę normalnie. W IX i X kadencji Sejmu (1985-1991) mieliśmy Wojewódzkie Biuro Poselskie, które mieściło się najpierw w budynku Wojewódzkiej Rady Narodowej, a potem w Urzędzie Wojewódzkim w Zielonej Górze (ul. Podgórna 5). Kierownikiem Biura Posłów był Kazimierz Turkowiak z Zielonej Góry, a po nim Bernard Fornalczyk z Sulechowa.

W I, II i III kadencji Sejmu RP (1991-1993, 1993-1997 i 1997-2001) każdy poseł miał swoje biuro poselskie. Moje biuro, jako posła I kadencji (1993-1997) z Komitetu Wyborczego SdRP w okręgu zielonogórskim, mieściło się w Zielonej Górze (VIII piętro biurowca przy ul. Boh. Westerplatte 11). W kolejnej, II i III kadencji parlamentarnej (1993-2001), mieliśmy wspólne biuro poselsko-senatorskie z senatorem Zbyszkiem Piwońskim.

Wspomnienia ze spotkań z wyborcami w II i III kadencji

Częste i regularne spotkania z wyborcami (choć nie tylko), dyżury poselskie, liczne rozmowy z mieszkańcami miast i wsi, z młodzieżą, pracownikami zakładów i instytucji, z przedstawicielami organizacji i stowarzyszeń pozwalały mi dobrze poznać sprawy, którymi żyją mieszkańcy mojego województwa i moi

wyborcy. Wiele spotkań miałem także poza województwem (np. w Warszawie, we Wrocławiu, Kołobrzegu, Poznaniu, Szczecinie, Lublinie, Bydgoszczy), na których dominowały problemy polityki mieszkaniowej i działalności legislacyjnej sejmu w dziedzinie gospodarki przestrzennej, budownictwa mieszkaniowego i gospodarki mieszkaniowej.

Dyżury poselskie w moim okręgu wyborczym w Zielonej Górze pełniłem – jak już wspominałem – najczęściej w poniedziałki. W mojej pięcioletniej kadencji było ich ok. 181. Przyjąłem w różnych sprawach osobistych i zespołowych (np. delegacje z zakładów pracy) 1345 interesantów, a ponadto odbyłem 621 spotkań poselskich i podjąłem 993 interwencje poselskie.

Poniedziałek prawie każdego tygodnia był dniem dla posłów i senatorów, przeznaczonym na pracę w terenie z wyborcami. Na nieomal każdy dyżur zgłaszało się do mnie wielu mieszkańców nie tylko Zielonej Góry, ale przyjeżdżali również mieszkańcy województwa. Przyjmowałem wszystkich zainteresowanych, dlatego czasami dyżur, w którym pomagali mi mój asystent – Jan Mielżyński i prawnicy – radca prawny Jerzy Cieślukowski oraz dorywczo Andrzej Skibiński – kończył się w późnych godzinach wieczornych. Cieszyła mnie każda skutecznie przeprowadzona porada, wsparcie prawne, załatwienie sprawy, z którą do mnie się zwracano z nadzieją na pomoc. Jeśli sprawa wymagała zbadań i czasu, zobowiązywałem się do powiadomienia interesanta o sposobie załatwienia jego problemów.

Często była potrzeba interwencji w różnych urzędach, instytucjach i zakładach pracy. Nie sposób wymienić wszystkich, ale najczęściej były to: urząd wojewódzki i urzędy powiatowe oraz urzędy samorządów lokalnych. Występowałem często z interwencjami do zakładów gospodarki komunalnej i mieszkaniowej w sprawach członków spółdzielczości mieszkaniowej oraz wielu firm. Czasami potrzebna była interwencja w ministerstwach i instytucjach centralnych. Wszystkie wymienione organizacje gospodarcze i urzędy badały zgłoszone sprawy i otrzymywałem wyjaśnienia, jak zostały załatwione, z powiadomieniem moich interesantów. Później otrzymywałem wiele telefonów z podziękowaniami.

Dyżury i spotkania z mieszkańcami dawały mi ogromną wiedzę o odczuciach lokalnej społeczności wobec pracy sejmu i polityki rządu. Sugerowały, co trzeba zmienić w ustawach i rozporządzeniach. Poznawałem problemy życiowe mieszkańców. Ceniłem sobie tę formę pracy parlamentarzysty z mieszkańcami, bo często spotkania były dla mnie inspiracją do zgłaszania interpelacji i zapytań kierowanych do ministrów, a niekiedy do podejmowania inicjatywy legislacyjnej, którą przedstawiałem w naszym klubie parlamentarnym.

Lider zielonogórskiej lewicy

Moje poglądy lewicowe zostały ukształtowane już w młodych latach, na co wpływ miała niewątpliwie sytuacja ekonomiczna mojej rodziny. W 1964 r. wstąpiłem do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej na Politechnice Poznańskiej. Tam też została mi powierzona funkcja Pierwszego Sekretarza Oddziałowej Organizacji Partyjnej na Wydziale Budownictwa Lądowego.

Moje pożegnanie z PZPR odbyło się 29 stycznia 1990 r. w Sali Kongresowej na XI Zjeździe, gdzie przyjęliśmy uchwałę o zakończeniu jej działalności po ponad 40 latach. Pamiętam, że w trakcie obrad dominowały dwie opcje: większościowa – opowiadająca się za utworzeniem nowej partii, ale bez odcinania się od dorobku PZPR i druga, mniejszościowa – której zwolennicy chcieli odciąć się całkowicie od dorobku PZPR i zbudować nową partię od podstaw. Po burzliwej momentami dyskusji nad obiema koncepcjami tuż po północy zjazd PZPR przyjął uchwałę o zakończeniu działalności partii, a Mieczysław Rakowski, prowadzący obrady, polecił sztandar PZPR wyprowadzić. Blisko 1200 delegatów opowiedziało się za przekształceniem zakończonego zjazdu PZPR w Kongres Założycielski Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej (SdRP), na czele którego stanął Aleksander Kwaśniewski jako przewodniczący Rady Naczelnej, a Leszek Miller otrzymał funkcję sekretarza generalnego. Pod przewodnictwem Tadeusza Fiszbacha z delegatów PZPR wyłoniła się Unia Socjaldemokratyczna Rzeczypospolitej Polskiej, a od kwietnia 1990 r. Polska Unia Socjaldemokratyczna.

W nowych partiach lewicowych wywodzących się z PZPR nastąpiła zmiana pokoleniowa. Socjaldemokracja Rzeczypospolitej Polskiej jako nowa, młoda socjaldemokratyczna partia, wspierała aktywnie rozwój demokracji oraz wolnego rynku. Opowiadała się za pomocą dla najuboższych i dlatego przynależność do tej partii mi odpowiadała.

Po zakończeniu I Kongresu Założycielskiego nowej partii – Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej – której zostałem jednym z założycieli i członkiem władz naczelnych, wróciłem do Zielonej Góry. Pełnomocnikiem Rady Naczelnej SdRP został mianowany Zenon Miech, a jego zastępcą Jan Mielżyński, od 1991 r. mój asystent poselski. W Zielonej Górze została powołana Wojewódzka Komisja Organizacyjna SdRP, która miała zadanie utworzenia terenowych komórek nowej partii.

Na przełomie lipca i sierpnia 1990 r. moje samopoczucie wyraźnie się pogorszyło i nie wiedziałem, co było tego przyczyną. Pojechałem na badania do wojskowego szpitala w Żarach. Wcześniej przeprowadzono mi miarowanie pracy mojego serca. Lekarz prowadzący stwierdził kategorycznie: „Odrzucamy wszystkie leki”. Byłem zaskoczony, miałem jednak nadzieję, że ta decyzja

doprowadzi do poprawy mojego stanu zdrowia. Lekarz dodatkowo zapisał mi wirówkę nóg, akupunkturę i zalecił częste przechadzki. Postępowałem zgodnie z jego zaleceniami.

Po pierwszych dwóch, może trzech dniach, nie było jeszcze poprawy. Co prawda, fizycznie byłem sprawny, wykonywałem różne ćwiczenia, chodziłem na posiłki, spacerowałem, ale nie zauważyłem zmiany na lepsze, pogarszał się także mój stan psychiczny.

W tym czasie przyjechało do mnie, do szpitala, dwóch moich kolegów – Zenon Miech i Jan Mielżyński, którzy poinformowali mnie o zamiarach powołania organizacji wojewódzkiej SdRP. Nie zdziwiło mnie to, byłem bowiem członkiem założycielem tej partii z legitymacją numer 1.

Po krótkiej rozmowie na temat stanu mojego zdrowia i planów zorganizowania na terenie województwa struktur partii koledzy zaproponowali, abym wyraził zgodę kandydowania na funkcję przewodniczącego wojewódzkiej organizacji. Sprawilo mi to dużą przyjemność, ale zdając sobie sprawę ze stanu mojego zdrowia, poinformowałem ich, że nie mogę teraz udzielić odpowiedzi. Trochę się dziwili, wyglądałem bowiem nie najgorzej. Na zakończenie rozmowy powiedziałem: „Jeśli poczuję się w najbliższych dniach lepiej, nastąpi przełom w moim samopoczuciu, na co bardzo liczę, to niezwłocznie poinformuje o mojej decyzji”. Pożegnaliśmy się i koledzy odjechali.

Minął kolejny dzień, a stan mojego zdrowia nie uległ zasadniczej zmianie. Dopiero następnego dnia, przed południem, niespodziewanie nastąpił przełom. Odzyskałem w pełni dobre samopoczucie i swobodę myślenia, poczułem się zdrowy. Lekarz prowadzący, kiedy go poinformowałem o moim samopoczuciu, stwierdził jednoznacznie: „Pana organizm był zatruty nadmiarem stosowanych leków”. Zapisał jedynie niewielką pastylkę Isoptinu, którą miałem zażywać raz dziennie.

O poprawie mojego stanu zdrowia niezwłocznie powiadomiłem moich kolegów, którzy wcześniej odwiedzili mnie w szpitalu. Stwierdziłem, że jeśli w dalszym ciągu decyzją grupy inicjatywnej jest zamiar zaproponowania Wojewódzkiej Radzie SdRP mojej kandydatury na przewodniczącego, to wyrażam zgodę.

Po dwóch dniach dalszego pobytu w szpitalu w związku z koniecznością przeprowadzenia kompleksowych badań, w bardzo dobrym stanie psychiczno-fizycznym zostałem z niego wypisany i wróciłem do Zielonej Góry.

Decyzją Rady Wojewódzkiej SdRP zostałem wybrany na jej przewodniczącego. Rada wybrała Wojewódzki Komitet Wykonawczy, który postanowił wynająć kilka pomieszczeń biurowych na siedzibę partii. Pochwaliłem ten pomysł i zaproponowałem, aby znalazło się tam także moje biuro poselskie. Po dopełnieniu formalności administracyjnych urządziliśmy się w wieżowcu biurowym należącym do MPGKiM na VIII piętrze przy ul. Chopina 11 w Zielonej

Górze i pozostaliśmy tam przez wszystkie kadencje moje i senatora Zbyszka Piwońskiego.

Dobre wyniki wyborcze do parlamentu i samorządów lokalnych były zasługą kandydatów na posłów i senatorów oraz szerokiego grona działaczy SdRP, a później SLD. To oni organizowali działalność partii i kampanie wyborcze.

Największe zaangażowanie wykazywali: Zenon Miech, Jan Mielżyński, Mieczysław Jerulank, Wiesław Stoch, Andrzej Piątkowski, Jan Szczurek, Roman Filecki, Zygmunt Listowski, Bożena Mania, Irena Marciniak, Franciszek Wołowicz, Zbigniew Czerwiński, Edward Skobelski, Franciszka Teoludzka, Tadeusz Woźniak, Leszek Cebula, Jerzy Wybrański, Andrzej Cudak, Jan Tumiński, Jan Klimek, Tadeusz Bielak, Jan Szabator, Marian Szaflik, Paweł Bużantowicz, Anna Łomża, Zenon Rzycki, Zbigniew Teller, Jan Chmielewski, Jan Kaniuk, Tadeusz Gabryelski, Maciej Kałuski, Bogusław Radzio, Leszek Rauchut, Norbert Brachmański, Jerzy Kwiatkowski, Zygmunt Marcinkowski, Zdzisław Mały, Romualda Jarecka-Cieślak, Bogdan Grzegorzewski, Jerzy Dobrzejewski, Franciszek Miter, Jan Woźnica, Roman Kuriata, Andrzej Styczyński, Alicja Sakowicz. To zaledwie część działaczy, którzy angażowali się w naszą kampanię wyborczą, i dzięki aktywności których udawało się nam zdobywać mandaty posłów i senatorów. Serdecznie im za to dziękuję.

Skuteczna realizacja koncepcji umacniania i rozwoju SdRP oraz coraz lepsza organizacja kampanii wyborczych pozwoliła naszym kandydatom na posłów wywalczyć 19 mandatów poselskich w latach 1989-2023. Mandat poselski otrzymałem, podobnie jak Bogusław Wontor, na pięć kadencji, Józef Błaszczyk, Alfred Owoc i Jadwiga Błoch – dwie, Andrzej Brachmański – trzy, Franciszek Wołowicz z Żar – jedną (2001-2005).

Do grona moich politycznych przyjaciół zaliczam także: Barbarę Czerwińską, Andrzeja Bocheńskiego, Antoniego Ciosa, Jolantę Fedak, Edwarda Fedko, Czesława Fiedorowicza, Tytusa Fokszana, Jana Kochanowskiego, Edwarda Łazickiego, Ignacego Odważnego, Krzysztofa Romankiewicza, Michała Potockiego, Jana Świrepo, Wilhelma Skibińskiego i jego syna Andrzeja oraz wielu innych. Dziękuję im za współpracę.

Powstanie SLD (1999)

Potrzeba utworzenia nowej partii politycznej wynikała z konieczności dostosowania do zmian, jakie wprowadziła Konstytucja z 1997 r. Zgodnie z art. 100 prawo do zgłaszania kandydatów do parlamentu miały tylko partie polityczne lub wyborcy, zatem koalicja partii i organizacji, jaką był Klub Parlamentarny Sojuszu Lewicy Demokratycznej, nie miał takich możliwości. 15 kwietnia 1999 r. przedstawiciele 29 partii i ugrupowań politycznych podpisali deklarację

założycielską nowej partii o nazwie Sojusz Lewicy Demokratycznej oraz przyjęli tezy programowe i statut, a 26 kwietnia 1999 r. SLD został wpisany do rejestru partii politycznych. Byłem jednym z założycieli nowej partii, podobnie jak większość parlamentarzystów – członków byłej SdRP.

Z Wojewódzkim Komitetem Wyborczym SLD związana była moja ostatnia kadencja poselska w latach 1997-2001, przy poparciu Rady Wojewódzkiej SdRP w Zielonej Górze. Szliśmy do wyborów parlamentarnych pod hasłem „Zielonogórskie piękne, czyste i gospodarne”. Do Senatu RP kandydowali wówczas Zbyszko Piwoński i Jolanta Danielak. Oboje zdobyli zaufanie wyborców i mandaty senatorów.

Ze względu na wiele obowiązków poselskich oraz naukowych i edukacyjnych na Uniwersytecie swoją aktywność w działalności SLD ograniczyłem do Klubu Parlamentarnego. To była moja ostatnia kadencja w Sejmie RP.

Nadal należę do SLD, ale jestem biernym członkiem.

Działalność społeczna

Honorowy Obywatel Miasta Zielona Góra

29 sierpnia 2017 r. zielonogórcy radni zdecydowali, że w tym roku tytuły honorowych obywateli Zielonej Góry trafią do Małgorzaty i Rolanda Hellmannów, polsko-niemieckiego małżeństwa społeczników z Verden w Niemczech, oraz do mnie.

Uroczysta sesja Rady Miasta, podczas której zostały wręczone dyplomy i medale nowym honorowym obywatelom Zielonej Góry, odbyła się 5 września 2017 r. w Planetarium Wenus (Centrum Nauki Keplera). Laudację na moją cześć wygłosił były poseł RP, radny Rady Miejskiej Zielonej Góry Andrzej Brachmański. Przedstawiam ją poniżej w całości.

Laudacja na cześć Prof. Tadeusza Bilińskiego z okazji nadania tytułu Honorowego Obywatela Miasta Zielona Góra

Nie jest prosto przedstawić w krótkim czasie postać, która ma za sobą taki życiorys i tyle dokonań. Zacznę więc od sedna – nowy Honorowy Obywatel naszego miasta, Profesor Tadeusz Biliński, to poznańska pyra, która z wyboru stała się Lubuszaninem, a gdyby serca miały kolor inny niż czerwony, to jego miałyby pewnie żółto-biało-zielony.

Obszerny życiorys Pana Profesora znajduje Państwo w uzasadnieniu uchwały o nadaniu mu Honorowego Obywatelstwa. Z kronikarskiego obowiązku wspomnę tu tylko, iż urodził się w roku 1932 w Trzemesznie, w rodzinie rzemieślniczej. Wojnę, jak wiele poznańskich rodzin, Bilińscy spędzili na tułaczce po Generalnej Guberni. Jednak zaraz po wyzwoleniu Trzemeszna przez Armię Czerwoną rodzina wróciła na domowe pielesze, a przyszły poseł i rektor rozpoczął naukę w słynnym Gimnazjum i Liceum im. Kilińskiego, by kontynuować ją w jeszcze bardziej znanym Liceum im. św. Marii Magdaleny w Poznaniu. Tam też – u Magdalenek – objawiły się nie tylko naukowe pasje Tadeusza (pозwólcie, że będę czasami zwracał się do pana Profesora po imieniu, mam bowiem ten niewątpliwy zaszczyt, iż dokładnie od 27 lat pozwala mi na tę poufalskość). Jako się więc już rzekło, u Magdalenek pan Profesor mocno zaangażował się w dwie rzeczy. Po pierwsze w harcerstwo. W zielonym mundurze z rogatywką na głowie uczył się działania dla innych i działał na rzecz innych. Jednocześnie Pan Profesor śpiewał! I to śpiewał nie byle gdzie, bo aż w dwóch chórach – tym mniej znanym harcerskim chórze „Ośmiu Bąków” i tym bardzo znanym – Poznańskim Chórze Chłopięcym i Męskim. Co łączy te dwa chóry? Ano postać dyrygenta – Stefana Stuligrosza. Tak proszę państwa – w młodości Pan Profesor Tadeusz Biliński był „poznańskim Słowikiem”, członkiem najlepszego w dziejach Polski chóru męskiego. A do tego odnosił spore sukcesy na poznańskim podwórku lekkoatletycznym. Jak to wszystko godził? Nie wiem. Może dlatego, że nie znał komputerów i smartfonów?

Po perypetiach charakterystycznych dla ówczesnych czasów Tadeusz Biliński ukończył studia na Wydziale Budownictwa Politechniki Poznańskiej i uzyskał dyplom magistra budownictwa w zakresie konstrukcji budowlanych. I tak nazwisko Tadeusz Biliński zaczęło się splatać z dziejami polskiego budownictwa. Właśnie mija 60 lat pracy naukowej Pana Profesora. Jeśli dziś zapytacie kogokolwiek z branży budowlanej w Polsce, z kim kojarzy mu się Zielona Góra, to odpowie bez wahania: z Tadeuszem Bilińskim. Tak się bowiem złożyło, iż w którymś momencie swojego życia, równo 41 lat temu, Tadeusz Biliński związał swoje losy z naszym miastem. A właściwie – tu zdradzę Państwu tajemnicę – zdecydowała o tym jego żona, która wahającemu się, czy przyjąć propozycję przejścia do Winnego Grodu, ówczesnemu docentowi Politechniki Poznańskiej, powiedziała cztery proste słowa: „Tadeusz, nie hamlejuj, jedziemy!”.

I tu zaczyna się ten rozdział życia Pana Profesora, który dziś spinamy, nadając mu godność Honorowego Obywatela Zielonej Góry.

W październiku 1976 r. docent Tadeusz Biliński objął funkcję rektora Wyższej Szkoły Inżynierskiej. Objął w momencie trudnym dla szkoły. Ale nie tylko wprowadził ją na prostą, ale wniósł wiele do jej rozwoju.

Powiedzmy to w dużym skrócie:

1. Wydział Budownictwa WSI był pierwszym w historii naszego miasta wydziałem, który otrzymał prawa doktoryzowania.

2. Dzięki staraniom Profesora Tadeusza Bilińskiego – we współpracy z ówczesnymi władzami uczelni – Wyższa Szkoła Inżynierska została przekształcona w Politechnikę Zielonogórską, a przewodniczącym państwowej komisji rozpatrującej tę sprawę był właśnie Pan Profesor.

3. To Profesor Tadeusz Biliński – razem z innym Honorowym Obywatelem Naszego Miasta, panem Zbyszkim Piwońskim – byli inicjatorami i głównymi motorami przekształcenia pięciu polskich uczelni wyższych w Uniwersytety. To dzięki tej inicjatywie powstały uniwersytety w Opolu, Olsztynie i... w Zielonej Górze.

Już te zasługi wystarczyłyby na trzy honorowe tytuły!

A przecież, o czym wszyscy wiedzą, Profesor Tadeusz Biliński jest profesorem prawdziwym, jak to się mówi w środowisku, behwederskim od 1978 r., przez 5 kadencji i 20 lat był posłem na Sejm i odcisnął swoje piętno na kształcie polskiego budownictwa.

Przez półtorej kadencji był wiceprzewodniczącym, a następnie przez 3,5 kadencji przewodniczącym Sejmowej Komisji Polityki Przestrzennej, Budowlanej i Mieszkańkowej. Koalicje się zmieniały, rządy powstawały i upadały, a Profesor trwał. Bowiem wszyscy – od prawa do lewa i od lewa do prawa – cenili wiedzę i kompetencje Pana Profesora i wszyscy wiedzieli, iż takiego pracusia trudno będzie znaleźć. Premierzy Messner, Rakowski, Mazowiecki, Suchocka, Bielecki, Cimoszewicz, Buzek, Pawlak, Oleksy cenili sobie wiedzę i kompetencje Tadeusza.

Jest nasz nowy Honorowy Obywatel twórcą wielu ustaw. O kilku pragnę wspomnieć: prawo budowlane, ustawa o termomodernizacji, o usuwaniu azbestu, o racjonalizacji wykorzystania energii itd. Jednak jest jedna w moim przekonaniu warta szczególnej uwagi. Myślę, że mało kto wie, iż to Pan Profesor Tadeusz Biliński jest autorem noweli ustawy o drogach publicznych – noweli, dzięki której w Polsce powstały pierwsze autostrady i dzięki której za przejazdy po tych autostradach płacimy. Jeśli więc śmigacie dziś od Zielonej Góry po Przemysł i cieszyście się, że mamy już niezłą sieć autostrad, to wiedźcie, że to dzięki Tadeuszowi Bilińskiemu. Jeśli życzycie się, że musicie za to płacić, to pamiętajcie – Biliński to firmował.

Na zakończenie przypomnę tylko, że nasz Gość rozslawiał imię miasta również poza granicami, wykładając na uczelniach w Algierii i Belgii. Jest autorem bądź współautorem około 300 publikacji naukowych, w tym 34 monografii i książek.

I już zupełnie na koniec: przygotowując się do tego krótkiego wystąpienia, znalazłem wywiad, jakiego ówczesny, świeżo upieczony rektor WSI udzielił studenckiej gazecie. Powiedział w nim m.in.: „Jeśli zdecydowałem się przyjść do Zielonej Góry, to nie na chwilę, nie na byle jak. Chcę utożsamić się z tym miastem i chcę, by ta uczelnia potraktowała mnie nie jak gościa, lecz jak swojego. Chcę, by moje serce zostało w Zielonej Górze”.

Dziś, po latach, możemy powiedzieć, że serca profesora zwyczajnego budownictwa Tadeusza Bilińskiego należy do naszego miasta, a nasze miasto jest dumne, że wybrał je na swoją Małą Ojczyznę

Tadziu, serdeczne gratulacje od całej Rady Miejskiej, od moich koleżanek i kolegów!

A jeśli będą Cię pytać, co najbardziej udało Ci się w dotychczasowym życiu, to nie wymieniaj swoim zwyczajem tych wszystkich ustaw, przepisów i księżek i konferencji. Powiedz prawdę: najbardziej w życiu udali mi się synowie, którzy też kochają to miasto jak ja.

Wszystkiego najlepszego Przyjacielu, wszystkiego najlepszego!

Po wręczeniu specjalnych dyplomów Honorowego Obywatela Miasta Zielona Góra przez przewodniczącą Rady Adama Urbaniaka, zabrałem głos. W swoim podziękowaniu za tak ważne dla mnie wyróżnienie powiedziałem:

Otrzymanie tytułu Honorowego Obywatela Zielonej Góry jest potwierdzeniem działalności danej osoby. A zatem te założenia, które kiedyś przyjmowałem i starałem się możliwe najintensywniej działać dla miasta, obywateli, środowiska akademickiego, potwierdziły się. Czuję się więc bardzo wyróżniony. W przeciągu ponad 40 lat pobytu w Zielonej Górze widzę szalone różnice. I to w zakresie przede wszystkim może samego miasta – rozwoju struktury, układu komunikacyjnego, zabudowy. Ponadto środowisko akademickie, które było bardzo wątłe, to dziś Uniwersytet Zielonogórski. To bardzo cieszy. Jakkolwiek jest dużo drobnych usterek w procesie rozwoju miasta, w całości jest to rozwój poprawny.

Część VIII

Najważniejsze wspomnienia z mojego życia

Wspomnienia z pracy sejmowej

Posiedzenia komisji – niespodzianki

W czasie pięciu kadencji Sejmu byłem zawsze członkiem Komisji Polityki Przestrzennej, Budowlanej i Mieszkaniowej. W IX kadencji byłem współprzewodniczącym, a w kadencji II i III przewodniczącym Komisji Polityki Przestrzennej, Budowlanej i Mieszkaniowej. Zawsze dążyłem, aby każde posiedzenie komisji było dobrze przygotowane. W tym zakresie pomagał mi z niezwykłą sprawnością sekretariat komisji w osobach: Elżbieta Kessel – kierownik i Grażyna Komar.

Każde posiedzenie otwierałem z wielką powagą i z uszanowaniem wszystkich uczestników. Stojąc, witałem zaproszonych gości, wśród których często byli przedstawiciele władz państwowych, instytucji rządowych oraz zainteresowani tematyką posiedzenia przedstawiciele różnych organizacji i stowarzyszeń. Po przywitaniu gości i przedstawieniu celu posiedzenia komisji oraz scharakteryzowaniu tematu posiedzenia, niezwłocznie przystępowałem do realizacji programu posiedzenia. Tylko raz zdarzył się przypadek małej dezorganizacji: po moim krótkim przedstawieniu tematu, oczywiście z pamięci, przedstawiciel Komitetu Inżynierii Lądowej i Wodnej PAN, wiceprzewodniczący prof. Stanisław Kajfasz, niespodziewanie zabrał głos i ku zaskoczeniu wszystkich uczestników poinformował, że jest zawiedziony, ponieważ profesor przewodniczący w sposób logiczny i zwięzły krótko przedstawił temat posiedzenia, a nie zrobił 45-minutowego wykładu, tak jak to było dotychczas w tradycji. Posłowie byli trochę zdezorientowani, po chwili jednak roześmiali się i obrady komisji potoczyły się zgodnie z programem. Tylko w czasie dwóch – jak pamiętam – posiedzeniach komisji miały miejsce niespodzianki. Pierwsza była w czasie posiedzenia komisji w sprawie przyjęcia sprawozdania podkomisji do spraw rozpatrzenia projektu rządowego Prawo budowlane. Posiedzenie było dobrze przygotowane organizacyjnie. Byłem w komfortowej sytuacji, jako przewodniczący komisji byłem bowiem jednocześnie przewodniczącym podkomisji do

rozpatrzenia projektu tej ustawy. Do rozpatrzenia przez komisję było zaledwie kilka kwestii spornych, kontrowersyjnych, dotyczyły one samowoli budowlanych, prowadzenia kapitalnych remontów oraz ochrony osób trzecich w procesie inwestycyjno-budowlanym. Niespodziewanie, tuż przed rozpoczęciem rozpatrzenia kilku zgłoszonych poprawek, jeden z posłów dodatkowo przedstawił na piśmie listę 120 poprawek. Po przekazaniu tej informacji członkom komisji posłowie byli zaskoczeni, wręcz zaszokowani i niezadowoleni, należało bowiem przypuszczać, że obrady komisji nie będą trwały, jak przewidziano 45 minut lub może godzinę, ale kilka godzin. Jednak sytuacja była oczywista, każdy poseł bowiem może, nawet w ostatniej chwili i to nawet w czasie posiedzenia komisji, składać poprawki do przedłożenia podkomisji, a komisja jest zobowiązana do przedyskutowania celowości wprowadzenia poprawek i rozstrzygnięcia poprzez głosowanie. Jak wstępnie stwierdziłem, byłem przekonany, że jestem w komfortowej sytuacji, a tu taka niespodzianka. Należało przystąpić do procedowania. Rozpatrzenie poprawek wcześniej zgłoszonych ogólnie posłom znanych nie sprawiło większych kłopotów, po dyskusji nad każdą z nich sprawnie przeprowadzono głosowanie i sprawa została rozstrzygnięta. Nadszedł czas przedstawiania poprawek zgłoszonych w ostatniej chwili. Poseł, który złożył te poprawki, po krótkim wstępie przystąpił do ich przedstawiania. Już po kilku przedłożonych poprawkach prawie dla wszystkich, a przynajmniej dla mnie oczywiste było, że poprawki nie są ściśle związane z ustawą Prawo budowlane: dotyczyły architektury wewnątrz, a nawet częściowo architektury krajobrazu i wprowadzenie ich chociaż w części do ustawy skomplikowałyby proces projektowania i na pewno zwiększyłyby koszty oraz wydłużyły cały proces inwestycyjno-budowlany. Po każdej przedstawionej poprawce głosowania były jednoznaczne. Jeśli dobrze sobie przypominam, to wszyscy albo prawie wszyscy posłowie byli przeciwko. Wyraźnie wyczuwalne było zniecierpliwienie posłów i któryś z nich dyskretnie zaproponował: „A może zagłosować jednocześnie na wszystkie poprawki?”. Proceduralnie byłoby to dobrym rozwiązaniem. Poseł przedstawiał kolejne poprawki, a ponieważ przed sobą miałem już ich tekst, zwróciłem się do posła wnioskodawcy, czy nie uważa, że te kolejne trzy, cztery są ze sobą skojarzone i należałoby głosować jednocześnie. Poseł wnioskodawca chętnie się zgodził. W tym miejscu czułem się zobowiązany podać informację, że to nie czas przedstawiania niewłaściwych poprawek, ale czas głosowania, rejestrowania i ogłaszania wyniku, co zawsze zabiera dużo czasu. Wtedy nie było jeszcze systemu elektronicznego liczenia głosów. Po pewnym czasie poseł wnioskodawca sam doszedł do wniosku, że kolejne poprawki można wspólnie przedstawić i poddać pod głosowanie. W wyniku wielokrotnego blokowego ujęcia poprawek przez wnioskodawcę rozpatrzenie poprawek zakończyło się

bardzo szybko, a posiedzenie komisji nie trwało więcej jak półtorej godziny. Posłowie, w tym – jak mi się wydawało – sam wnioskodawca, byli zadowoleni.

Posiedzenie komisji w sprawie rozpatrzenia sprawozdania podkomisji powołanej do rozpatrzenia projektu ustawy o zmianie ustawy o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym jak zawsze zostało dobrze przygotowane organizacyjnie przez sekretariat komisji. Zaniepokoiła mnie nieobecność posła sprawozdawcy, przewodniczącego powołanej komisji. Do czasu rozpoczęcia posiedzenia było jeszcze prawie dziesięć minut, ale mieliśmy zwyczaj, że sprawozdawca zawsze przychodził jako pierwszy i czynił pewne uzgodnienia z przewodniczącym komisji, z sekretariatem, aby posiedzenie przebiegało sprawnie. Mijały kolejne minuty, a posła sprawozdawcy nie było. Wszelkie próby skontaktowania się były daremne, sytuacja stawała się coraz bardziej poważna. Postanowiłem porozmawiać z innymi członkami podkomisji, czy któryś z nich nie chciałby się podjąć przedstawienia sprawozdania. Niestety, wszyscy odmówili, tłumacząc się brakiem pełnej znajomości ustawy. Pozostał więc problem, czy odwołać posiedzenie komisji, czy w trybie nadzwyczajnym przejąć rolę sprawozdawcy. Ustawa była mi ogólnie znana, ale nie na tyle wystarczająco, aby w przypadkach szczegółowych kompetentnie wyjaśniać wprowadzone do projektu zmiany. Postanowiliśmy odczekać jeszcze parę minut. Niestety, poseł się nie pojawił i nie udało się nawiązać z nim kontaktu. Odwołanie posiedzenia komisji nie było pożądane nie tylko dlatego, że przyszli posłowie i zaproszeni goście, ale, co istotne, nie można byłoby złożyć sprawozdania z posiedzenia komisji w kancelarii sejmu w ustalonym terminie. Po kilku minutach opóźnienia zdecydowałem się przejąć rolę sprawozdawcy. Wyraźnie odczułem zadowolenie nie tylko sekretariatu komisji, ale wszystkich zebranych. Po oficjalnym otwarciu posiedzenia poinformowałem o nieobecności posła przewodniczącego podkomisji i w związku z celowością przedłożenia sprawozdania dla Prezydium Sejmu zdecydowałem się na przedstawienie stanowiska podkomisji. Była pełna akceptacja wszystkich zebranych, a co istotne, także życzliwa deklaracja, że jeśli nie będę mógł wyjaśnić niektórych kwestii związanych z przedłożonym sprawozdaniem, zostanie to przyjęte ze zrozumieniem. Jak już wspomniałem, ustawa była mi ogólnie znana, zdarzało się nawet, że w przeszłości prowadziłem zajęcia na uczelni z tego zakresu, co nie jest jednak tożsame ze znajomością nie tylko poszczególnych zapisów prawa, ale i odpowiednich artykułów, ustępów i ich wzajemnej zależności. Dyskusja nad sprawozdaniem podkomisji się zakończyła, a komisja, zgodnie z moją propozycją, na sprawozdawcę powołała posła przewodniczącego podkomisji. Następnego dnia dowiedziałem się, że poseł sprawozdawca jest cały i zdrowy, ale nigdy nie poznałem przyczyny jego nieobecności.

Pierwszy briefing

W IX kadencji Prezydium Sejmu przewidziało briefing na temat sytuacji mieszkaniowej w Polsce i budownictwa mieszkaniowego. W briefingu miał uczestniczyć ówczesny przewodniczący Komisji Polityki Przestrzennej, Budowlanej i Mieszkaniowej, profesor Mieczysław Serwiński. Był to człowiek z dużą umiejętnością prowadzenia komisji, ale jego wiedza bardzo odbiegała od problemów budownictwa, szczególnie mieszkaniowego. Był bowiem profesorem nauk chemicznych i dlatego wskazał moją osobę jako referującego główny temat briefingu. Byłem wtedy przedstawicielem komisji do reprezentowania jej w czasie briefingu. Czułem się wyróżniony, ale przyznam szczerze, że bardziej bałem się tego pierwszego spotkania z licznym gremium dziennikarzy i reporterów niż z przedstawicielami sektora budownictwa, czołowymi politykami i działaczami. Briefing zaplanowano w Sali Kolumnowej, która swoim wystrojem zobowiązywała wszystkich uczestników do poważnej dyskusji. Konferencji prasowej przewodniczył wicemarszałek Mieczysław Rakowski, który z właściwym dla siebie spokojem przywitał wszystkich zebranych, przedstawił cel konferencji, podkreślił znaczenie problemu i zaprosił dziennikarzy do pytań. Pierwsze dwa pytania były o charakterze ogólnym, więc marszałek postanowił udzielić odpowiedzi, które zadowolily pytających. Kolejne pytania były już bardzo konkretne, dotyczyły sytuacji mieszkaniowej Polaków, inwestycji budownictwa mieszkaniowego i prognoz na najbliższe lata. Wtedy marszałek oddał mi głos. Byłem nieco zdenerwowany, ale udzielałem odpowiedzi zgodnie ze swoją wiedzą i możliwie dokładnie, czułem jednak wyraźnie, że nie są one swobodne i mogą być trochę niezrozumiałe. Ponieważ pytań dodatkowych nie było, marszałek ponownie zabrał głos, podsumował konferencję prasową, w wielu kwestiach korzystając z moich wypowiedzi we właściwym dla prasy stylu, wyjaśnił złożoność zagadnień. Konferencja się zakończyła, ale nie byłem z siebie zadowolony, mimo iż marszałek podziękował mi serdecznie i z uśmiechem powiedział, że było bardzo dobrze. Kiedy wychodziliśmy z sali, jeden z dziennikarzy poprosił mnie o odpowiedź na krótkie pytanie. Było one konkretne, a moja odpowiedź była jednoznaczna. Przy okazji powiedziałem, że w czasie tego briefingu byłem lekko poddenerwowany i może nie wszystko było tak zrozumiałe, jakbym sobie tego życzył. Napomknąłem przy tym, że chciałbym mieć taką swobodę wypowiedzi jak wicemarszałek Mieczysław Rakowski. On szybko odpowiedział: „Przecież marszałek jest wytrawnym politykiem i był długoletnim, bardzo dobrym dziennikarzem”. Na zakończenie tej rozmowy pomyślałem, że praktyka czyni mistrza.

Później wielokrotnie występowałem w audycjach radiowych, telewizyjnych, indywidualnie oraz w zespole. Zawsze poważnie traktowałem każde wystąpienie i czułem się już swobodnie. Takim szczególnym dla mnie sprawdzianem była konferencja prasowa zorganizowana przez „Gazetę Wyborczą”. Konferencję

prowadził dziennikarz Marek Wielgo, a zasadniczym tematem konferencji była termomodernizacja. Było liczne grono uczestników reprezentujących lokatorów i właścicieli budynków mieszkalnych, a przede wszystkim przedstawiciele spółdzielczości. Wywiązała się ostra dyskusja, ale w ramach uszanowania każdego wypowiedzanego poglądu. Na zakończenie konferencji redaktor Marek Wielgo powiedział: „Wyszedł pan z tej dyskusji cało. Brawo”.

Czułem się przegrany

W czasie jednej z debat w sali sejmowej rozgorzała dyskusja, wypowiedzi były bardzo ostre, trudno było o jakikolwiek kompromis, ponieważ temperatura polemiki była już zbyt wysoka. Marszałek sejmu zarządził przerwę, w trakcie której miałem możliwość porozmawiania z Aleksandrem Kwaśniewskim, ówczesnym przewodniczącym Klubu Parlamentarnego Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Poinformowałem go, że mam koncepcję wybrnięcia z zaistniałej sytuacji. Zaproponowałem, że może powinienem wystąpić zaraz po przerwie. Aleksander Kwaśniewski odpowiedział: „Jak uważasz, ale przy takiej atmosferze...”. Mimo jego wątpliwości postanowiłem zgłosić się do dyskusji, występując z kompromisową propozycją. Niestety, temperatura dyskusji była w dalszym ciągu bardzo gorąca, a okrzyki i zgiełk na sali obrad bardzo mnie deprymowały. Co prawda, przedstawiłem to, co chciałem, ale było to nieskładne, porwane i zapewne nie dość wyczerpujące. To bardzo krótkie, nieudane wystąpienie pozostało w mojej pamięci do dzisiaj i utwierdziło mnie w przekonaniu, że może i jestem dobrym posłem, ale na pewno nie jestem politykiem.

Uroczystość wręczenia odznaczeń

Na zakończenie IX kadencji Sejmu przewidziano tradycyjną uroczystość wręczenia odznaczeń wyróżniającym się posłom. Wydarzenie miało miejsce w Sali Kolumnowej i wzięli w nim udział przedstawiciele władz państwowych, partyjnych, sejmu oraz przedstawiciele świata polityki i mediów.

Zostałem wyróżniony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski wraz z dwudziestoma paroma posłami i posłankami. Wcześniej Prezydium Sejmu zaproponowało mi wystąpienie w imieniu odznaczonych na zakończenie uroczystości. Propozycję przyjąłem i przygotowałem sobie w pamięci krótką wypowiedź. Po zakończeniu odznaczania wyróżnionych posłów przysłała kolej na moje wystąpienie, które spotkało się z uznaniem zebranych. Potem, zgodnie z propozycją, podszedłem do prezydium uroczystości, w którego gronie znalazło się wielu dostojnych przedstawicieli władz państwowych i partyjnych. Wiedziałem, od kogo rozpocząć składanie podziękowania, bowiem wśród obecnych był generał Wojciech Jaruzelski, wówczas Przewodniczący Rady Państwa, ale

do kogo podejść w następnej kolejności? Mimo ogromnych wątpliwości zdecydowałem, że zwrócę się do marszałka sejmu Romana Malinowskiego, a potem już pozostali członkowie prezydium sami wyciągali już ręce, aby pogratulować i kolejność nie miała już wtedy większego znaczenia.

Na zakończenie ukloniłem się i odszedłem na swoje miejsce. Uroczystość dobiegła końca, a do mnie przypłynęła refleksja, że bardzo ważne jest właściwe przygotowanie do publicznego wystąpienia i że tak samo ważne jest to, co należy powiedzieć, jak i to, jak zachować się przed wystąpieniem, a przede wszystkim – po nim.

Inne wspomnienia

Przeobrażenia w okresie transformacji społeczno-politycznej kraju

W sierpniu 1980 r. spokojnie wypoczywałem wraz z rodziną w Bułgarii nad Morzem Czarnym. Warunki były skromne: do dyspozycji mieliśmy dwie przyczepy campingowe, obiady jedliśmy w stołówce, a śniadania i kolacje organizowaliśmy we własnym zakresie. Czas upływał szybko i w miłej atmosferze. Niespodziewanie dla wszystkich, dotarły do nas bardzo niepokojące i szczątkowe informacje z Polski o napięciach społeczno-politycznych, o zamieszkach, o strajku w Gdańsku. Nie było już mowy o wypoczynku, bo ciągle myślałem o Zielonej Górze, o swojej uczelni, o Polsce. Wszyscy czekaliśmy na wyznaczony termin powrotu do kraju.

Po przyjeździe okazało się, że sytuacja w samej Zielonej Górze i na uczelni jest spokojna. Choć wszystkie jednostki organizacyjne uczelni działały sprawnie, to odczuwaliśmy, że nastąpił okres głębokich refleksji społeczno-politycznych. W mojej pamięci pozostało bardzo wiele wrażeń, dziś nie sposób wspomnieć wszystkich, wszak upłynęło ponad 40 lat, w trakcie których wielokrotnie zmieniały się oceny zachodzących przeobrażeń. Trudne jest przedstawienie chronologii zdarzeń, jeszcze trudniejsza jest ich hierarchizacja, a tym bardziej zachodząca między nimi synergia.

Jak już wspominałem, uczelnia funkcjonowała bez zakłóceń. Między pracownikami zawsze były dobre stosunki. Współpracę nie tylko w ramach kolegium rektorskiego, senatu i z poszczególnymi wydziałami, ale także szerzej z całą społecznością uczelni oceniam jako bardzo dobrą i może poza nielicznymi przypadkami wszyscy byli sobie wzajemnie życzliwi. Rozwój ruchu społeczno-politycznego, jakim była „Solidarność”, choć wyraźnie wpływał na atmosferę w uczelni, to nie miał istotnego wpływu na jej funkcjonowanie. Wszyscy bowiem

zdawaliśmy sobie sprawę, że naszym zasadniczym celem jest dalszy rozwój uczelni.

Dzisiaj, z perspektywy czasu mogę powiedzieć z pełnym przekonaniem, że po tym okresie przemian społeczno-politycznych i mimo reprezentowania różnych sposobów rozwiązywania problemów wszyscy jesteśmy sobie wzajemnie bliscy. Nadal utrzymujemy poprawne kontakty i w wielu przypadkach jesteśmy przyjaciółmi.

Pośród wszystkich wydarzeń tamtych lat na trwale zostało w mojej pamięci krótkie spotkanie z księdzem prałatem Konradem Herrmannem, które odbyło się w rektoracie, z aktywem działaczy „Solidarności”, oraz spotkanie ze społecznością akademicką w auli naszej uczelni.

Pewnego dnia sekretarka rektoratu poinformowała mnie, że ksiądz prałat Konrad Herrmann zamierza złożyć mi wizytę. Byłem zaskoczony, ale jednocześnie też bardzo zadowolony. Zналиśmy się w zasadzie tylko oficjalnie, ale każde takie spotkanie było dla mnie zdarzeniem przyjemnym. Nie znałem celu wizyty, której oczekiwałem z wielką niecierpliwością. Ksiądz prałat zjawił się o określonej godzinie, przywitaliśmy się serdecznie, poinformowałem, że spotkanie sprawia mi dużą przyjemność. Zaproponowałem kawę, ale odmówił. Powiedział, że ma bardzo dużo obowiązków i prosił o wyrozumiałość. Prośba księdza prałata sprowadzała się do jednej kwestii, czyli wyrażenia zgody na odprawienie mszy świętej na terenie otwartym, między budynkami uczelni. Odpowiedziałem, że nie ma z tym żadnego problemu. Tak się złożyło, że wskazany teren jest akurat uporządkowany, nastąpiły nowe nasadzenia kilkunastu drzew i krzewów oraz nawierzchni trawiastej. Tę rewitalizację przestrzeni wykonaliśmy w czynie społecznym. Poinformowałem także księdza prałata, że w czasie całej liturgii mszy świętej będę w rektoracie, a po zakończeniu mszy zapraszam księdza do swojego biura. Bez namysłu odpowiedział: „Niestety, nie mogę, bo umówiłem się już na spotkanie z rodzicami jednej ze studentek, która mieszka w akademiku”.

Nasze spotkanie zostało zakończone, serdecznie się pożegnaliśmy. Potem wielokrotnie i w różnych sytuacjach miałem przyjemność prowadzenia rozmów z księdzem prałatem. Czasami spotykaliśmy się przypadkowo, na przykład na oddziale kardiologii w zielonogórskim szpitalu. Ksiądz prałat zapytał, co u mnie. Odparłem, że normalne badania. Na moje pytanie o jego stan zdrowia, odparł, że nie najlepiej. Pamiętam także zupełnie przypadkowe spotkanie w Filharmonii Zielonogórskiej. Ogłoszona została przerwa po pierwszej części koncertu, wszyscy powoli opuszczali salę. Byłem prawie ostatni, ale odruchowo odwróciłem głowę w kierunku widowni i zauważyłem, że ksiądz prałat siedzi nadal w fotelu, co miało związek z jego pogarszającym się stanem zdrowia. Gdy również mnie zauważył, głęboko się ukloniłem, a on skinął rękę w moim kierunku. Podszedłem do niego, co bardzo go ucieszyło. Ta krótka rozmowa, jak sądzę, sprawiła nam

obu dużą przyjemność. Nadużyciem byłoby, gdybym mówił o swego rodzaju przyjaźni, ale jestem pewien, że łączyły nas bardzo serdeczne stosunki.

Bardzo dobrze pamiętam pierwsze oficjalne kontakty z przedstawicielami przyszłej „Solidarności”. Zaprosiłem kilkusobowy aktyw na spotkanie do rektoratu. Spotkanie upłynęło w dobrej atmosferze, zostały mi przedstawione pewne trendy kształtującego się wówczas Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”. Nie miałem krytycznych uwag, wręcz przeciwnie, podkreśliłem, że zaktywizowanie społeczności akademickiej w realizacji celów związku „Solidarność” przyczyni się do szybszego rozwoju uczelni. Szczególnie pamiętam jedną drobną sprawę, kiedy zwrócono uwagę, że najwyższy czas wprowadzić w życie zróżnicowane wysokości premii dla pracowników administracyjnych i technicznych. Podkreśliłem, że może to być bardzo trudne. Później okazało się, że „Solidarności” także się to nie udało.

Kolejnym wydarzeniem, które zostało mi głęboko w pamięci, było uczestnictwo w Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność”. Spotkanie było merytoryczne, przedstawiono na nim wiele spraw, wśród których usłyszałem także wiele krytycznych uwag. Sprawy dotyczyły zarówno uczelni, niektórych wydziałów, ale także i mojej osoby. O wielu słyszałem już wcześniej, teraz jednak miałem szczególną okazję do oficjalnego przedstawienia swojego stanowiska, zarówno w kontekście uczelni, jak i mojej osoby. Starałem się w najbardziej odpowiedni sposób udzielać szczegółowych odpowiedzi.

W sprawach dotyczących uczelni nie było między nami większych różnic, zarówno co do pozytywnych, jak i negatywnych zjawisk. Odnośnie do mojej osoby wyjaśniłem jednoznacznie, że nie wykorzystywałem samochodu służbowego do celów prywatnych, wyjazdów samochodem służbowym poza Zieloną Górę było niewiele, w tym, jeśli dobrze pamiętam, trzy krajowe i dwa zagraniczne, do Ilmenau – współpracującej z nami uczelni. Podkreśliłem, że nie mam drugiego mieszkania w Poznaniu i nie mam żadnej nieruchomości ani w kraju, ani za granicą, a co do mojego mieszkania w Zielonej Górze, to rzeczywiście zajmuje dwa mieszkania obok siebie, o łącznej powierzchni 102 m². Taka sytuacja nie była moim życzeniem i nie była zgodna z warunkami mojego przejścia do Zielonej Góry. Warunkiem zaakceptowanym przez władze administracyjne było mieszkanie spółdzielcze własnościowe o powierzchni nie mniejszej niż zajmowałem w Poznaniu, czyli powyżej 71 m². Takiego mieszkania nie było akurat w Zielonej Górze, a ja zgodnie ze zobowiązaniem w stosunku do ministra nauki i szkolnictwa wyższego przeprowadziłem się do Zielonej Góry przed zakończeniem 1976 r. i mieszkalem z całą rodziną w dwóch pokojach gościnnych uczelni. Wówczas zostały mi przydzielone te dwa mieszkania w niewykończonym bloku. Meble, które przywoziłem, przez kilka dni stały na korytarzu niewykończonego bloku. Jakkolwiek sumaryczny metraż był znacznie większy, to rozwiązanie

funkcjonalno-użytkowe tych dwóch mieszkań nie było korzystne. Istotną sprawą także poruszaną w trakcie tego posiedzenia była sprawa uległości wobec Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Był to zupełnie nietrafny zarzut, co natychmiast sprostowałem. Wyjaśniłem, że przecież pierwsze miesiące pracowałem w uczelni bez zatwierdzenia mnie na funkcji rektora przez egzekutywę Komitetu Wojewódzkiego partii, a moje zarządzanie uczelnią wcale nie wskazywało na jakąkolwiek zależność. Moje argumenty uznano za wyczerpujące.

Zebranie trwało bardzo długo, niektórzy uczestnicy posiedzenia ze względu na różne obowiązki musieli opuścić spotkanie. Moim zdaniem spotkanie było bardzo pożyteczne, choć momentami nerwowe, ale w ogólnej ocenie zostały wyjaśnione wszystkie podejrzenia, m.in. także w stosunku do mnie.

Szczególnym wydarzeniem było spotkanie całej społeczności akademickiej, pracowników i studentów w auli uczelni, które odbyło się na wniosek Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność”. Moi współpracownicy trochę obawiali się tego spotkania, ja natomiast uważałem, że takie spotkanie choć jest może i trudne, to z pewnością nieodczwonne, aby na forum całej wspólnoty akademickiej wyjaśnić nieporozumienia czy też sprawy drażliwe.

Aula była pełna – zajęte były miejsca siedzące i stojące. Sądzę, że pojawiło się może 600, 700 osób. Byłem jednak spokojny, nie miałem nic do ukrycia. A co także istotne, spotkanie miał poprowadzić jeden z pracowników Wydziału Budownictwa, dr inż. Stanisław Pryputniewicz, którego darzyłem sympatią. Był bardzo dobrym pracownikiem, rozważnym we wszelkich dyskusjach. W programie miały być rozpatrzone pytania wcześniej złożone do kartonu oraz pytania złożone w czasie zebrania. Spotkanie rozpoczęło wystąpienie jednego z pracowników mojego Wydziału Budownictwa i Ochrony Środowiska, z którym zawsze miałem dobre kontakty, który był swego czasu członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Było ono dla mnie zaskakujące, ale przede wszystkim przykre. Swoją wypowiedź zaczął od stwierdzenia, że „ryba zawsze się psuje od głowy”. Jego dalsze słowa zdawały się dowodzić, że wszystko złe, co się na uczelni kiedykolwiek stało, jest właściwie moją winą. Na sali panował całkowity spokój. Dla innych to wystąpienie było także zaskoczeniem, nie było żadnego aplauzu. Zwróciłem się do prowadzącego to spotkanie z zapytaniem, czy w tym wystąpieniu było jakieś pytanie, na które powinienem odpowiedzieć. Wyczułem, że był zakłopotany. Powiedziałem, że usłyszałem ocenę swojej działalności i nie zamierzam już tego komentować. Kolejne wystąpienie było też dość ostre, ale miało jednak na uwadze po prostu przyszłość uczelni, dotyczyło między innymi nowych kierunków czy specjalizacji, które dawałyby większe możliwości wyboru studentom. Zarzuty były dość ostro formułowane, ale merytorycznie uzasadnione. Udzieliłem spokojnie odpowiedzi zgodnych z rzeczywistością. Nieznane mi bowiem były propozycje kierunków czy specjalizacji, które kierownictwo

wydziałów nie podejmowałoby na wniosek studentów. Zaznaczyłem jednak, że jesteśmy na pierwszym etapie rozwoju naszej uczelni, która nie jest jeszcze w pełni autonomiczna, więc uruchomienie specjalności wymaga akceptacji ministerstwa. Były odczytywane jeszcze jakieś pytania, które dotyczyły już kwestii, które poruszyłem wcześniej – podczas spotkania z Komisją Zakładową NSZZ „Solidarność”. Starałem się zawsze z powagą i wielką odpowiedzialnością udzielać odpowiedzi na każde pytanie i zapewnić spokojną atmosferę. Obecny w auli student chciał zadać pytanie, a właściwie wystąpił z zarzutem, że jeden z profesorów podczas prowadzenia egzaminów zwracał uwagę na to, czy ktoś jest wierzący, czy nie i jaki ma światopogląd. Byłem zupełnie zaskoczony, nie spodziewałem się, że coś takiego miało miejsce w naszej uczelni. Zdecydowanie zwróciłem się do studenta z pytaniem: „Który to z profesorów?”. Zaległa cisza, więc powtórzyłem: „Który? Uważam, że to niedopuszczalne, niemożliwe”. Student nic już nie powiedział, zwróciłem się zatem do całej sali, do wszystkich obecnych na spotkaniu, czy znają takie przypadki, czy wiedzą, że takie rzeczy się zdarzały. Zapanowała głęboka cisza. Prowadzący po chwili wyciągnął kolejne pytanie z kartonika i spokojnie udzieliłem odpowiedzi. Były jeszcze kolejne pytania, ale atmosfera była już poważna, spokojna, właściwa. Sądzę, że wszyscy obecni, którzy opuszczali to spotkanie, byli zadowoleni. Po zakończeniu zebrania czułem się odprężony. Podziękowałem prowadzącemu za przeprowadzone spotkanie. Obawy niektórych kolegów, że atmosfera będzie nie do opanowania, że ze spotkania wyjdę na tarczy, a nie z tarczą, nie sprawdziły się.

Pewnego dnia niespodziewanie złożył mi wizytę przewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” w celu przedstawienia oczekiwań społeczności akademickiej i podania do publicznej wiadomości informacji dotyczących zarobków pracowników uczelni. Byłem tym bardzo zaskoczony, a nawet i zakłopotany, bowiem jak do tej pory nie praktykowało się przekazywania do publicznej informacji zarobków pracowników. Byłem zaskoczony także dlatego, że do tej pory, na żadnym spotkaniu, nikt nie zgłaszał takiej propozycji. Przewodniczący jednak bardzo jednoznacznie podkreślił, że są to powszechne oczekiwania. Nie byłem pewien, czy to jest właściwe. Doszedłem szybko do wniosku, że niespełnienie tej prośby mogłoby być przyczyną nawet do szerokich podejrzeń, że rektor ukrywa zarobki pracowników czy niesłusznie pobierane wynagrodzenia. Stwierdziłem jednak, że chyba nie chodzi o podanie wszystkich zarobków pracowników uczelni, nauczycieli oraz pracowników administracyjnych i że zapewne chodzi o tych, którzy najwięcej zarabiają. Przewodniczący przytaknął głową. Po krótkim namyśle stwierdziłem: „Decyduję się na spełnienie tej prośby i niezwłocznie wydam polecenie o przygotowaniu odpowiedniej listy. Przypuszczam, że jutro będzie już wywieszona w dziale administracji”. Rzeczywiście, na drugi dzień lista została wywieszona, obejmowała kilkudziesięciu pracowników – nauczycieli

akademickich, jak i administracji. Ku wielkiemu zaskoczeniu na czołowych miejscach nie było nazwiska ani mojego, ani prorektorów, ani dziekanów, ale znaleźli się tam także członkowie „Solidarności”. Już około południa przewodniczący ponownie złożył mi wizytę i poprosił o zdjęcie tej listy, uzasadniając, że informacja negatywnie wpłynęła na atmosferę na uczelni. Ja oczywiście domyśliłem się, dlaczego lista nie spełniała oczekiwań pewnej części pracowników. Po krótkim zastanowieniu poinformowałem przewodniczącego, że lista zostanie zdjęta następnego dnia. Nie był z mojego stanowiska zadowolony, ale przyznał, że dobrze będzie, żeby do końca dnia wszyscy pracownicy mogli zapoznać się z tą listą. Rozstaliśmy się jak zwykle w dobrej atmosferze.

Po pewnym czasie, przed wejściem do rektoratu zaskoczyła mnie informacja, że na uczelni został ogłoszony strajk. Nie znałem żadnego powodu, nie było jakiegokolwiek wstępnej informacji, że taka ewentualność może zaistnieć. Przy wejściu do budynku spotkała mnie przykra niespodzianka: dwaj mężczyźni, przedstawiciele komitetu strajkowego, poinformowali mnie, że muszę mieć przepustkę. Przedstawiłem się, że jestem rektorem. Ich odpowiedź była jednoznaczna: „Decyzją komitetu strajkowego wszyscy wchodzący do gmachu muszą być zarejestrowani”. Spokojnie wyciągnąłem legitymację służbową, pokazałem im i otrzymałem przepustkę. Wtedy zwróciłem uwagę, że: „W tej sytuacji to panowie ponosicie pełną odpowiedzialność za mienie tej uczelni”. Zauważyłem, że byli zaskoczeni tym stwierdzeniem. Ja spokojnie poszedłem wykonywać swoje obowiązki.

Status Politechniki Zielonogórskiej

Wyższa Szkoła Inżynierska w Zielonej Górze, po różnych konsultacjach i rozpoznaniu opinii społeczności, zwróciła się do sejmiku z prośbą o nadanie uczelni statusu politechniki.

Załatwienie tej jednej sprawy samodzielnie w sejmiku byłoby niemożliwe, postanowiłem zatem zainteresować sprawą kolegów z innych województw, w których były Wyższe Szkoły Inżynierskie. Okazało się, że byli tematem bardzo zainteresowani także w kontekście własnych uczelni. Zostało zawiązane nieformalne gremium: Opole, Kołobrzeg, Radom itd.

Szansa na załatwienie tej sprawy wzrosła, bo posłowie z tych wszystkich województw byli za pozytywnym rozpatrzeniem sprawy, w związku z czym agitowali do uzyskania poparcia kolegów posłów z innych województw. Ja osobiście, mając dobre kontakty i znając dużą życzliwość pracowników politechnik, rozmawiałem z posłami z Poznania i Wrocławia. Zorganizowałem dwa spotkania podsumowujące nasze działania. Wszystkie wnioski zainteresowanych uczelni wpłynęły do sejmiku, a w ślad za tym została przygotowana ustawa o nadanie

statusu politechniki wszystkim zainteresowanym Wyższymi Szkołami Inżynierskimi. Bardzo się cieszyłem z decyzji naszego parlamentu. Teraz należało działać, aby spełnić wynikające z ustawy warunki formalne.

Powołanie województwa lubuskiego

Reformę administracyjną województw w Polsce przygotowywał prof. Michał Kulesza. Przewidywała ona kilka koncepcji podziału kraju, np. jedna z nich mówiła o 25 województwach. W tej sytuacji nie byłoby zagrożenia dla istnienia naszego województwa, jednak ta koncepcja prof. Kuleszy upadła już na początkowym etapie projektowania podziału i wszystko wskazywało na to, że ostatecznie będzie tylko 12 województw. Dlatego wśród parlamentarzystów i władz oraz mieszkańców rodziła się koncepcja wspólnego województwa lubuskiego. W międzyrzekim ratuszu doszło do spotkania przedstawicieli województw gorzowskiego i zielonogórskiego. Uczestniczył w nim także przedstawiciel Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Wszyscy zebrani Lubuszanie opowiadali się za powołaniem województwa lubuskiego, na bok odłożono wszelkie spory i animozje. 28 lutego 1998 r. powstało Stowarzyszenie na rzecz Promocji i Powołania Województwa Lubuskiego, którego byłem członkiem. Zadaniem Stowarzyszenia było przekonanie władz w Warszawie o tym, aby powołały samodzielne województwo lubuskie w środkowo-zachodniej Polsce, a przy okazji promowany był dorobek i możliwości obu dotychczasowych województw.

Powołanie województwa lubuskiego natrafiało na wiele trudności, głównie w kontekście jego obszaru. Nam, posłom województwa zielonogórskiego i gorzowskiego, chodziło o to, aby był on możliwie największy, dlatego myśleliśmy o włączeniu Myśliborza, Wolsztyna i Głogowa. Województwo zachodniopomorskie było także zainteresowane przejęciem Myśliborza, sami mieszkańcy tego miasta opowiadali się raczej za przynależnością do Szczecina. Województwu poznańskiemu zależało na Wolsztynie, a nawet na jeszcze większym obszarze sięgającym do granicy polsko-niemieckiej. Ostatecznie mieszkańcy Wolsztyna opowiedzieli się za pozostaniem w Wielkopolsce, przy czym starsze pokolenie opowiedziało się za Zieloną Górą, a młodsze za Poznaniem. Szczególnie ostre dyskusje były o ewentualnej przynależności Głogowa do naszego przyszłego województwa. Mieszkańcy Głogowa opowiedzieli się za przynależnością do województwa lubuskiego, natomiast mieszkańcy powiatu głogowskiego opowiedzieli się za przynależnością do województwa dolnośląskiego. Dyskusje były prowadzone w sejmie, również w ramach poszczególnych klubów poselskich. Byłem bardzo zaangażowany w prowadzeniu agitacji na rzecz przynależności Głogowa do naszego przyszłego województwa lubuskiego: mieliśmy zawsze bardzo dobre kontakty z miastem i hutą Głogów, był tam duży potencjał przemysłowy

i rolniczy, o który warto było zabiegać. W moim klubie parlamentarnym – Sojuszu Lewicy Demokratycznej – powstał spór między posłami obu województw. Dyskusje były ostre, nawet zbyt ostre. Ostatecznie przegrałem, posłów członków naszego klubu z województwa dolnośląskiego było znacznie więcej niż z województwa gorzowskiego i zielonogórskiego. Wielka szkoda. Trzeba przypomnieć, że przy podziale na 12 województw Gorzów znalazłby się w Zachodniopomorskiem, a Zielona Góra w Dolnośląskiem. Przez środek dzisiejszego lubuskiego, wzdłuż autostrady, byłby korytarz województwa wielkopolskiego.

W dniu 13 marca 1998 r. parlamentarzyści obu dotychczasowych województw, tj. gorzowskiego i zielonogórskiego, podpisali list intencyjny, nazywany później Porozumieniem Paradyskim, w sprawie utworzenia województwa lubuskiego i wysłali go do premiera prof. Jerzego Buzka. Kiedy okazało się, że podział kraju na 12 regionów jest nieaktualny, a sejmowe Komisje Administracji i Samorządu Terytorialnego uznały, że ta koncepcja jest najlepsza, Stowarzyszenie na rzecz Promocji i Powołania Województwa Lubuskiego wezwało mieszkańców do protestu. Na apel odpowiedziała przede wszystkim młodzież i członkowie stowarzyszenia. W dniu 31 maja manifestanci weszli na międzynarodową drogę Poznań – Świecko w pobliżu Świebodzina z transparentami domagającymi się utworzenia województwa lubuskiego. Tego samego dnia manifestanci zablokowali także przejście graniczne Gubin–Guben.

Manifestacja za utworzeniem województwa lubuskiego odbyła się również w Warszawie. Oprócz parlamentarzystów z województwa gorzowskiego i zielonogórskiego brała w niej udział duża grupa mieszkańców obu województw, w tym członkowie powołanego stowarzyszenia. Poza transparentami mieliśmy małe, promocyjne buteleczki zielonogórskiego wina, które wręczaliśmy przyglądającym się manifestacji warszawiakom.

Stowarzyszenie zebrało 110 tys. podpisów za powołaniem województwa lubuskiego, które zostały przekazane marszałkowi Sejmu RP. Dyskusja polityków SLD z politykami AWS i UW doprowadziła do kompromisu: ostatecznie zdecydowano, że województw będzie 16, a 27 lipca 1998 r. Prezydent Aleksander Kwaśniewski podpisał ustawę o trójsczeblowym podziale kraju i m.in. o utworzeniu województwa lubuskiego na obszarze, na którym obecnie mieszkamy. Zostało to osiągnięte wspólnym działaniem posłów i senatorów wszystkich opcji politycznych oraz mieszkańców województwa.

Powołanie Uniwersytetu Zielonogórskiego

Środowisko akademickie Zielonej Góry, a w szczególności władze Wyższej Szkoły Pedagogicznej, było bardzo zainteresowane powołaniem Uniwersytetu Zielonogórskiego, uczelnia ta bowiem nie miała żadnego szans na uzyskanie statusu

uniwersytetu. W podobnej sytuacji były uczelnie w innych województwach. Ponieważ w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego panował bardzo życzliwy klimat do łączenia mniejszych uczelni, pozostało jedynie zainicjować współdziałanie. Powstało nawet stowarzyszenie inicjatorów opowiadających się za powołaniem uniwersytetu z połączenia dwóch uczelni w Zielonej Górze – Politechniki i WSP. Zgromadziło ono wielu działaczy spośród senatorów, posłów, władz wojewódzkich, władz miejskich, samorządowców lokalnych, organizacji gospodarczych i organizacji pozarządowych. Przewodniczącym tego stowarzyszenia był wojewoda, prof. Marian Eckert.

W naszym środowisku akademickim kontrowersyjną sprawą była nazwa uniwersytetu: ma to być Uniwersytet Lubuski czy Uniwersytet Zielonogórski. Za powołaniem Uniwersytetu Lubuskiego przemawiało wiele czynników, jak na przykład baza rekrutacyjna studentów, pozyskanie przychylności Gorzowa itd. Za powołaniem Uniwersytetu Zielonogórskiego przemawiał istotny czynnik: jego lokalizacja. Wiadomo, gdzie jest Zielona Góra i wiadomo wówczas, gdzie jest Uniwersytet Zielonogórski. Uważano, że nazwa Uniwersytet Lubuski wobec krótkiego okresu funkcjonowania województwa lubuskiego nie będzie czytelna. Ostatecznie, po wielu dyskusjach, m.in. Stowarzyszenie Uniwersytet Lubuski opowiedziało się za nazwą Uniwersytet Zielonogórski, a cele pozostały takie same – utworzyć jednostkę. Ja również przychyliłem się do tej nazwy.

Ponieważ, jak już wspomniałem, w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego był właściwy klimat do łączenia uczelni, proces rejestracyjny trwał krótko i Uniwersytet Zielonogórski został powołany do życia z dniem 1 września 2001 r. ustawą sejmową z 7 czerwca 2001 r.

Spotkanie z rodzicami i żoną Marylką w Belgii

Zgodnie z wcześniejszymi uzgodnieniami korespondencyjnymi ustaliliśmy z Marylką i rodzicami, że na zakończenie mojego stażu przyjadą do Belgii. Wysłałem zaproszenie, przygotowałem program ich pobytu w Belgii (Liège), w Holandii oraz we Francji – łącznie osiem, dziewięć dni. Stypendium rządu belgijskiego było niewielkie, 10 tys. franków belgijskich, podczas gdy za wynajęcie pokoju wraz z pościelą płaciłem co miesiąc 2500 fb. Żyłem bardzo oszczędnie, aby mieć środki na pokrycie kosztów wizyty rodziny i Belgowie często się dziwili, że za kwotę, która mi pozostaje, można spokojnie funkcjonować. W samym Liège uzgodniłem z gospodynią, że w dwóch różnych pokojach będą spać moi rodzice i żona. Zapewniłem noclegi w Paryżu w pokojach gościnnych Polskiej Akademii Nauk. Założyłem, że niektóre sprawy zostaną rozstrzygnięte dopiero po ich przyjeździe. Oczywiście, zgodnie z obowiązującymi zasadami, wysłałem

z Belgii dla każdej osoby dwadzieścia dolarów, co było warunkiem uzyskania wizy. Na ich przyjazd czekałem z utęsknieniem.

Była niedziela, koniec lipca 1972 r. Planowany przyjazd rodziny był przewidziany na godzinę siedemnastą. Przesłałem wcześniej listownie trasę przejazdu aż do mojego miejsca zamieszkania. Tego dnia poszedłem jak zwykle do laboratorium, wykonałem wszystkie zaplanowane prace, wziąłem prysznic i w pełnym napięciu oczekiwałem spotkania. Nie chciałem zbyt wcześnie wrócić na kwaterę, bo siedzenie w małym pokoiku byłoby dla mnie męczarnią. Zdawałem sobie też sprawę, że przyjazd rodziny może być, niestety, opóźniony. O godzinie szesnastej postanowiłem przygotowywać się do wyjścia z laboratorium. Było bardzo ciepło, wręcz gorąco. Sprawdziłem, czy wszystko pozamykałem, odłączyłem media i powolnym krokiem skierowałem się do miejsca zamieszkania. Nie było to daleko, może około kilometra. Wydawało mi się, że będę zbyt wcześnie i będę się denerwować, stojąc pod domem. Jednak po pokonaniu ostatniego zakrętu, patrząc w kierunku mojego budynku, zauważyłem grupkę osób. Nie przypuszczałem jednak, że to moja rodzina. Było przecież zbyt wcześnie. Szedłem dalej spokojnie, odległość malała, jednak nadal było to kilkaset metrów. W pewnej chwili byłem już pewny, że to oni. Przyspieszyłem kroku i zauważyłem równocześnie, że z tej grupki osób odskoczyła jedna osoba i też szybkim krokiem szła w moim kierunku. Już byłem pewien, że to moja Marylka. Oboje podbiegaliśmy ku sobie. Pierwsze uściski i pocałunki. Pierwsze wyrazy wielkiego zadowolenia. Po sześciu miesiącach jesteście znów razem. Oczywiście nie był to koniec powitań, przecież jakieś pięćdziesiąt metrów od nas stali rodzice. Przywitałem się z nimi jak zawsze bardzo serdecznie. Szczególnie z moją mamą, moją mamuszką, która mnie mocno wyściskała. Radość ogólna i po mojej twarzy spłynęły łzy radości. Dla wyrażenia stanu euforii, w jakim się znaleźliśmy, zaproponowałem dzieciinną zabawę w kółko graniaste czterokanciaste. Objęliśmy się ramionami i zaczęliśmy kręcić się w kółko, zajmując cały chodnik. W pewnej chwili zauważyłem kobietę, która zeszła na jezdnię, żeby nas ominąć. Powiedziałem pośpiesznie: „Pardon, madame”. Ona się bardzo ładnie uśmiechnęła, najwyraźniej zrozumiała, że spotykamy się po długim czasie rozłąki.

Po tym szaleńczym przywitaniu zaczęliśmy się organizować: trzeba było przenieść do mojego lokum przywiezione rzeczy, samochód postawić na miejscu umożliwiającym dłuższy postój, odświeżyć się, przygotować posiłek. Byłem przygotowany, ale oni też mieli ze sobą co nieco. Rozpoczęliśmy długie rozmowy o minionych miesiącach, o rodzinie, o kraju. Rodzice byli bardzo zmęczeni, żona także. Uzgodniliśmy plany na następny dzień i wszyscy udaliśmy się na odpoczynek.

Były to dla mnie piękne chwile. Wiedziałem, że przede mną i rodziną będzie ich jeszcze dużo: przez tydzień będziemy odwiedzać różne miasta, zwiedzać zabytki, a potem razem już wrócimy razem do Polski.

Piękne i tragiczne dni mojego życia

Marylka – moja miłość

Marylkę poznałem zupełnie przypadkowo, odwiedzając moją koleżankę ze studiów, Urszulę Bilicką. Witając się ze mną, przedstawiła mi jednocześnie swoją koleżankę, Marylkę, z którą razem były na stacji w prywatnym mieszkaniu. Marylka od pierwszego spotkania zrobiła na mnie duże wrażenie. Wystarczyła chwila, ułamek sekundy i coś tam zakołatało w moim sercu... Ponieważ jednak wyszła od razu z pokoju, nie miałem okazji na jakąkolwiek dłuższą rozmowę. Omówiłem z moją koleżanką sprawy dotyczące opracowywania prac magisterskich i poszedłem do domu. Był to okres bardzo intensywnej pracy, rozwijałem bowiem trudne zagadnienie naukowe. Chciałem jak najszybciej zakończyć opracowywanie tematu, więc całymi dniami siedziałem w domu, paliłem papierosy, wypijałem jakąś kawę i bez przerwy pracowałem. Ponieważ ta praca naprawdę mnie pasjonowała, wyłączałem się całkowicie z życia, a rodzice i rodzeństwo zapewniali mi całkowity spokój. Czasami przypominam sobie słowa mojej mamy, kiedy dyscyplinowała domowników: „Cicho, Tadeusz pracuje”. Dość szybko zakończyłem pisanie pracy magisterskiej i przedłożyłem ją mojemu promotorowi. Zbliżało się zakończenie roku akademickiego i zamierzałem w pierwszym terminie przystąpić do obrony. Chętnych do zdawania prac w pierwszym terminie nie było zbyt wielu, więc nie było żadnego problemu. Nie myślałem w tym czasie o jakichkolwiek planach na okres wakacyjny, zapracowany przygotowaniem do obrony pracy magisterskiej nie miałem nawet okazji złożyć wizyty mojej koleżance, Uli. Spotkałem się z nią dopiero z początkiem nowego roku akademickiego, gdy w drugim terminie zdawała egzamin magisterski. Z tej okazji ją odwiedziłem i u niej ponownie spotkałem Marylkę. Tym razem była okazja do przeprowadzenia dłuższej rozmowy. Ponieważ dobrze się nam rozmawiało, nabrałem odwagi i zaproponowałem jej spotkanie. Nie byłem pewien, czy się zgodzi. Ku mojemu zaskoczeniu, bez stawiania warunków, wyraziła zgodę. Ucieszyłem się i zaproponowałem wspólne wyjście na wieczorny dancing. W tamtych czasach było to modne – można było pójść w każdy dzień od godziny dziewiętnastej do dwudziestej drugiej i potańczyć. Tradycyjnie wykupiłem bony, za które można było coś zjeść lub wypić, jednak z alkoholu zrezygnowaliśmy.

Po miłym spotkaniu umówiliśmy się na kolejne i kolejne, i jeszcze kolejne. Każdorazowo przychodziłem po nią pod jej dom, wspólnie jechaliśmy do restauracji na dancing. Potem tradycyjnie odprowadzałem ją na narożnik ulic, skąd wyraźnie był widoczny budynek, w którym Marylka mieszkała, i brama wejściowa. Takie było jej życzenie, żeby zęgnąć się na narożniku, więc zawsze czekałem, aż dojdzie do bramy i dopiero wtedy odchodziłem. Spotkania zawsze były bardzo miłe. Marylka bardzo lubiła tańczyć, miała poczucie rytmu i dobrze tańczyła. Niestety, nie miała słuchu muzycznego, ale mawiała, że brak słuchu jej w tańcu nie przeszkadza. Zdarzyło nam się raz pójść do teatru, raz do opery. Nie były to jednak dla nas ludzi młodych szczególne atrakcje. Na jednym ze spotkań kawiarnianych podczas swobodnej rozmowy, ku mojemu zaskoczeniu, wyznała, że ma narzeczonego w Gdyni. Z jej opowiadania nie wynikało jednak, że jest z nim bardzo związana. Przyjąłem tę wiadomość ze smutkiem, ale spotykaliśmy się nadal.

Zbliżało się zakończenie roku akademickiego. Po tradycyjnym kolejnym spotkaniu byłem przekonany, że łączą nas już więzy cieplejsze niż koleżeńskie. Byłem nawet przekonany, że powinienem podjąć jakąś wiążącą rozmowę, jednak brakowało mi odwagi. Zawsze miałem poczucie odpowiedzialności za swoje słowa i czyny. Wtedy już pracowałem, ale niewiele zarabiałem, nie miałem swojego mieszkania. Co prawda, była już perspektywa na mieszkanie spółdzielcze, ale bardzo odległa. To dlatego wciąż odkładałem podjęcie jakiejś rozmowy na temat naszej przyszłości. Pewnego dnia w dobrym nastroju wracaliśmy ze spotkania i jak zwykle stanęliśmy na narożniku ulic. Nagle Marylka poinformowała mnie, że w związku z zakończeniem studiów zamierza wrócić do Gdyni do swojego narzeczonego. W tym momencie zdrętwiałem. Miałem wrażenie, że mój umysł jest zamrożony – nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Przecież wszystko, co do tej pory przeżyliśmy, potwierdzało, że jesteśmy sobie bliscy. Chciałem jakoś zareagować, o coś zapytać, ale jej gest pożegnania był nakazem do rozstania. Jak zawsze pocałowałem ją w rękę oraz w policzek. Powiedziałem tylko: „Do widzenia”, a ona spokojnym krokiem się oddaliła. Stałem na narożniku dłużej niż zwykle. Widziałem, jak weszła do bramy, potem zauważyłem zapalone światło w jej pokoju. Mieszkała na parterze, ale oknie była zasłona, więc nie widziałem, co robi. Po chwili ocknąłem się i ze smutkiem poszedłem na przystanek tramwajowy. Wróciłem do domu, rozmyślałem nad tym, co będzie dalej. Nie wyciągając żadnych wniosków, postanowiłem zająć się swoją pracą. Kochałem naukę, kochałem swoją pracę i w tej działalności chciałem znaleźć ukojenie. Myśli jednak nie dawały spokoju, często wracały do Marylki. Chyba dopiero teraz byłem przekonany, że jestem w niej zakochany. Próbowałem wyjaśnić sobie tę sytuację, usprawiedliwić ją i siebie. Przecież uprzedzała mnie, że ma narzeczonego, nawet kiedyś mówiłem o tym mojej mamie. „To ty chodzisz

z dziewczyną, która ma narzeczonego?” – zdziwiła się. Mnie to wtedy nie przeszkadzało, a teraz nie mogłem mieć do niej pretensji, choć czułem wielki żal. Następnego dnia postanowiłem możliwie pilnie realizować wszystkie swoje zadania, a zawsze ich było dużo: wykłady, ćwiczenia, studiowanie literatury naukowej. Mimo to nie miałem spokoju, ciągle myślałem o Marylce. Po południu postanowiłem rozwiązać przesłane mi zadania z algebry wyższej, w związku ze studiami zaocznymi, ale nie bardzo mi to szło. Nie minęła godzina i znowu myśli wracały do Marylki. Wmawiałem sobie, że przecież nic nie mogłem w zaistniałej sytuacji zrobić. Jej oświadczenie było jednoznaczne, czytelne, poważnie wypowiedziane, więc musiałem przyjąć do wiadomości, że wszystko zostało już skończone. Pierwszy dzień rozłąki, podobnie jak i drugi, nie przyniósł żadnej ulgi. Nie miałem już żadnej nadziei, że jeszcze się spotkamy. Nie myślałem o tym, nie chciałem myśleć, jednak trzeciego dnia od pożegnania niespodziewanie zadzwonił telefon. Nie wiedziałem, kto dzwoni, bo przecież wtedy nie było telefonów komórkowych z wyświetlaczem. Podniosłem słuchawkę i ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że to Marylka. Bardzo się ucieszyłem. Powiedziała w trakcie krótkiej rozmowy, że będzie w Poznaniu i jeśli zechcę, to możemy się spotkać. Uradowany odpowiedziałem, że oczywiście. Zapytałem: „Kiedy?”. A ona powiedziała: „Jutro” i podała mi godzinę, o której mamy się spotkać. Byłem bardzo wzruszony i odparłem: „Cieszę się, bardzo się cieszę!”. O ustalonej godzinie spotkaliśmy się w kawiarni przy kawie i jakimś ciastku. Na samym początku spotkania Marylka opowiedziała mi o tych kilku dniach pobytu w Gdyni. Wspomniała, że spotkała się z narzeczonym. Nawet podkreślała, jak elegancko był ubrany. Już pracował, był prokuratorem, ale raziła ją jakaś jego zbytnia pewność siebie. Zaproponował spotkanie w domu oraz zakomunikował, że czeka na nich szampan. Ten sposób jego zachowania zupełnie jej nie odpowiadał. Powiedziała: „On jest zupełnie inny niż ty, czułam do niego jakąś obcość, nawet niechęć”. Z ciekawością słuchałem jej wypowiedzi. Z jednej strony po jej komplementach pod moim adresem serce zabiło mi mocno i gdzieś tam głęboko we mnie tliła się nadzieja, ale przez umysł ciągle przewijała się myśl: „Czy to wszystko jest prawdziwe?”. Potem ja powiedziałem, jak mocno przeżywałem ten kilkudniowy brak kontaktu i wyjaśniłem powód niepodejmowania poważniejszych rozmów na temat naszej przyszłości. Szczerze wyznałem jej, że brakowało mi odwagi do przedstawienia jakichkolwiek planów na przyszłość ze względu na brak odpowiednich środków finansowych i mieszkania. Powiedziałem również, że żałuję, iż nie powiedziałem jej wcześniej o tym, jak mi na niej zależy. Wtedy Marylka powiedziała z wyrzutem: „To dopiero teraz mi to mówisz?”.

Od tego spotkania moje życie nie tylko obejmowało obowiązki zawodowe, ale także rozmyślanie o najbliższej przyszłości. Okazało się, że na krótki czas mogę zdobyć bardzo skromne jednopokojowe mieszkanie do remontu. Dotychczas

byłem przewodniczącym rady nadzorczej pracowniczej spółdzielni mieszkaniowej przy Politechnice Poznańskiej, ale teraz zostałem jej prezesem, zatem gwarancja uzyskania mieszkania była już duża. Pozostała tylko sprawa, jakie? W spółdzielczości obowiązywała zasada na przydział mieszkania M₃ dla małżeństwa, M₄ dla małżeństwa z dzieckiem. Ponieważ jednak mój stan cywilny nie został jeszcze ustabilizowany, sprawa była otwarta. Na kolejnych spotkaniach dużo rozmawialiśmy z Marylką o naszej przyszłości. Pierwsze, co udało mi się załatwić dzięki pomocy przyjaciela, to pracę dla niej w poznańskim ZUS-ie. Była zadowolona, o takiej pracy myślała, choć ubolewała nad niskim wynagrodzeniem. Pocieszałem ją, że to przecież dopiero początek, po studiach na ogół nie ma się odpowiednich kwalifikacji i zaczyna się od najniższej pensji. Poinformowałem ją o możliwości wyremontowania przejściowego mieszkania, które byłoby przejściowe, i o sytuacji dotyczącej uzyskania mieszkania spółdzielczego. Postanowiła pozostać w Poznaniu. Zdawałem sobie sprawę, że ja nie mogę opuścić Poznania, a nawet nie chcę, mam tu rodziców, rodzeństwo, grono przyjaciół i ściśle określone obowiązki, podpisałem zobowiązanie dotyczące uzyskania stopnia doktora nauk technicznych. Na jednym z kolejnych spotkań podjęliśmy już bardzo konkretne decyzje w kwestii małżeństwa. Spytałem, jakie ona stawia warunki. Odparła, że chciałyby mieć mieszkanie i trochę rozesmiana dodała: „I dobrego męża!”. Zapytała, czego ja oczekuję? Odpowiedziałem, że chciałbym założyć szczęśliwą rodzinę, myślę o kochającej żonie, o dwojgu lub trojgu dzieciach. Wyjaśniłem, że znam dużo tragicznych sytuacji, że jedno dziecko utracone z różnych przyczyn jest tragedią na całe życie, a trójka dzieci to taka bardzo mi bliska kwestia, ze względu na to, że mam brata i siostrę. Mój ojciec był najmłodszy z dziesięciorga rodzeństwa i z powodu biedy miał bardzo ciężkie dzieciństwo. Marylki nie zaskoczyło moje pierwsze życzenie. Powiedziałem jeszcze, że też mam warunek: palę, ale chce się odzwyczaić, a w trakcie pracy nie mogę zrealizować tej obietnicy. Marylka, która nie paliła, przyjęła to do wiadomości. Zaczęliśmy snuć plany. Ustaliliśmy termin jej wizyty w moim domu, gdzie przedstawię ją jako kandydatkę na żonę. Co prawda, rodzice już trochę o niej wiedzieli, ale nigdy jej nie widzieli. Najmniej zdziwiony był mój ojciec. Zaskoczył mnie, mówiąc: „Nie dziwię się, że chcesz się żenić. Nie tak dawno mój znajomy poinformował mnie, że dwukrotnie widział ciebie na dancingu z jakąś dziewczyną. Czuli się ze sobą tak związani, jakby świata poza nimi nie było. Tańczyli, tańczyli, potem ze sobą długo rozmawiali. O czym? Nie wiadomo”. Ten znajomy powiedział mu, że będzie miał synową i okazało się, że miał rację.

Marylka złożyła wizytę w naszym domu. Wszystko przebiegło bardzo naturalnie: mieliśmy rodziców w podobnym wieku i dość podobne statusy społeczne, nie było zatem wiele do omówienia. Nie podejmowaliśmy żadnych zobowiązań, poza tym, że w najbliższym czasie moi rodzice złożą wizytę u rodziców Marylki.

Oczywiście umówiliśmy się, że w pierwszej kolejności ja ich odwiedzę. W ustalonym terminie pojechałem do Gdyni, zanokowałem w hotelu, a następnego dnia, w drodze na proszony obiad kupiłem bukiet kwiatów. Po wejściu do domu rodziców przyszłej żony przedstawiłem się jej rodzicom. Spotkanie było bardzo miłe, a ja szybko się zorientowałem, że w pełni mnie akceptują. Oczywiście było wiele pytań dotyczących mojej osoby, charakteru, przyszłości, zaangażowania, ale nie przypominam sobie, aby wyrazili jakiegokolwiek wątpliwości wobec mnie jako kandydata na męża Marylki. Czekał mnie jednak trudny egzamin, który zapowiedział jej młodszy brat. „Ja jeszcze chciałem z panem porozmawiać” – powiedział to bardzo życzliwie, ale stanowczo. Ale o tym później.

Termin przyjazdu moich rodziców był związany z planowanymi oficjalnymi zaręczynami. Przyjechaliśmy dzień wcześniej i nocowaliśmy w hotelu, a następnego dnia udaliśmy się do rodzinnego domu Marylki na oficjalne spotkanie, na które także byli zaproszeni jej najbliżsi krewni. Zgodnie z ustaleniem pojawiliśmy się godzinę wcześniej, aby jeszcze trochę porozmawiać, a co istotne, żeby nastąpiły oficjalne zaręczyny. Ten moment zaczął się opóźniać, bowiem mama Marylki była bardzo zajęta, a godzina przyjęcia pozostałych gości zbliżała się nieubłagannie. Marylka zaczęła się nawet denerwować, ale wkrótce nastąpił ważny i właściwy dla nas moment. Nasi rodzice i Marylka oczekiwali, abym zabrał głos. Po krótkim wstępie, prezentując siebie i Marylkę, złożyłem serdeczną prośbę do jej rodziców o wyrażenie zgody na zawarcie związku małżeńskiego. Uzasadnienie było krótkie, ale przemawiające do rodziców Marylki. Wyrazili zgodę, za co serdecznie im podziękowałem. Widziałem, że moi rodzice byli bardzo zadowoleni. Napięcie spadło – dowiedziałem się od Marylki, że wcześniej jej mama bardzo się denerwowała, bo goście mieli zaraz przybyć, a ja jeszcze nic nie powiedziałem. Różnie przebiegają zaręczyny, ja jednak założyłem, że najpierw powinno nastąpić złożenie na ręce rodziców prośby o rękę córki, a dopiero na oficjalnym spotkaniu rodzinnym następuje obwieszczenie aktu zaręczyn. Spotkanie było bardzo udane, na zakończenie wstępnie ustalono termin ślubu cywilnego i kościelnego: pierwsza ceremonia miała się odbyć w lutym w Poznaniu, a druga w czasie Świąt Wielkanocnych w Gdyni w kościele należącym do parafii Matki Boskiej Nieustającej Pomocy i św. Piotra Rybaka – miejscu silnie związanym z polskimi tradycjami, zlokalizowanym niedaleko miejsca zamieszkania moich przyszyłych teściów.

Najpierw jednak musiałem przygotować mieszkanie będące naszym przejściowym lokum, które znajdowało się w niedużym budynku na obrzeżach Poznania. Do dyspozycji był pokój z piecem kaflowym, kuchnia z piecykiem żelaznym (tzw. kozą) i zaplecze obok kuchni, które można było zaadaptować na łazienkę (do dyspozycji była tylko ubikacja na zewnątrz budynku). Czekają mnie prace na

zewnątrz i wewnątrz lokalu, z czego najwięcej czasu pochłonęły prace malarskie. Niestety, nie zdążyłem wykonać całości prac przed zawarciem małżeństwa.

Ślub cywilny odbył się w lutym 1959 r. W uroczystości wzięli udział tylko świadkowie, mama Marylki i mój brat. Po uroczystości spotkaliśmy się u moich rodziców na wspólnym obiedzie.

Jakkolwiek formalności związane ze ślubem cywilnym przebiegły szybko i sprawnie, to sprawa ślubu kościelnego wiązała się z pewnymi trudnościami. Moja przyszła żona, w przeciwieństwie do mnie, była osobą wierzącą, ale także w takiej sytuacji prawo kanoniczne umożliwiało zawieranie związków małżeńskich. Wymagało to jednak postępowania zgodnego z procedurami kościelnymi, w związku z czym udaliśmy się do parafii w dzielnicy, w której mieszkała Marylka. Rozmowa z księdzem nie była jednak łatwa. Zapytał, czy wcześniej byłem osobą wierzącą, wówczas procedura ślubu, o którą się staraliśmy, nie byłaby konieczna. Odpowiedziałem, że kiedyś tak, o czym świadczyło moje członkostwo w chórze Stulgrosza, ale potem nastąpił proces sukcesywnego odchodzenia od wiary. W końcu ksiądz zapytał, gdzie Marylka jest zameldowana na stałe. Odpowiedziała, że w Gdyni. Stwierdził wówczas, że ślub trzeba załatwić w tamtejszej parafii. Wiedziałem, że rodzice Marylki byli osobami bardzo wierzącymi, a ponadto jej ojciec był członkiem rady parafialnej i takiej procedury postępowania na pewno by nie poparł. Postanowiłem zatem, że ślub odbędzie się w pełnej tradycji w parafii, do której należała Marylka. Na ceremonii było obecnych wielu krewnych, szczególnie ze strony mojej żony. Ponieważ w tamtych czasach mało kto urządzał przyjęcia w restauracjach przede wszystkim ze względu na koszty, także nasze wesele odbyło się w mieszkaniu.

Zaraz po ślubie wróciliśmy do Poznania, mimo iż mieszkanie nie było jeszcze przygotowane – brakowało m.in. mebli. Zgodnie więc z wcześniejszymi ustaleniami zamieszkaliśmy na kilka dni w lokalu mieszczącym się w dopiero powstającym budynku. Warunki były bardzo prymitywne, ale przynajmniej mogliśmy korzystać z łazienki i bieżącej zimnej wody.

W mieszkaniu, które miało być przejściowe, zostaliśmy przez dłuższy czas. Rozpoczęliśmy naszą małżeńską, skromną codzienność. Oboje pracowaliśmy: Marylka w ZUS-ie, a ja na Politechnice Poznańskiej. Mimo sporego obciążenia na uczelni postanowiłem jeszcze dorobić. Najpierw prowadziłem kurs kreślarski, w ramach którego dwa razy w tygodniu odbywały się spotkania trwające trzy, cztery godziny. Po pewnym czasie prowadziłem już dwa równoległe kursy, a nawet trzy, gdy przejąłem pracę mojego przyjaciela, który się rozchorował. Odbijało się to na moim życiu małżeńskim, ponieważ we wszystkie dni tygodnia przebywałem poza domem, a z żoną potykaliśmy się wieczorem, by rano się pożegnać. Na początku, gdy prowadziłem tylko jeden kurs, żona w pełni

to akceptowała. Przy dwóch okazywała lekkie podenerwowanie, a przy trzech wyrażała wyraźnie niezadowolenie. Skoro jednak podjąłem się tego zadania, musiałem je zakończyć, zwłaszcza że kursy trwały najwyżej dwa lub trzy miesiące. Dla rozładowania napięcia poprosiłem Marylkę, abyśmy razem pojechali do Stowarzyszenia Oświata, które było organizatorem tych kursów, celem pobrania mojego wynagrodzenia. Chętnie się zgodziła. Zarobioną, na tamte czasy dość wysoką kwotę od razu wręczyłem żonie. Wydawało mi się, że napięcie z niej zupełnie spadło, bo przekonała się, że w tym czasie naprawdę ciężko pracowałem. Od organizatora otrzymałem także list z serdecznym podziękowaniem i podkreśleniem wysokiego poziomu prowadzonych przeze mnie zajęć. Z czasem zmniejszyło się obciążenie kursami, ale musiałem poświęcić więcej uwagi pracy naukowej i działalności w spółdzielni mieszkaniowej, której byłem prezesem.

Czas szybko mijał, wkrótce spodziewaliśmy się pierwszego dziecka. Gdy zbliżał się czas porodu, byłem coraz bardziej podenerwowany faktem, że mieszkaliśmy daleko od centrum miasta i kliniki położniczej. Wówczas środki transportu nocą absolutnie nie funkcjonowały, a wezwanie taksówki było bardzo trudne: nie mieliśmy telefonu stacjonarnego, a w pobliżu nie było budki z automatem. Pewnego letniego wieczoru Marylka stwierdziła, że odczuwa już początkowe objawy porodu, ale uspokajała mnie, że do jutra na pewno to nie nastąpi. Ze spokojem poszła spać, a ja czuwałem z obawą, że jeśli poród miałby nastąpić w najbliższym czasie, przejazdu do szpitala stanowiłoby dla nas ogromny problem. Żona obudziła się nad ranem i stwierdziła, że poród się zbliża. Na szczęście wszystko mieliśmy już wcześniej przygotowane, pomogłem tylko Marylce się ubrać, a potem pobiegłem po taksówkę. Po ponad 20 minutach poszukiwań z radością dostrzegłem oznakowany samochód. Poprosiłem taksówkarza o podjechanie pod wyjście z posesji i poinformowałem go, że teraz muszę sprowadzić żonę z pierwszego piętra i później pojedziemy do kliniki położniczej. „Panie, ja wyczułem to od razu” – stwierdził i zaparkował pod naszym domem. „To całe szczęście, że złapałeś taksówkę” – powiedziała żona, gdy pomagałem jej zejść ze schodów. W taksówce fotel obok kierowcy był już przesunięty do przodu, więc wygodnie usiedliśmy na tylnej kanapie. Taksówka ruszyła i dopiero wtedy nieznacznie spadło ze mnie napięcie. Musieliśmy jechać ponad dwadzieścia minut do kliniki, ale na szczęście w roku 1960 drogi nie były zatłoczone, szczególnie we wczesnych godzinach porannych. Taksówka podjechała pod klinikę, ja wysiadłem i szybko pobiegłem do recepcji z informacją o bardzo szybko zbliżającym się porodzie. Zaraz znalazła się przy nas pielęgniarka i już wspólnie, pomału i z rozważą odprowadzaliśmy Marylkę do holu. Tam przejęły ją inne osoby, a mnie dano do zrozumienia, że nie powinienem przeszkadzać.

Nie wiem, kiedy zapłaciłem taksówkarzowi. Byłem przejęty porodem, który miał nastąpić już za kilka godzin, a może minut. Wracać do mieszkania nie

było sensu, postanowiłem więc pojechać na uczelnię, o tej porze opustoszałą ze względu na przerwę wakacyjną. Chciałem tam poczekać do chwili, kiedy będę mógł zadzwonić. Wszedłem do swojego pokoju, a ponieważ czułem się wyczerpany, postanowiłem się przespać. Zamknąłem się od środka, a potem, ze względu na okna, które wychodziły na patio, postanowiłem wejść pod biurko i tam, skulony i zmęczony, usnąłem. Obudziłem się po półtorej godziny, w ogromnym napięciu odczekałem jeszcze kwadrans i zadzwoniłem. Przedstawiłem się i zapytałem, czy żona już urodziła. W odpowiedzi recepcjonistka niemal krzyknęła: „Panie, dopiero teraz pan dzwoni?! Od godziny jest pan ojcem syna!”. Chciałem zadać jeszcze jakieś pytanie, ale nie byłem w stanie. Z radości płakałem, płakałem i płakałem. Gdy wreszcie się uspokoilem, szybko przemyłem twarz zimną wodą. Zorientowałem się, że nie zapytałem, kiedy mogę odwiedzić żonę i syna. Gdy ponownie zadzwoniłem do szpitala, poinformowano mnie, że mogę przyjechać późnym popołudniem. Z tą cudowną wiadomością zatelefonowałem do rodziców moich i Marylki. Ucieszyli się i gratulowali nam syna.

Pozostało mi czekać. Ponieważ z emocji nie mogłem skupić się na pracy, postanowiłem pojechać do rodziców. W ich domu zawsze czułem ulgę, wielką przychyłność, serdeczność. Teraz rodzice cieszyli się, bo po raz pierwszy zostali dziadkami. Ojciec w żartach zwrócił się do mamy „moja babciu”, choć do tej pory zawsze mówił „moja Aniu”. Mama się odwdzięczyła, mówiąc do niego „mój dziadku”. Była w tym wielka radość.

Po południu pojechałem do kliniki. Dowiedziałem się, że dziecko jest zdrowe, a poród przebiegł bez problemów. Mimo iż mogłem zobaczyć ich oboje jedynie przez specjalne okno, byłem bardzo wzruszony. Żeby zrozumieć emocje towarzyszące w takiej chwili, trzeba to przeżyć samemu.

Dwa dni później przyjechała mama Marylki i tym razem mogliśmy już się spotkać bezpośrednio na oddziale. Widok małego Mirka z fioletowymi ustami bardzo przestraszył mamę Marylki. Szybko ją uspokojono, że to nie skaza, tylko środek na tzw. pleśniawkę. Marylka musiała zostać w szpitalu jeszcze jeden dzień, a ja z jej mamą pojechalismy do moich rodziców. Wszyscy się cieszyli z powiększenia rodziny, rodzice dzielili się doświadczeniami z początków wychowywania dzieci. Nazajutrz teściowa z dobrą nowiną wróciła do Gdyni.

Marylka po porodzie szybko doszła do siebie i mogła opuścić klinikę. Bezpośrednio stamtąd, już we trójkę, pojechalismy do naszego mieszkania, w którym już wszystko było przygotowane. Teraz najważniejszą osobą w mieszkaniu był Mirek i wokół niego kręciło się nasze życie: pielęgnacja, karmienie, przebieranie oraz wizyty położnej. Ze względu na okres wakacyjny mogłem towarzyszyć żonie w wielu pracach, z radością i satysfakcją przewijałem synka, prałem pieluchy, a gdy Mirek miał miesiąc lub więcej, kąpałem go. Szło mi to na tyle zgrabnie, że nawet Marylka zauważyła, że gdy ona kąpie Mirka, synek jest jakiś niespokojny,

a ze mną kąpiel sprawia mu wyraźną przyjemność. Wyjaśniono mi potem, że mężczyźni mają na ogół większą dłoń, dzięki czemu dziecko czuje się stabilniejsze, a co za tym idzie – bardziej bezpieczne. Szybko okazało się, że potrzebna jest nam pralka. Pamiętam dzień, w którym udało mi się kupić pralkę Franię: pierwszy odcinek od sklepu do domu mogłem razem z nią pokonać tramwajem, ale potem musiałem przenosić ją, idąc co najmniej kilometr pod górę. Śmiało mogę stwierdzić, że dostarczenie do domu pralki było chyba moim największym osiągnięciem pozasportowym.

Życie toczyło się normalnie, odwiedzali nas znajomi i rodzice, a my nawet w sylwestra byliśmy na prywatce u przyjaciół, zapewniając opiekę nad synkiem. Z czasem Marylka chciała już wrócić do pracy, a w związku z tym zapadła decyzja o umieszczeniu Mireczka w żłobku. Ponieważ Marylka musiała zawsze być o ósmej w pracy, a ja mogłem przyjść nieco później, postanowiliśmy, że będę odprowadzał synka do żłobka i go odbierał. Było to spore wyzwanie, bo trzeba było przejść z maluchem na ręce jakieś 500 metrów, w drugiej trzymając teczkę czy torby.

Jakkolwiek synek był zdrowym dzieckiem i jego pobyt w żłobku nie nastęrczał żadnych problemów, to zdarzyła się sytuacja, która mocno zapadła mi w pamięć. Odebrałem synka ze żłobka i pierwszym środkiem lokomocji dostałem się do centrum miasta, gdzie miałem się spotkać z Marylką. Do spotkania nie doszło, a ponieważ padał deszcz, postanowiłem wracać do domu taksówką. Musiałem czekać w kolejce i tylko jedna osoba, widząc mnie z dzieckiem w tej sytuacji, ustąpiła mi miejsca. Na szczęście miałem ze sobą maleńki dodatkowy kocyk, którym szczelnie zakryłem główkę synka, ale deszcz padał nieprzerwanie i kocyk zaczął przemakać. W końcu dotarliśmy do domu. Nie zauważyłem po tej przygodzie jakichkolwiek oznak gorszego stanu zdrowia syna, domagał się jedynie jedzenia, którego przygotowanie wymagało nie tyle trudu, ile czasu. Na ugotowanie kaszki manny odpowiedniej gęstości potrzebowalem około dwudziestu minut, a potem kolejnych, żeby ją ostudzić. Synek płakał, był bardzo głodny. Ponieważ smoczek nie rozwiązywał sprawy, postanowiłem zastosować fortel: do przegotowanej wody dodałem trochę cukru i zamoczyłem w niej smoczek, ale to również nie było skuteczne. Gdy w końcu Mirek pomimo głodu zasnął, ja stałem przy nim z butelką w dłoniach, żeby kaszka za szybko nie wystygła, i nie bardzo wiedziałem, co powinienem teraz zrobić. Po przebudzeniu zjadł i nic nie wskazywało na to, że dolegało mu coś poza głodem. Dopiero rano zauważyliśmy, że Mirek miał podwyższoną temperaturę. Byłem przekonany, że był to skutek wczorajszego popołudnia. Decyzja była prosta: jedziemy do szpitala. Miałem sporo szczęścia, bo ledwo wszedłem do budynku, zauważył mnie kolega, z którym razem zdawałem maturę (pamiętam jedynie, że nazywał się Dzikowski). Od razu do nas podszedł i zapytał o objawy dziecka, zabrał nas do gabinetu

i niezwłocznie przebadał syna. Stwierdził, że Mirek jest zaziębiony i ma pierwsze objawy zapalenia płuc. Trochę się wystraszyłem, więc uspokoił mnie i zapewnił, że sytuacja jest do opanowania. Zrobił synkowi zastrzyk, prawdopodobnie podał jakiś antybiotyk, mycynę albo streptomycynę, wypisał leki i zalecił, by nazajutrz przyjechać o tej samej porze i sprawdzić skutki leczenia. W drodze do domu zatelefonowałem do żony, że już wracam, a potem na uczelnię, informując, że jakiś czas nie będzie mnie w pracy. Mały szybko poczuł się dobrze, wieczorem byliśmy już spokojni, ale zgodnie z ustaleniem na drugi dzień razem z synkiem zjawiłem się w szpitalu. Miałem wrażenie, jakby kolega na mnie czekał. Spojrzał na Mireczka i zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, stwierdził, że wszystko jest w porządku. Zaprosił nas do gabinetu i dla pewności osłuchał syna i zalecił kontynuowanie podawania leków. Przekazałem wszystko Marylce, a następnie poinformowałem żłobek, że synek czuje się lepiej i pojawi się tam następnego dnia. Napięcie minęło, przypisywałem sobie bowiem odpowiedzialność za zaistniałą sytuację spowodowaną powrotem do domu w deszczu. Marylka pocieszała mnie, że może synek był już zaziębiony w żłobku. Mirek mimo przebytej choroby miał zdrowe płuca i rozwijał się normalnie.

Wkrótce Marylka ponownie zaszła w ciążę. Byliśmy z tego powodu szczęśliwi, bo od początku zakładaliśmy, że na świecie pojawi się dwoje dzieci. Początkowy okres ciąży przebiegał bez komplikacji, żona była zdrowa, jeździła do pracy, ja woziłem Mirka do żłobka, popołudnia były różnie organizowane, w życiu codziennym nie działo się nic niepokojącego. Jednak lekarze ciągle zmieniali przewidywany termin rozwiązania, co wynikało prawdopodobnie z nieprawidłowego ułożenia płodu. Co istotne, wiele spraw zbiegło się w czasie: musiał się odbyć zjazd sprawozdawczo-wyborczy pracowniczej spółdzielni mieszkaniowej przy Politechnice Poznańskiej, której byłem prezesem i moja obecność tam była konieczna. Równie ważne było przypilnowanie sprawy naszego nowego mieszkania, gdzie w przypadku wysokiej ciąży mogły być dwie interpretacje liczby mieszkańców: z kolejnym dzieckiem – wówczas przysługiwałoby nam M5 – lub bez. Temat miał zostać omówiony tradycyjnie na walnym posiedzeniu, którego termin mógł ulec przesunięciu, a my nie byliśmy do końca pewni, czy Marylka urodzi dzień wcześniej, czy dwa dni później. W tej sytuacji żona zadecydowała, że ją razem z Mirkiem mam zawieźć do Gdyni, gdzie będzie pod opieką swoich rodziców, a potem mogę spokojnie zająć się tematem spółdzielni. Walne zgromadzenie rozpoczęło się zgodnie z planem, przedstawiłem swoje sprawozdanie, a komisja rewizyjna oceniła stan gospodarki finansowej. Rozpoczęto dyskusję na tematy bieżące, gdy wywołano mnie do telefonu. Dostałem wiadomość, że Marylka urodziła drugiego syna. Byłem ogromnie wzruszony, ale tym razem szybciej niż przy narodzinach Mirka udało mi się opanować. Wróciłem na salę i na pytające spojrzenia odpowiedziałem drżącym głosem, że właśnie urodził

mi się drugi syn. Pogratulowano mi, a gdy wróciliśmy do obrad, poprosiłem wiceprezesa, by kontynuował prowadzenie dyskusji. Podczas zgromadzenia zostałem wybrany prezesem spółdzielni na drugą kadencję. Zebrani się rozeszli, pozostało tylko czterosobowe grono, które z okazji narodzin syna zaprosiłem na poczęstunek do restauracji. Podano golonkę, a ponieważ w lokalu nie było czystej wódki, popiliśmy ją, ku wyraźnemu niezadowoleniu moich gości, innym alkoholem. Na koniec dnia z dobrą wiadomością pojechałem do rodziców, do swojego dawnego domu, w którym zawsze mogłem znaleźć i pocieszenie, i wspólną radość.

Największa tragedia mojego życia

Sobota, ostatni dzień marca 1990 r. Marylka była wtedy na szkoleniu w ośrodku Urzędu Wojewódzkiego w Przełazach, zatem sam musiałem zająć się obowiązkami domowymi. Plan dnia miałem już ustalony: najpierw wybrać się na rynek przy ulicy Owocowej, tam kupić kilka artykułów spożywczych i – tradycyjnie – kwiaty, ogrodowe, pachnące. Następnie miałem wziąć udział w seminarium w Wyższej Szkole Pedagogicznej poświęconym jednemu z pracowników uczelni przechodzącemu na emeryturę. Seminarium przebiegło w przyjemnej atmosferze, odbyłem także kilka miłych rozmów z przyjaciółmi. Wracałem do domu przekonany, że zastanę w nim już Marylkę. Rzeczywiście, już na mnie czekała. Przywitaliśmy się serdecznie i nagle Marylka wyznała, że po powrocie do domu była zawiedziona. Zaniepokoiło ją, że nikt nie otwiera jej drzwi, a założyła, że będę w domu. Podenerwowana weszła do środka i gdy poczuła zapach kwiatów, uspokoiła się i przypomniała sobie o moim planowanym udziale w seminarium.

Po obiedzie żona poleciła mi zakup ciasta i lodów, ponieważ spodziewaliśmy się wizyty naszych przyjaciół, Jadzi i Staszka. Spotkanie upłynęło na miłych rozmowach, a po wyjściu gości Marylka niespodziewanie zaproponowała: „A może pojechalibyśmy gdzieś?”. Na moje pytanie: „Dokąd?” odpowiedziała: „Za granicę, do Jurka”. Jej brat, Jerzy, mieszkał koło Hanoweru, więc czekała nas długa podróż. Zaproponowałem, żebyśmy to jeszcze przemyśleli, a gdy się zdecydujemy, z przełożonymi ustalimy termin ewentualnego trzy- lub czterodniowego urlopu. Wspólnie posprzątałyśmy po spotkaniu i ustaliliśmy, że temat wyjazdu omówiły szczegółowo nazajutrz. Jak zwykle w poranki niedzielne wstałem wcześniej i po przyrządzeniu sobie kawy poszedłem do swojego pokoju popracować nad jakąś publikacją. Wiedziałem, że żona będzie jeszcze spała, może godzinę, dwie, zwłaszcza że wróciła z kilkudniowego szkolenia. Nagle stanęła w drzwiach i powiedziała coś, czego nie zrozumiałem, ale nie poświęciłem temu specjalnej uwagi, nadal bowiem pracowałem nad rozwiązaniem jakiegoś zagadnienia naukowego. Marylka wyszła z łazienki, szybko się ubrała i po chwili powróciła do

pokoju z zapytaniem: „Nie moglibyśmy pojechać teraz na działkę?”. „Oczywiście, że tak! – odpowiedziałem. – Pogoda jest piękna, przyda nam się odpoczynek”. Na działce zajęliśmy się pracami ogrodniczymi, a dokładnie sadzeniem fasoli. Grządka była przygotowana, więc Marylka wzięła do ręki jakiś patyk i próbowała zaznaczyć linię, wzdłuż której należało umieszczać ziarna fasoli. Linia wyszła krzywa, co zaniepokoiło moją żonę. Zapewniłem ją, że szybko sam to zrobię. Po chwili Marylka lekko drżącym głosem powiedziała, że się źle czuje i odpocznie w altance. Jej zmęczenie było zaskakujące, zwłaszcza że na ten moment nie wykonała żadnych prac, a poza tym spała do późna. Wykonałem zaplanowane prace, ale wciąż czułem niepokój. Gdy zajrzałem do altanki, Marylka uprzedziła moje pytanie i stwierdziła: „Bardzo dobrze, że jesteś, bo źle się czuję”. „Co ci dolega?” – zapytałem. „Mam silne bóle w klatce piersiowej” – odparła. Wystraszyłem się i powiedziałem: „To poważna sprawa, natychmiast jedziemy na pogotowie”. Nie oponowała, prosiła tylko, żebym pomógł jej się przygotować. Właściciela sąsiedniej działki poinformowałem, że zaraz wracam i poprosiłem o pomoc w doprowadzeniu Marylki do auta. Potem pomogłem jej wsiąść do samochodu i niezwłocznie ruszyłem. Na początku był odcinek przylegającej do działek polnej drogi, nierównej, z kamieniami, więc jechałem raczej wolno, ale na ulicy już przyspieszyłem. Wydawało mi się, że jadę nawet za szybko, ale to była niedziela, wczesne popołudnie, ruch na drodze był minimalny. Zaskoczyło mnie bardzo, kiedy Marylka zapytała, dlaczego tak wolno jadę, bo już wtedy przekroczyłem dozwoloną prędkość. Od tej chwili byłem już bardzo zaniepokojony, nawet zwiększyłem szybkość do dziewięćdziesięciu albo nawet stu kilometrów na godzinę. Dojeżdżając, przekroczyłem linię ciągłą i pod prąd wjechałem w ulicę jednokierunkową, bo tylko w ten sposób mogłem najszybciej znaleźć się na zapleczu pogotowia ratunkowego. Oczywiście wjazd dla osób postronnych był tam zabroniony, ale ratownicy, którzy stali na zewnątrz, nie protestowali. Nie zamykałem nawet samochodu, tylko od razu powoli i ostrożnie zaprowadziłem Marylkę do środka. Widziałem, że w poczekalni jest kilka osób. Gdy z gabinetu wyszedł jakiś pacjent, donośnym głosem powiedziałem: „Serce!”. Nikt nie oponował, że nie czekamy w kolejce, więc wszedłem tam razem z Marylką, od razu informując panią doktor, że żona ma silne bóle mostkowe. Lekarka szybko rozpoczęła badanie. Ja chciałem wyjść, ale Marylka poprosiła, żebym został i jej pomógł się rozebrać. Pani doktor zastosowała jakiś test, prawdopodobnie nitroglicerynę. Trzymając się za ręce, w głębokiej ciszy oczekiwaliśmy na rezultat. Po minucie lub dwóch lekarka zdecydowała, że jedziemy do szpitala. Do gabinetu wbiegło dwóch ratowników, zabrali Marylkę i wraz z lekarką karetką pogotowia natychmiast odjechali na sygnale. Byłem całą sytuacją mocno przestraszony, ale zarazem spokojny, że Marylka jest już pod opieką. Gdy dotarłem do szpitala, od razu skierowałem się do „erki”. W pewnym momencie drzwi jednego

z gabinetów lekarskich się otworzyły i zobaczyłem Marylkę na wózku. Powiedziała tylko: „Przywieź mi wiesz co” – chodziło o piżamę, podomkę i jasiek – a po chwili zniknęła za drzwiami prowadzącymi bezpośrednio na oddział kardiologii. Opuściłem szpital i wsiadłem do samochodu. Mój aktualny stan psychiczny nie pozwala na to, żebym w ogóle ruszył i siedziałem w aucie prawie godzinę. Myślałem o stanie zdrowia Marylki, analizowałem, dlaczego to się stało, skoro przecież wcześniej nie chorowała. Postanowiłem najpierw wstąpić na działkę, by uporządkować narzędzia i dopiero wtedy pojechałem do domu. Czułem cały czas, że stało się coś strasznego, czego nie potrafiłem jeszcze pojąć. W domu był tylko syn Mirek (młodszy, Tomek, był w tym czasie w Niemczech). Spokojnie poinformowałem go o tym, co się stało i o planowanej wizycie w szpitalu o godzinie osiemnastej. Gdy zjawiliśmy się tam razem, Marylka była przytomna i spokojna. Na moje pytanie, jak się czuje, odparła, że już lepiej, ale to mnie nie uspokoiło. Syn nawet zażartował, pytając: „A mama nie chciałaby tak zapalić papierosa?”. Krótko odpowiedziała, że nie. Na zakończenie wizyty ucałowałem żonę bardzo serdecznie i opuściliśmy salę. Od lekarki dyżurnej dowiedzieliśmy się, że stan Marylki jest poważny i w ciągu dwudziestu czterech do czterdziestu ośmiu godzin nastąpi rozstrzygnięcie.

Było dość późno, gdy wróciliśmy z synem do domu. Przygotowałem rzeczy, które nazajutrz chciałem zabrać do szpitala i poszliśmy spać. Z niepokoju nie mogłem zasnąć, rano wstałem dużo wcześniej i zacząłem przygotowywać się do ponownej wizyty w szpitalu. Zupełnie niespodziewanie usłyszałem dzwonek u drzwi – dźwięk był mocny i długi, jakby ktoś przytrzymał klawisz. Niekompletnie ubrany otworzyłem drzwi i zobaczyłem ubranego w czarny garnitur chłopaka, który wręczył mi telegram z czarną grafiką. Nie pojmując, co się dzieje, odebrałem telegram i podziękowałem. Zamknąłem drzwi i wtedy zacząłem czytać treść wiadomości. Już pierwsze słowa – w dniu takim i takim... – sprawiły, że nie potrafiłem czytać dalej. Zawołałem syna i dopiero on doczytał do końca wiadomość o śmierci mojej ukochanej Marylki! Nie wiedziałem, co powiedzieć i co robić. Po dłuższej chwili postanowiłem pójść do pokoju. Nie pamiętam nawet, czy płakałem, ale byłem bardzo przygnębiony. Po pewnym czasie stwierdziłem, że będę musiał poinformować najbliższych o śmierci Marylki. Najpierw chciałem zadzwonić do moich rodziców, ale doszedłem do wniosku, że ani oni, ani ja nie wytrzymamy takiej rozmowy, zadzwoniłem więc do brata. Był bardzo zaskoczony, ale przyjął informację dość spokojnie. Poprosiłem, żeby razem z siostrą pojechali do moich rodziców i tak spokojnie, jak tylko to będzie możliwe, przekazali tę tragiczną wiadomość. Następnie zadzwoniłem do Gdyni, do brata Marylki, z taką samą prośbą, aby przekazał wiadomość matce. Zadzwoniłem jeszcze do przyjaciół, z którymi spotkaliśmy się przecież dzień wcześniej, czyli do Jadzi i Staszka. Wszyscy byli bardzo zaskoczeni, ponieważ nie

pamiętali, aby Marylka chorowała. Nie miałem już sił rozmawiać na ten temat z kimkolwiek i poprosiłem syna, aby zadzwonił do jeszcze kilku osób. Dalej nie wiedziałem, co mam w tej sytuacji robić. W tym czasie niespodziewanie pojawiło się moje rodzeństwo. „Zabieramy cię do Poznania, do rodziców. Chcą cię zobaczyć” – zdecydowali. Nie oponowałem. Czułem, że mi też jest to potrzebne.

Gdy zjawiłem się w domu rodziców, razem z nimi siadłem na tapczanie, a brat z siostrą poszli do innego pokoju. Położyłem głowę na kolanach mamy, mojej najukochańszej mamy, jak często mówiłem, mojej mamuski, bo bardzo ją kochałem. Płakaliśmy we trójkę, choć płaczącego ojca nigdy wcześniej nie widziałem. Po jakiejś chwili zaczęliśmy trochę rozmawiać. Po jakimś czasie, chyba w celu rozładowania napięcia, musiałem czymś się zająć, wykonać jakieś prace fizyczne w ogrodzie lub przed domem, co bardzo często czyniłem w młodszych latach, będąc jeszcze w Poznaniu, a nawet później, kiedy już na stałe byłem w Zielonej Górze. Postanowiłem przystrzyc żywoplot, ale po chwili dopadły mnie wyrzuty sumienia: poczułem się tak, jakbym to ja porzucił Marylkę, skoro teraz nie ma mnie przy niej. Dokończyłem pracę, sprzątnąłem i wróciłem do mieszkania. Rozmowy z bliskimi nie dawały ukojenia i nazajutrz byłem z powrotem w Zielonej Górze. Starłem się wrócić do swoich obowiązków, ale było mi bardzo ciężko – śmierć Marylki była największą tragedią, jaka mnie spotkała.

Próbując uporać się z bólem, napisałem taką sentencję:

Prawdziwie głęboki żal człowieka niezwykle przygniata

Jak nic innego tego świata

I na wskroś przenika

I nigdy nie znika

Niepokojące zniecierpliwienie rodziny

Moi rodzice wraz z siostrą pojechali do sanatorium w Kudowie Zdroju, a ja w tym czasie postanowiłem pojechać z rodziną do Bukowiny Tatrzańskiej. Odpoczywaliśmy w bardzo miłej atmosferze i byłem przekonany, że podobnie spędzają wolny czas moi rodzice. Nie mieliśmy ze sobą żadnego kontaktu, w tamtych latach nie było telefonów komórkowych. Nasz wypoczynek się skończył i wracaliśmy do domu. Był to okres zimy, warunki na drodze były bardzo złe, ciągle napotykał się na trudności, skutkiem czego do Poznania dotarliśmy po niemal dziesięciu godzinach, na dodatek na resztkach paliwa. Nie dojechalismy nawet pod dom, ostatni odcinek pokonując na piechotę. W drzwiach mieszkania znalazłem karteczkę z prośbą, abym jak najszybciej skontaktowałem się z siostrą. Od niej dowiedziałem się, że nasza mama bardzo się rozchorowała, jest już po operacji w szpitalu Kudowie i czuje się lepiej, ale konieczne jest oddanie dla niej krwi. Przebywający z mamą mój brat ani siostra nie mogli oddać krwi i czekali

na mnie – już znacznie wcześniej byłem wielokrotnym rodzinnym dawcą krwi i uczestniczyłem w wielu akcjach krwiodawstwa. Nigdy nie miałem z tym problemów i zawsze miałem z tego powodu wielką satysfakcję. Krew należało oddać jeszcze przed operacją, bo taki był warunek lekarzy, ale udało się odwrócić tę kolejność, głównie dzięki zapewnieniom moich rodziców, że mają świadomość niebezpieczeństwa.

Do Kudowy Zdroju przyjechałem najbliższym autobusem, potwornie zmęczony, ale ogromna radość ojca i rodzeństwa wynagrodziła wszystkie trudy. W szpitalu serdecznie przywitałem się z mamą, która po operacji nadal była bardzo słaba. Płakaliśmy wszyscy, gdy jakaś pani stojąca obok powiedziała: „Rozumiem was, ale nie należy płakać”. Moja mama wykrztusiła: „Zobowiązałam się, że oddasz krew, tak niecierpliwie na ciebie czekałam”.

Niewłócznie poszedłem do stacji oddawania krwi. Nie wiem, ile jednostek mi pobrano, ale musiało być tego sporo, bo rodzeństwo potem żartowało, że musiałem oddać krew za nas troje. Po wszystkim mama ucieszyła się i powiedziała: „Teraz nareszcie będę mogła spokojnie zdrowieć”.

Niespodziewane wyróżnienie

Z okazji pobytu w Poznaniu zostałem zaproszony przez byłego absolwenta Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze, pana Rezaula Karima, do jego domu na krótkie spotkanie towarzyskie. O określonej godzinie zjawiłem się tam z bukietem kwiatów i po przywitaniu oraz złożeniu życzeń pani domu sądziłem, że zostanę zaproszony do pokoju. Ku mojemu zaskoczeniu pan Karim poinformował mnie, że wie, iż dzisiaj są moje urodziny, a w zwyczaju społeczeństwa Bangladeszu są one zawsze uroczyste obchodzone. Szczególnie uroczyste obchodzi się 90-lecie urodzin i z tej okazji na ramionach jubilata wieszają się wieniec składający się zawsze z 90 kwiatów, a potem obwozi się go na wózku lub riksą po okolicy, gdzie tłumnie wylegają mieszkańcy, pozdrawiając i wiwatując. Pan Karim uprzejmie poprosił, żebym wyraził zgodę na przyjęcie tego szczególnego wyróżnienia. Zostałem udekorowany wieniec z biało-czerwonych kwiatów, co uwieczniono na zdjęciach. Dopiero po tej uroczystości zostałem poproszony nie do pokoju, ale do salonu przyjęć, gdzie przygotowany był posiłek. Państwu Karimom przypomniałem, że w godzinach wieczornych zobowiązałem się także do złożenia wizyty przyjacielowi, w związku z czym z chęcią skosztuję tylko niektórych potraw. Mój wybór padł na cztery rodzaje ryżu o różnych smakach i kolorach oraz dwie małe porcje krewetek przygotowanych w różnej postaci. Atmosfera była bardzo przyjemna, a czas szybko upływał. Gospodarz rozumiał moją sytuację i postanowił osobiście odwieźć mnie do przyjaciela. Obiecałem, że następnym razem, może w towarzystwie syna i synowej, będziemy

dłużej biesiadowali. I rzeczywiście, po upływie około pół roku złożyłem państwu Karimom ponowną wizytę wraz z synem i synową. Tym razem zjedliśmy przygotowane przez żonę gospodarza bardzo smaczny obiad po bengalsku. Na deser podano tort i herbatę zaparzaną mlekiem. Spotkanie upłynęło w miłej atmosferze, a potrawy były wysmienite.

Moje ukochane góry

W młodszych latach pasją mojego życia było chodzenie po górach, szczególnie po Tatrach. Sądzę, że przeszedłem tam wszystkie szlaki, niektóre nawet dwu- lub trzykrotnie. Każdy wypad w góry samotnie lub z kolegą sprawiał mi ogromną przyjemność. Przebywanie tam, w bezpośrednim kontakcie z naturą, jest zawsze przepięknym przeżyciem. Daje dużo satysfakcji i kształtuje poczucie skromności. Sądzę, że spośród wielu wędrówek powinienem wspomnieć o trzech.

Pierwszą było przejście z Zakopanego do Kuźnic, z Kuźnic przez Boczań do Doliny Pięciu Stawów, a następnie przez Przełęcz Zawrat do Morskiego Oka. Planowaliśmy z kolegą pozostać w Morskim Oku do następnego dnia, aby zdobyć Rysy. Niestety, wszystkie miejsca noclegowe były zajęte i musieliśmy wrócić do Zakopanego. Postanowiliśmy pójść przez Dolinę Roztoki, zakładając, że może tam znajdziemy nocleg, ale również tam nie było wolnych miejsc. Byliśmy zmuszeni wrócić do Zakopanego przez Dolinę Pięciu Stawów i odpocząć w schronisku. Widziałem, że mój kolega był już bardzo zmęczony, nie miał odpowiedniej kondycji fizycznej do takich dalekich wypraw. W schronisku zauważyliśmy, że przebywa tam także grupa młodzieży, prawdopodobnie studentów. W pewnej chwili jeden z członków tej grupy (zapewne prowadzący), chyba jakiś profesor, zwrócił się do nas z pytaniem, czy zamierzamy wrócić do Zakopanego. Odpowiedziałem, że ze względu na brak miejsc noclegowych będziemy do tego zmuszeni. Powiedział, że oni są w podobnej sytuacji i zapytał mnie, czy dobrze znam drogę do Zakopanego. Odpowiedziałem, że tak i choć w takich ciemnościach jeszcze nigdy nie pokonywałem tego szlaku, to decydujemy się z kolegą zejść. Ucieszył się i zaproponował, że jego grupa do nas dołączy. Zgodziłem się i uprzedziłem, że pierwszy odcinek drogi będzie stosunkowo łatwy, na otwartej przestrzeni, bez jakichkolwiek uskoków, ale końcowy powinniśmy pokonać drogą przez las, bo choć szlak turystyczny byłby łatwiejszy do pokonania, to miejscami prowadzi wzdłuż urwiska, co może być niebezpieczne, a droga przez las, jakkolwiek trudna i trochę wyboista, gwarantuje nam bezpieczne dojście do Kuźnic. Ostatni etap drogi był rzeczywiście trudny, nie tylko ze względu na panujące ciemności, ale i nasze ogromne zmęczenie. Gdy dotarliśmy do Kuźnic, poczuliśmy ulgę, choć od Zakopanego dzieliło nas jeszcze kilka kilometrów. Na koniec prowadzący

grupę, prawdopodobnie pracownik naukowy z uczelni krakowskiej, serdecznie mi podziękował i nasze drogi się rozeszły. Ta wędrówka przez Tatry była dla mnie i kolegi najdłuższym szlakiem, pokonaliśmy prawdopodobnie około 30 kilometrów. Kolega był naprawdę wycieńczony, więc już na tym ostatnim odcinku drogi niosłem jego plecak.

Drugim dla mnie ważnym przeżyciem było wejście na Rysy. Góra wymagała nie tyle specjalnych przygotowań, ile dobrej kondycji. Tym razem pamiętając o trudnościach ze zdobyciem noclegu w Morskim Oku, udało nam się wcześniej zamówić miejsca. Postanowiliśmy zdobyć szczyt w ciągu dwóch dni: najpierw tradycyjnym szlakiem z Kuźnic przez Świstówkę i Opalone doszliśmy do Doliny Pięciu Stawów, a następnie do Morskiego Oka, gdzie czekały na nas miejsca noclegowe. Dość wcześnie poszliśmy spać, a rano weszliśmy na szlak prowadzący na Rysy. Pogoda nam dopisała i przejście z Morskiego Oka do Czarnego Stawu nie nastęrczało żadnych trudności. Niestety, im wyżej byliśmy, tym bardziej pogoda ulegała pogorszeniu. Mimo gęstniejącej mgły widoczność nadal była wystarczająca, postanowiliśmy zatem iść dalej. Po drodze spotkaliśmy kolejnych turystów, którzy także ze względu na pogodę byli nieco podenerwowani. Doszliśmy do Buli pod Rysami, gdzie już kilka osób rozważało wejście na Rysy. Postanowiliśmy do nich dołączyć, po chwili pojawiła się jeszcze jedna osoba, stanowiliśmy więc już grupę. Po krótkiej dyskusji jeden z jej członków stwierdził, że warunki są wystarczające, aby wspiąć się na Rysy. Mgła gęstniała, kolejny odcinek pokonywaliśmy, korzystając z łańcuchów. Wszyscy mieli wątpliwości, czy w takiej mgle kontynuować zdobywanie szczytu. Ktoś stwierdził, że do celu zostało nam już niewiele, ale widoczność była ograniczona już do trzech, czterech metrów. Doszliśmy do wniosku, że jeżeli to nie jest szczyt góry i pozostaje jeszcze do przejścia kilkadziesiąt metrów, to i tak nie będziemy mieli z tego powodu żadnej satysfakcji, bo niczego nie zobaczymy. Postanowiliśmy wrócić. Zejście było rozważne i ostrożne, wykorzystywaliśmy łańcuchy i klamry. Powrotna droga z Buli do Czarnego Stawu, skąd był już piękny widok na Morskie Oko, nie wymagała już takiego napięcia. Do bazy w Morskim Oku dotarliśmy po 12 godzinach, co było kolejną lekcją pokory. Wróciliśmy: jedni z nadzieją, że byliśmy na szczycie, inni z satysfakcją, że byliśmy prawie na szczycie, a ja do dzisiaj nie wiem, do której z tych grup powinienem się zaliczyć. Najbardziej zawiedziony był pewien młody chłopak, który wymachując aparatem fotograficznym, powtarzał z żalem: „Po co ja niosłem to pudło!”. Planowałem jeszcze ponowne zdobywanie szczytu, oczywiście przy odpowiednich warunkach, ale nigdy tego celu nie zrealizowałem.

Najtrudniejszym szlakiem górskim było dla mnie jednak przejście Kozich Wierchów. Tradycyjnym szlakiem doszedłem do Zawratu, a potem, też wyznaczonym szlakiem, forsowałem kolejne elementy Kozich Wierchów, między

innymi Orlą Perć. Warunki były dobre, po drodze spotykałem turystów wędrujących samotnie lub w grupie. Szlak był bardzo urozmaicony, były łańcuchy, był do przejścia komin, ale co istotne – były także odcinki na samej grani. Po przejściu Kozich Wierchów droga do Doliny Roztoki nie była już trudna, do pokonania zostało tylko pasmo górskie Wołoszyn. Szlak był łatwy, ale z jednej strony były skały, a z drugiej kilkusetmetrowy stok o nachyleniu około 45 stopni, na którym jednak widoczna była kończąca się droga. W tym właśnie miejscu spotkałem grupę studentów krakowskich. Mieli kłopoty, bo jedna z uczestniczek, studentka farmacji, powiedziała, że dalej nie pójdzie, nie tyle ze względu na brak sił, ile na lęk wysokości. Zwrócili się do mnie z prośbą, żebym z nią porozmawiał. Zapewniłem ją, że już szedłem tą drogą z innej strony i znam ten szlak, zostało zaledwie pół kilometra i będziemy w Dolinie Roztoki. Tam są już skały i zieleń, na spokojnie można dojść do schroniska. Cała grupa miała już zapewnione noclegi, więc istniała szansa na dobry odpoczynek przed pokonywaniem kolejnych odcinków wędrowni. Ta krótka rozmowa na Wołoszynie z Grażyną – tak miała na imię ta studentka – i następne rozmowy prowadzone w czasie zejścia do Doliny Roztoki doprowadziły do tego, że się z nią zaprzyjaźniłem. Dwukrotnie spotkaliśmy się w Zakopanem, potem raz złożyłem wizytę jej rodzinie, a Grażyna raz przyjechała do Poznania. Po kilku jednak miesiącach znajomość się zakończyła.

Muzyka. Mój piękny świat

Już w latach młodości wykazywałem zdolności muzyczne. Mam bardzo dobry słuch, grałem na skrzypcach, a później na fortepianie i akordeonie. Byłem samoukiem i najczęściej grałem z pamięci. Prawdziwą edukację muzyczną uzyskałem w chórze Słowiki Poznańskie pod dyrekcją Stefana Stuligrosza. Zamiłowanie do muzyki liturgicznej czy szerzej: kościelnej, pozostało mi na całe życie.

Na początku lat 50. zafascynował mnie jazz, szczególnie ten naturalny gatunek jazzu afrykańsko-amerykańskiego. Wtedy na świecie panował rock, uwielbiany był Louis Armstrong, którego ja także ceniłem. Ale najbardziej fascynowała mnie odmiana jazzu ze złotą trąbką Duke'a Ellingtona. Dwukrotnie byłem na festiwalu muzyki jazzowej Jazz Session w Sopocie, uczestniczyłem w wielu koncertach, a raczej spotkaniach jazzowych organizowanych przez poznańskie środowisko uczelniane. Często te spotkania łączono ze wspólnym tańcem, rzekomo zwyczajem przodków muzyki jazzowej. W tym czasie starałem się podwyższać swoje umiejętności gry na pianinie m.in. niektórych utworów z muzyki poważnej.

W początkowym okresie rozwoju jazzu w Polsce uczestniczyłem w spotkaniach muzycznych organizowanych spontanicznie w stołowie Wyższej Szkoły

Inżynierskiej w Poznaniu przy ul. Curie-Skłodowskiej. Tam po raz pierwszy spotkałem się z Jerzym Milianem, wówczas niezwykle uzdolnionym młodym chłopakiem, który nie tylko pięknie grał, ale również fascynował obecnych „ekwilibrystyką” palców. Zdarzało się, że stawałem przy pianinie, obserwując jego grę. Przez krótki czas byliśmy dobrymi znajomymi. W późniejszych latach Jerzy Milian był jednym z najwybitniejszych polskich jazzmanów.

Po dość krótkim okresie fascynacji jazzem pomału wracałem do muzyki klasycznej. Coraz częściej chodziłem na niedzielne poranki symfoniczne, od czasu do czasu także na koncerty symfoniczne. W swoim życiu byłem na co najmniej stu takich wydarzeniach w salach koncertowych i w plenerze, byłem m.in. na festiwalu w Kołobrzegu i Sopocie, ale ze szczególnym sentymentem wspominam festiwale zielonogórskie: najpierw Piosenki Radzieckiej, a następnie Piosenki Rosyjskiej oraz folkloru europejskiego. Uczestniczyłem w bachowskim koncercie organowym w Oliwie, byłem na wielu koncertach muzyki barokowej w Paradyżu, uczestniczyłem także w kilku koncertach eliminacyjnych konkursu chopinowskiego i konkursu Wieniawskiego. Prawie każdy koncert robił na mnie wrażenie, ale tych najpiękniejszych dostarczyła mi pierwsza symfonia Karola Szymanowskiego, pierwsza symfonia Siergieja Rachmaninowa, utwór muzyczny zawierający osiem pieśni Stanisława Moniuszki, oratorium *Mesjasz* Georga Haendla, Msza Wielka Johanna Sebastiana Bacha, dziewiata symfonia Beethovena z udziałem chórów z Frankfurtu i Cottbus, *Krzesany* Wojciecha Kilara, oratorium wykonane w kościele pw. Najświętszego Zbawiciela przy współudziale zespołów chórальных Uniwersytetu Zielonogórskiego, prawie wszystkie koncerty wykonane przez Filharmonię Zielonogórską pod batutą Czesława Grabowskiego, koncert muzyki amerykańskiej w wykonaniu Orkiestry Filadelfijskiej Filharmonii Warszawskiej, symfonia *Fantastyczna* Hectora Berlioz, symfonia *Tytan* Gustava Mahlera wykonana w kościele pw. św. Ducha przez orkiestrę Filharmonii Zielonogórskiej – obie pod batutą Bassema Akiki – oraz muzyka Fryderyka Chopina, a w szczególności symfonia e-mol wykonana przez Bruce’a Liu w czasie ostatniego Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego w Warszawie w 2021 r.

Będąc słuchaczem tak wielu wydarzeń muzycznych, ośmieliłem się stwierdzić, że orkiestra Filharmonii Zielonogórskiej, prowadzona 30 lat przez profesora Czesława Grabowskiego, jest na najwyższym, europejskim poziomie. Częste rozmowy z profesorem Grabowskim – moim przyjacielem – miały szczególny wpływ nie tylko na moją wrażliwość muzyczną, ale i na wiedzę o muzyce klasycznej.

Do każdego koncertu zawsze starałem się przygotować. W ostatnim okresie moim stałym partnerem na koncertach symfonicznych był mój przyjaciel Zbyszko Piwoński, w przeszłości senator i wojewoda zielonogórski. Ponieważ

obaj bardzo kochaliśmy muzykę, ustalaliśmy kalendarz koncertów, na które zamierzaliśmy pójść razem. Niemal przed każdym koncertem spotykaliśmy się na kawie – w kawiarni albo w barze w filharmonii. Prowadziliśmy dyskusje o muzyce lub dzieliliśmy się wrażeniami ostatniego koncertu. Po śmierci Zbyszka na koncertach bywam dość rzadko, ale mam w pamięci nasze działania skupione wokół inwestycji i remontów prowadzonych w filharmonii czy też spotkań w biurze dyrektora.

Długo czekaliśmy na organizowany w Warszawie występ orkiestry symfonicznej z Filadelfii, w latach 90. uznawanej jako najlepsza na świecie. Miał rozpocząć się o godzinie dziewiętnastej, ale okazało się, że jadący z Berlina muzycy jeszcze nie dotarli do Warszawy i koncert będzie opóźniony o pół godziny. Część osób wyszła z sali, pozostali czekali na swoich miejscach. Gdy wreszcie orkiestra dotarła, organizatorzy poinformowali o kolejnym przesunięciu, ponieważ muzycy potrzebowali chwili na odpoczynek po podróży, a ponieważ opóźnienie jest już spore, orkiestra nie będzie przebierać się do koncertu. Przyjęto to z pewnym niepokojem, wszyscy oczekujący na koncert bowiem nie wyobrażali sobie, aby orkiestra symfoniczna, szczególnie tej rangi, mogła wystąpić w codziennych ubraniach.

Rzeczywiście, po ustalonym czasie na scenę weszła orkiestra symfoniczna, której członkowie byli ubrani w różnokolorowe sweterki, blezerki, jeansy. Wywoływało to pewną dekoncentrację, ale cóż, to muzyka miała być dla nas prawdziwą ucztą. Pierwsze takty potwierdziły klasę orkiestry – muzyka była naprawdę wspaniała. Mnie jednak ciągle dekoncentrowały stroje, postanowiłem więc zamknąć oczy, wyłączyć materialną część przestrzeni. Od tej chwili już do końca byłem pod wielkim wrażeniem. Do dziś pamiętam jednak tylko i wyłącznie jeden utwór, czyli *Błękitną rapsodię* Gershwina, wykonaną mistrzowsko. Na zakończenie koncertu rozległy się owacje zachwyconej widowni. Niestety, z uwagi na blisko godzinne opóźnienie słuchacze spoza Warszawy musieli w pośpiechu opuszczać salę.

Kiedy byłem na kontrakcie w Algierii, ogromnie doskwierała mi samotność. Niespodziewanie z konsulatu Związku Radzieckiego otrzymałem zaproszenie na koncert orkiestry kameralnej Moskiewskiego Konserwatorium, który miał się odbyć w teatrze w Oranie – obiekcie mającym swoje najlepsze lata dawno za sobą. Wśród zaproszonych gości byli przede wszystkim obcokrajowcy: Polacy, Węgrzy, Czesi, Rosjanie, a także, choć niewielu, Algierczycy. Mimo iż scena była stanowczo za duża dla orkiestry kameralnej, a na sporej widowni zasiadło może pięćdziesiąt, sześćdziesiąt osób, koncert był bardzo udany. W repertuarze znalazła się muzyka europejska, tak bardzo nam bliska. Mnie szczególnie zafascynowały fragmenty piano, pianissimo, wykonywane niezwykle precyzyjnie i delikatnie. Muzycy grali tak subtelnie, że czasami nie wiedziałem, czy to jeszcze

orkiestra, czy to już ściany odpowiadają. Dopiero opuszczenie smyczków było znakiem, że nastąpił koniec. Takie wydarzenie dla ludzi będących daleko od swojej ojczyzny było wspaniałym przeżyciem.

W ostatnim roku poruszyło mnie wysłuchanie symfonii *Tytan* Gustava Mahlera w wykonaniu orkiestry Filharmonii Zielonogórskiej w kościele pw. Ducha Świętego w Zielonej Górze. Wystąpił pełen skład naszej orkiestry filharmonicznej (64 osoby) pod batutą światowej sławy dyrygenta Bassema Akiki. Wykonanie tego utworu przerosło nasze oczekiwania – wpływ na to miała nie tylko wspaniała muzyka, piękna harmonia i właściwe tempo, ale także doskonała przestrzeń. Potęga dźwięków, szczególnie w poszczególnych partiach finalnych tej wieloczęściowej symfonii, mogła brzmieć właściwie tylko i wyłącznie w przestrzeni tego obiektu. Sądzę, że w sali koncertowej naszej filharmonii taki odbiór nie byłby możliwy.

Ogromną przyjemność podczas koncertu symfonicznego w naszej filharmonii sprawiło mi wysłuchanie *Krzesanego* Wojciecha Kilara – utworu opartego na kanwie muzyki góralskiej, wspaniale wykonanego przez muzyków pod batutą Czesława Grabowskiego. W pełni przejęty muzyką w pewnej chwili odniosłem wrażenie, że słyszę dźwięki orkiestry góralskiej. Dźwięki stawały się coraz bardziej intensywne i nagle na scenę weszła... góralska kapela! Mieliliśmy okazję doświadczyć wspaniałego zsynchronizowania obu orkiestr, nad którymi panował jeden dyrygent.

Podobnie przejmującym przeżyciem było wysłuchanie w Filharmonii Zielonogórskiej dziewiątej symfonii Beethovena ze wspaniałym wejściem sekcji blaszanej. Przed finałem na widownię po cichutku weszli śpiewacy dwóch chórów niemieckich – z Frankfurtu i z Cottbus – i zaczęli śpiewać *Odę do radości*. Niezwykle uczucie, gdy cała widownia jest otoczona dźwiękami. Na koniec symfonii rozległy się oklaski, podobnie jak inni widzowie byłem pod wielkim wrażeniem. Podczas koncertu miałem miejsce na końcu rzędu i tuż obok mnie stały członkinie chóru. Po zakończonych brawach podszedłem do nich, wyraziłem swoje wielkie zadowolenie, podkreśliłem wielkość ich umiejętności i życzyłem dalszych sukcesów. Ku mojemu zaskoczeniu jedna ze śpiewaczek podziękowała mi czystą polszczyzną. Natychmiast powiedziałem, że następnym razem będziemy rozmawiać tylko po polsku, na co śpiewaczki uśmiechnęły się i odparły, że nie jest to możliwe, ale spotkanie jak najbardziej. Z częścią tego chóru kiedyś przypadkowo spotkałem się we Frankfurcie.

Równie głęboko w pamięci pozostało mi wystąpienie Artura Rubinsteina jeszcze w sali kameralnej Filharmonii Zielonogórskiej pod koniec lat 70.

Niespodziewane trudności na przejściu granicznym na Cyprze

Wracaliśmy z żoną Elżbietą z Cypru. Byliśmy mocno poddenerwowani, bo przelot do Frankfurtu nad Menem był bardzo opóźniony, a stamtąd mieliśmy bezpośrednie połączenie do Berlina.

Podczas odprawy celnej ja stanąłem w jednej kolejce, żona zajęła miejsce w drugiej. W pewnej chwili usłyszałem, że celnik wezwał tłumacza. Po chwili zjawiała się kobieta, która z urody przypominała mi Rosjankę. Jej zadaniem było przetłumaczyć to, co usiłowała powiedzieć celnikowi moja żona. Podszedłem do kobiety i stwierdziłem zdecydowanym głosem, że ja będę tłumaczyć. Powiedziałem celnikowi, że Elżbieta jest moją żoną, która jest bardzo zmęczona, ponieważ od ponad dziesięciu godzin jesteśmy w podróży. Dodatkowo jesteśmy spóźnieni na bezpośrednie połączenie do Berlina, gdzie czeka na nas samochód, którym mamy dotrzeć do Polski. Te zdecydowane słowa, choć prawdopodobnie wypowiedziane niepoprawnie, przekonały celnika i przepuścił Elżbietę. Wyglądała źle, była nie tylko zmęczona, ale też przestraszona. Spokojnie udaliśmy się do kolejnej sali odpraw, a następnie, zgodnie z planem, przylecieliśmy do Berlina, a stamtąd pojechaliśmy do kraju. Żona wielokrotnie powtarzała: „Co mnie podkuśiło, że stanęłam w drugiej kolejce? Nigdy przecież tak nie było”. Ja przypuszczałem, że celnik mógł założyć, iż skoro Elżbieta wracała z Cypru, to mogła być chora i konieczna jest kwarantanna.

Przyjaźń ze Zbyszkim Piwońskim – senatorem RP

W wieku dojrzałym miałem zawsze dużo znajomych, kolegów i przyjaciół. Jednak szczególna przyjaźń łączyła mnie ze Zbyszkim Piwońskim, nauczycielem, dyrektorem szkoły, kuratorem, wojewodą zielonogórskim, a w ostatnich latach senatorem. Nie mieliśmy żadnych zależności zawodowych – łączyła nas wrażliwość na sprawy społeczne, światopogląd i miłość do muzyki, szczególnie klasycznej.

Pierwsze lata bliższej znajomości upłynęły na częstych wyjazdach do Warszawy na posiedzenia sejm i senatu, najczęściej w tym samym wagonie sypialnym i w tym samym przedziale. Po kilku latach dołączyła do nas Jolanta Danielak, senator. Przed położeniem się do łóżek tradycyjnie wypijaliśmy po jednej puszcze piwa (aprowizacją zajmowała się nasza młodsza koleżanka). Na ogół wieczorna rozmowa i zapewne piwo sprzyjały temu, że spokojnie spaliśmy. Rano musieliśmy być wypoczęci, od rana każdy z nas miał określone obowiązki w sejmie albo w senacie: posiedzenia plenarne, posiedzenia komisji, podkomisji,

a niekiedy posiedzenia klubu parlamentarnego Sojuszu Lewicy Demokratycznej, do którego należeliśmy wszyscy troje. Często wspólnie rozwiązyaliśmy wiele spraw lub podejmowaliśmy wspólne działania, jak np. w kwestii utworzenia województwa lubuskiego czy uzyskania przez Wyższą Szkołę Inżynierską statusu Politechniki Zielonogórskiej, a następnie powołania Uniwersytetu Zielonogórskiego. Rzadko kiedy była możliwość organizowania spotkań towarzyskich. Zbyszko już wówczas był dla mnie bardzo bliskim przyjacielem, rozumieliśmy się w bardzo wielu sprawach, wydaje mi się, że nawet mieliśmy podobne charaktery. Zbyszko zawsze był odpowiedzialny, poważny i rozważny oraz konsekwentny w działaniu. Niekiedy użyczał mi gościny w pokoju poselskim, podczas gdy ja swój pokój udostępniałem osobom z Zielonej Góry, które opiekowały się chorymi leczonymi w Warszawie.

W Zielonej Górze bardzo często spotykaliśmy się w naszych biurach poselskich, załatwiając różne sprawy mieszkańców. Bywaliśmy często w kawiarni, omawiając różne sprawy służbowe i prywatne. Zwykle zamawialiśmy kawę, jakieś ciasteczko i niekiedy lampkę wina. Najczęściej dyskutowaliśmy o muzyce, o najbliższych koncertach. Pewnego razu w jednym z zielonogórskich biuletynów zostały przedstawione nasze życiorysy i nasza przyjaźń. Sądzę, że załączone tam zdjęcia nie wymagają komentarza. Poza częstym uczestnictwem w koncertach symfonicznych braliśmy także udział w wernisażach organizowanych przez Muzeum Ziemi Lubuskiej, w koncertach folklorystycznych, w spotkaniach z różnymi stowarzyszeniami. Najmilsze były dla nas spotkania z Bukowińczykami organizowane najczęściej na terenie ich siedziby w Muzeum Etnograficznym w Ochli. Zwykle na miejsce dojeżdżaliśmy autobusem, a wracaliśmy taksówką, nierzadko z tym samym kierowcą. Kiedyś nawet zażartował, że „Panowie to takie papużki nierozłączki”, co było bardzo miłe. Innym razem znacznie później wracaliśmy z koncertu, bowiem uczestniczyliśmy w spotkaniu w gabinecie dyrektora Filharmonii Zielonogórskiej uświetniającym wirtuozów wysłuchanych koncertów lub dyrygentów z kraju lub zza granicy. Ku zaskoczeniu usłyszeliśmy pełen wyrzutu głos „naszego” taksówkarza: „Panowie, czekam i czekam, a was nie ma”. Gdy stan zdrowia Zbyszka zaczął się pogarszać, na koncertach bywałem sam, zawsze jednak następnego dnia składałem przyjacielowi dokładną relację z programu koncertu i z wrażeń, które sam odniosłem. Po jednym z takich koncertów taksówkarz zapytał z troską: „A gdzie druga papużka?”. Odpowiedziałem, że przyjaciel źle się czuł i został w domu.

Stan zdrowia przyjaciela stale się pogarszał. Byłem z nim w ciągłym kontakcie telefonicznym. Zbyszko był człowiekiem bardzo twardym i rzadko prosił o jakąkolwiek pomoc, samodzielnie prowadził gospodarstwo domowe. Pewnego razu poinformował mnie: „Myślałem, że już nie wrócę do domu z targowiska”. Wystraszyły mnie te słowa, podjąłem więc zdecydowane działania. Bardzo

szybko udało mi się załatwić sprawę umieszczenia Zbyszka w Hospicjum Świętego Józefa na Zaciszu. Otrzymał ode mnie formularz, który wypełnił i podpisał. W najbliższych dniach miał być przyjęty do hospicjum, niestety, było już za późno. 2 sierpnia 2022 r. żegnałem Zbyszka Piwońskiego, idąc w kondukcje pogrzebowym wraz z rodziną i setkami jego najbliższych kolegów, przyjaciół i przedstawicieli władz państwowych oraz samorządowych. Myślę, że Zbyszko pozostał żywy nie tylko w mojej pamięci.

Część IX

Ciekawe zdarzenia z mojego życia i pracy

Uczestnictwo w Kongresie RiLEM

Starannie przygotowałem swój referat, możliwie dokładnie i szczegółowo przedstawiłem wpływ zjawisk reologicznych na stany naprężenia w przekrojach zespolonych. Ponieważ moja znajomość języka francuskiego była dość ograniczona, poprosiłem jednego z lektorów języka francuskiego o przetłumaczenie tekstu. Po przyjeździe do Liège od razu poprosiłem dobrze mi już znanego kierownika laboratorium o przejrzenie tekstu mojego wystąpienia. Ledwo spojrzął na tekst, zaczął się uśmiechać, a następnie śmiać. Byłem zaskoczony i zdziwiony. Po chwili wyjaśnił mi powody swojego rozbawienia: użyte w tytule słowo *acouplé* jest zupełnie niepoprawne, oznacza bowiem wyłącznie zespolenie płciowe, powinno się zatem użyć słów *composés* lub *mixtes*. Natychmiast naniósłem poprawki. Kilkuminutowe wygłoszenie przeze mnie referatu nie wzbudziło większego zainteresowania, choć zostało przyjęte pozytywnie. Znacznie później przedstawiałem swoim koleżankom i kolegom tę sytuację i ktoś żartobliwie stwierdził: „Wielka szkoda, że nastąpiła ta zmiana, bo gdybyś w czasie wystąpienia użył słowa *acouplés* zapewne zdecydowana większość słuchaczy uśmiełaby się serdecznie i przeszedłbyś do historii kongresu jako twórca »Konstrukcji zespolonych płciowo«, a tak twoje wystąpienie przeszło bez echa”.

Kontrola graniczna

Przed rozpoczęciem kolejnego roku akademickiego przyjechałem wraz z rodziną samochodem do Algierii. Z tej podróży dwa wydarzenia szczególne utkwiły mi w pamięci.

Pierwsze dotyczy przekraczania granicy marokańsko-algierskiej, gdzie algierski celnik zdecydował o przeprowadzeniu kompleksowej rewizji samochodu. Zgodnie z jego poleceniem wysiedliśmy i wszystkie znajdujące się w samochodzie rzeczy przenieśliśmy do pomieszczenia w urzędzie celnym

oddalonym o jakieś 15 metrów od miejsca naszego postoju. Było tego sporo, bo byliśmy przygotowani na turystykę i campingowe przebywanie w niektórych miastach. Wyjąłem nawet miskę, czym celnik wyraźnie się zdenerwował, mówiąc, że miskę mogłem sobie darować i przystąpił do przeglądu całego samochodu. Musieliśmy podnieść tylne siedzenie, pod którym nie było niczego poza kilkoma śmieciami i zagubionym bilonem. Zbadał bagażnik, prosił o podniesienie zapasowego koła, sprawdził oponę, a potem specjalnymi igłami nakłuiwał wewnętrzną stronę wszystkich drzwi w samochodzie. Nietknięte pozostawił jedynie rzeczy położone na dywaniku przed przednim siedzeniem pasażera, gdzie stał koszyk z jedzeniem i 5-litrowy baniak w połowie wypełniony cieczą w kolorze herbaty. Miał już go sprawdzać, ale machnął ręką, zdenerwowany, że nic nie znalazł. Zarządził, byśmy wnieśli wszystko z powrotem do samochodu. Żona odpoczywała, a my układaliśmy rzeczy w konkretnej kolejności, o której decydował mój syn Tomek, dbając, aby po wszystkim można było swobodnie domknąć klapę bagażnika. Trochę zmęczeni zakończyliśmy pakowanie, otrzymaliśmy dokumenty samochodu oraz paszporty i spokojnie odjechalismy. To opowiadanie może nie jest ciekawe, ale puenta jest zaskakująca. Celnik był bardzo skrupulatny, ale przeoczył to, co mogło być skonfiskowane. Na podłodze było ułożonych kilka, może siedem albo osiem czasopism erotycznych, które młodzież otrzymała od przypadkowo poznanego Polaka w Paryżu. W baniaku z kolei nie było herbaty, ale whisky. Żadnej z tych rzeczy do Algierii wwozić nie było wolno. Do tej pory nie wiem, czy to my mieliśmy ogromne szczęście, czy on wielkiego pecha?

Spokojnie jechaliśmy do Oranu, a ponieważ była dość późna godzina, po drodze kupiliśmy potrzebne artykuły spożywcze, żeby w mieszkaniu zorganizować posiłek. Po kilku dniach spędzonych w Oranie młodzież postanowiła sprzedać te czasopisma i pojechaliśmy na wielki bazar. Rozdzielili te czasopisma między sobą, a ja z bezpiecznej odległości ich asekurowałem. Zaczęli wymachiwać magazynami, wzbudzając spore zainteresowanie. Pisma sprzedawały się dosłownie w minutę, a my szybko opuściliśmy bazar, bo było to niebezpieczne. Alkohol zaś przez długi czas był wykorzystywany dla uświetnienia różnych uroczystości.

Trudny egzamin

Gdy po raz pierwszy odwiedziłem dom rodziców mojej przyszłej małżonki Marylki, najbardziej aktywny w zadawaniu pytań był jej młodszy brat, Piotrek. Kilkunastoletni chłopak poza nauką bardzo interesował się sportem, szczególnie pływaniem. Zapytał więc od razu, czy uprawiam jakąś dyscyplinę i czy mam w niej osiągnięcia, jaka jest moja ocena polskiej piłki nożnej i tak dalej. Odparłem,

że przede wszystkim uprawiałem lekkoatletykę, grałem w piłkę nożną, w koszykówkę, nieobca była mi gimnastyka. On zapytał, co ja właściwie potrafię. Odpowiedziałem, że skakałem wzwyż, uprawiałem pięciobój lekkoatletyczny, podając mu swoje wyniki. Moje odpowiedzi ewidentnie go nie zadowolily. Znow zadal mi pytanie: „A co pan teraz potrafi wykonać, tu w mieszkaniu?”. Odpowiedziałem, że mógłbym pokazać pady na jedną rękę z pozycji stojącej. Zdziwił się i poprosił, abym wykonał ćwiczenie. Na dwie ręce to sprawa łatwa, ale pad na jedną wymaga trochę koncentracji i rozruchu fizycznego. Po ćwiczeniu zaznaczyłem, żeby on tego nie robił, bo trzeba być odpowiednio przygotowanym. Kolejne było salto, które wolałem zrobić już na zewnątrz. Było na tyle dobrze wykonane, że Piotr do dzisiaj je wspomina. Potem przeszliśmy na tematy sportowe, m.in. w kwestii mojej oceny sytuacji Arki Gdynia i Lechii Gdańsk, ale to wciąż było dla niego za mało i nadal mnie wypytywał, co potrafię. Powiedziałem, że dużo grałem w brydża, a w szachy miałem nawet kategorię trzecią. To go bardzo zainteresowało i zaproponował rozgrywkę. Przeszliśmy do jego pokoju, on miał grać przy wsparciu ciotki, mnie miała towarzyszyć Marylka. Piotr domagał się handicapu, więc stwierdziłem, że będę grał w ciemno. Tym razem wpadł w osłupienie: „Jak to? Bez szachownicy i figur?”. Odparłem: „Siadę tyłem do szachownicy, pozycje poszczególnych figur będę podawać zgodnie ze współrzędnymi od A do H i od 1 do 8”. Rozpoczęliśmy grę. Ponieważ rzadko grałem w szachy w ciemno, a tym razem jeszcze w takim napięciu, postanowiłem przyjąć taktykę polegającą na szybkim uproszczeniu sytuacji. Inaczej mówiąc, im mniej figur na szachownicy, tym łatwiej to zapamiętać. Mnie przypadło pierwszeństwo rozpoczęcia gry, więc zaproponowałem gambit hetmański. Oni wzajemnie się konsultowali, a ja w myślach rozpatrywałem zmianę pozycji poszczególnych figur szachowych, zmierzając do uproszczenia sytuacji na szachownicy. Chyba po dziewięciu ruchach wyczułem, że mam lepszą pozycję, ale do wygranej było daleko. Ku mojemu zadowoleniu z ich strony padła propozycja remisu, który przyjąłem bez zastanowienia. Wszyscy byli zadowoleni. Zaakceptowanie mojej osoby jako kandydata na męża siostry zostało zdobyte. Zdałem trudny egzamin...

Pożegnanie stanu kawalerskiego

Przed ślubem kościelnym, a było to w Wielki Piątek, przyszły teść zwrócił się do mnie niemal z pretensją, że nie organizuję pożegnania stanu kawalerskiego. Rzeczywiście o tym nie myślałem, ale powiedziałem, że jestem gotów takie pożegnanie zorganizować.

W tym dniu dołączył do nas wujek ze strony mojej przyszłej żony i we trójkę poszliśmy do restauracji. Zamówiłem pierwszą kolejkę alkoholu oraz jakieś

przekąski. Wypiliśmy drugą kolejkę i teść z wujkiem zasugerowali trzecią. Zgodziłem się i postanowiłem uregulować rachunek. Mój przyszły teść powiedział, że zagramy w „marynarza” i na kogo wypadnie, ten płaci. Nie wiem, jak to się stało, ale wypadło na wujka. Zapłacił, a teść powiedział do mnie: „Słuchaj, a ty nic przecież nie postawiłeś?”. Zrobiło mi się gorąco. Nie miałem ochoty już więcej pić, ale musiałem zamówić następną kolejkę. Gdy chciałem za nią zapłacić, teść ponownie zaproponował grę w „marynarza” i tym razem padło na niego. Za każdym razem on liczył, a ja znacznie później się zorientowałem, że niezależnie od liczby podniesionych palców zawsze było wiadomo, na kogo trafi – trzeba było tylko wiedzieć, od kogo zacząć liczyć. Za następną kolejkę już zapłaciłem i spokojnie wyszliśmy z lokalu. Czułem się dobrze, choć wiedziałem, że wypilem trochę za dużo, i obawiałem się, że skutki tego mogą wyjść znacznie później. Poprosiłem więc Piotrka, brata mojej przyszłej żony, o pomoc w załatwieniu jeszcze kilku spraw i przekazałem mu pieniądze. Czując, że nie jestem w najlepszej formie, postanowiłem nie wracać bezpośrednio do domu i usiadłem na ławce znajdującej się niedaleko domu mojej narzeczonej. Pogoda była ładna, dookoła spokój. Nie spodziewałem się, że Piotrek przekaze Marylce, iż odpoczywam na ławce w pobliskim skwerku. Narzeczona szybko się tam pojawiła i zrobiła mi awanturę. Oj, dostało mi się wtedy... Próbowałem jej wytłumaczyć, że naprawdę nie chciałem tyle wypić, że to nie w moim stylu, bo wołałem, aby mój umysł był niczym niezmacony. Nic to nie dało i bez sprzeciwów z mojej strony udaliśmy się do domu. Kilka godzin później Marylka już wiedziała, że winę za moją niedyspozycję ponosi wyłącznie jej ojciec i powiedziała mu o tym wprost. Nigdy więcej nie rozmawialiśmy z Marylką na ten temat.

Jak walczyłem z nałogiem palenia

„No zapal, zapal!” – powtarzał kilka razy mój kuzyn Roman, trzymając w rękę paczkę papierosów. Odmówiłem, a on się zdziwił: „Taki stary chłop i jeszcze nie zapaliłeś papierosa?” (byłem wówczas po maturze). Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że chyba nie, może jedynie w dzieciństwie. Jednak on był uparty i dalej nalegał, aż wreszcie zapaliłem pierwszego papierosa w życiu. Pamiętam, że wrażenie było nieprzyjemne, bo papieros zupełnie mi nie smakował, ale czułem się nieco dojrzały. Sytuacja z częstowaniem mnie papierosami powtarzała się coraz częściej, a ja cały czas uważałem, że nie jestem palaczem. Pewnego dnia postanowiłem już sam sobie kupować papierosy.

W pierwszym okresie paliłem niewiele, po kilka sztuk dziennie. Z biegiem lat jednak liczba wypalanych dziennie papierosów sukcesywnie się zwiększała: dziesięć, potem dwadzieścia, a nawet niekiedy nawet taka liczba nie była

wystarczająca. Wówczas już czułem się nałogowym palaczem. Co prawda, nie paliłem na czczo, w czasie spacerów, wycieczek czy niedzielnego odpoczynku, ale gdy siadałem do biurka i miałem pracować, to papieros był nieodzowny. Byłem przekonany, że bez papierosa nie potrafię już myśleć.

Postanowiłem jednak skończyć z tym nałogiem, ale nie było to takie łatwe. Dobrą okazją był moment, gdy zachorowałem na anginę. Odstawiłem papierosy na czas choroby, nie paliłem także, gdy pojechaliśmy na tydzień na wieś, aby odpocząć. Niestety, po powrocie do miejsca pracy okazało się, że nie potrafię się skupić bez papierosa i nałóg wrócił. Wkrótce potem nadarzyła się kolejna okazja. Nazajutrz po jednej z wielu uroczystości rodzinnych odczułem niechęć do papierosów. Jak zwykle poszedłem do pracy i znów postanowiłem rozpocząć walkę z nałogiem. Wyciągnąłem niepełną już paczkę papierosów, stanąłem przed koszem na śmieci i z wielką zawziętością ją niszczyłem, kawałek po kawałku. Po wszystkich moje palce były żółte od tytoniu. Umyłem ręce i odświeżyłem twarz. Siadłem przy biurku, wyciągnąłem maleńki notesik i na pierwszej stronie napisałem: *Walka z nałogiem*. Potem dopisałem dzień, godzinę, nawet minutę. W tym notesiku zapisywałem najpierw co kilkanaście, potem co kilkadziesiąt minut, ile czasu już nie palę. Każdy dzień niepalenia był bardzo trudny, bo odczuwając niedobór nikotyny, musiałem wykonywać wszystkie obowiązki służbowe. Każdy następny dzień był coraz trudniejszy, ale ja trwałem w swoim postanowieniu, akcentując swego rodzaju cezury: 50 godzin niepalenia, 75 godzin niepalenia i tak dalej.

Pewnego dnia, prawdopodobnie był to piąty albo szósty dzień walki z nałogiem, ktoś z moich kolegów przyniósł test pozwalający na ocenę przygotowania studentów, szczególnie zagranicznych, do podjęcia studiów na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. Nie chciałem się poddać badaniu, ponieważ z moim obecnym stanie bałem się ewentualnej kompromitacji w otoczeniu moich współpracowników, nauczycieli akademickich. Oni nalegali jednak, że powinienem bezwzględnie wykonać test, bo przynajmniej poznam poziom własnego umysłu. Jeden z nich (ten, który wiedział o tym, że jestem w okresie walki z nałogiem) zażartował, że jeżeli wynik będzie kompromitujący, to oni go utajnią. Nastrój był przyjemny, postanowiłem przystąpić do tego sprawdzianu wraz z czterema innymi kolegami, przy czym ja byłem najstarszy. Byłem bardzo skoncentrowany i w rezultacie wygrałem, uzyskałem bowiem 54 punkty na 57 możliwych, podczas gdy pozostali koledzy mieli nieco mniej.

Ten sprawdzian upewnił mnie, że bez palenia mogę logicznie myśleć i skutecznie pracować, ale walka z nałogiem trwała. Chęć zapalenia papierosa pojawiała się bardzo często, a ja w takiej chwili wyciągałem swój kalendarzyk i dopisywałem kolejne minuty niepalenia, świętując kolejne szczególne, jak je sam nazywałem, „jubileusze”, na przykład kolejne 100 godzin.

Wydawało mi się, że będzie już coraz łatwiej pracować bez papierosa. Niestety, pewnego dnia dopadł mnie kryzys – był to dziesiąty dzień walki z nałogiem. Brak nikotyny w organizmie odczułem bardzo wyraźnie przy przygotowywaniu się do kolejnych zajęć dydaktycznych. Spojrzałem na swój notesik, na te wszystkie zapisy i już chciałem napisać *A jednak przegrałem*, ale postanowiłem najpierw powiedzieć o tym mojej żonie, Marylce. Kiedy dotarłem do domu, okazało się, że Marylka jest w towarzystwie koleżanki, Krystyny. Rozmawiały przy kawie i papierosie. To nie był dobry moment na informacje o mojej porażce i na zapytanie żony: „Po co przyszedłeś?” odpowiedziałem „Chciałem się trochę odprężyć i przy okazji coś zabrać”. Poszedłem do drugiego pokoju, zdjąłem buty i położyłem się na tapczanie. Rytmiczne i głębokie oddechy złagodziły mój stres. Przeżywałem swoją porażkę, ale jednocześnie nie mogłem przyjąć tego do swojej świadomości. Panie nadal rozmawiały w sąsiednim pokoju i nic nie wskazywało na to, że szybko zakończą spotkanie. Nagle w moim organizmie nastąpiło coś niezwykłego, wyraźnie poczułem przełom. Nie miałem chęci do palenia, nie odczuwałem braku nikotyny. Byłem absolutnie przekonany, że w tej właśnie chwili, dość niespodziewanie, wygrałem ze swoim nałogiem. Wstałem z tapczanu, poinformowałem obie panie, że wychodzę i wróciłem na uczelnię.

W drodze do pracy czułem, że były to godziny mojego triumfu. W pracy czułem się dobrze, jakbym nie przechodził żadnego kryzysu. Pracowało mi się lekko i swobodnie, nie odczuwałem nikotynowego niepokoj.

O tym, że porzuciłem palenie, powiadomiłem żonę dopiero wieczorem, podczas rozmowy we dwoje. Wprawdzie od czasu do czasu wracała chęć zapalenia papierosa, ale nigdy nie było to koniecznością. Postanowiłem do nałogu nigdy nie wracać i gdyby ktoś zmusił mnie do palenia, to prędzej tego papierosa zjem, niż zapalę – nie mogłem przecież zmarnować tego wielkiego życiowego sukcesu.

W późniejszym okresie zauważyłem, że piję trochę za dużo kawy – zwykle dwie lub trzy filiżanki dziennie. Podczas pracy na biurku zawsze musiała być kawa i obawiałem się, że i z tym nałogiem walka nie będzie łatwa. Jednak już po trzech dniach udało mi się opanować tę potrzebę, a pragnienie zaspokajałem wypiciem niewielkiej ilości wody.

Zagubiony paszport studentki

Z ramienia Wydziału Budownictwa Politechniki Poznańskiej byłem opiekunem grupy studentów radzieckich, którzy przyjechali z uczelni leningradzkiej w ramach wymiany studentów. Realizacja programu przebiegała sprawnie, zdarzył się jednak przypadek, który zaburzył nasz spokój.

Jednej ze studentek ukradziono paszport. W tamtych czasach takie wydarzenie było traktowane niezwykle poważnie. Dziewczyna wpadła w rozpacz, ponieważ według prawa radzieckiego osoba, która utraciła paszport, powinna natychmiast wrócić do kraju, a ona nie wyobrażała sobie samodzielnego powrotu. Do końca pobytu pozostały im zaledwie trzy dni, należało podjąć jakieś działania. Poinformowałem dziekana o incydencie i poprosiłem o potwierdzenie pełnomocnictwa sprawowania opieki nad grupą. Postanowiłem skontaktować się bezpośrednio z urzędującym w Poznaniu konsulem Związku Radzieckiego. Zadzwoiłem do sekretariatu konsulatu i poinformowałem sekretarkę, że mam bardzo ważną sprawę, którą niezwłocznie muszę przekazać konsulowi, i poprosiłem o wyznaczenie terminu spotkania. Było to już w godzinach popołudniowych, więc spotkanie wyznaczono na następnego dnia. Poinformowałem grupę o przewidywanym spotkaniu, na które miałem się udać w towarzystwie opiekunki oraz studentki. Ustaliliśmy, że rozmowę wprowadzić przeprowadzę sam, ale konsul może sobie zażyczyć bezpośredniego kontaktu z opiekunką i studentką.

Z konsulem miałem już okazję spotkać się wcześniej podczas jednej z uroczystości. Przedstawiłem mu sprawę, w połowie po rosyjsku, w połowie po polsku. Zareagował bardzo jednoznacznie, stwierdzając, że z pewnością dziewczyna zgubiła ten paszport. Podtrzymałem wersję, że został on ukradziony. „W jaki sposób?” – zapytał konsul. Odpowiedziałem, że nie wiemy i poprosiłem go, aby studentka mogła jeszcze pozostać te trzy dni w Polsce i wrócić do Leningradu już razem z grupą. Konsul przejrzał przyniesione przede mną dokumenty: mój dowód osobisty, pełnomocnictwo dziekana w sprawie opieki nad grupą oraz wszystkie dane osobowe tej studentki, przez nią osobiście spisane. Długo się namyślał, ale ostatecznie przychylił się do mojej prośby. Warunkiem było wystawienie zastępczego dokumentu tożsamości. Od razu poinformowałem o tym opiekunkę grupy oraz studentkę, które z niecierpliwością czekały na mój powrót. Po przekazaniu pozytywnej decyzji konsula dziewczyna, płacząc z radości, rzuciła mi się na szyję. Chyba nigdy nie zostałem tak serdecznie wyściskany.

Na drugi dzień dokument był gotowy. W podziękowaniu otrzymałem piękny bukiet kwiatów, który przekazałem swojej żonie. Harmonogram ostatnich dni pobytu studentów był nieco zmieniony, a na zakończeniu pożegnałem ich na dworcu głównym w Poznaniu.

Na piwie ze studentami niemieckimi

Byłem opiekunem grupy studentów niemieckich. Przyjechali z Cottbus w ramach programu ich pobytu przewidziałem m.in. pójście do piwiarni. Miała to być niespodzianka. Po złożeniu tej propozycji, że po południu pójdziemy do

Bierhalle, zauważyłem entuzjazm wśród studentów. Co uważałem za naturalne. Było nas 11-12 osób. Wybrałem lokal, gdzie młodzież studencka zazwyczaj się spotykała przy winie lub piwie. Poinformowałem ich, że ja stawiam i zamówiłem dla wszystkich piwo. Oczywiście płaciłem ze swoich środków, bo przecież nie mogłem tego wydatku rozliczyć z pieniędzy uczelni. W czasie spożywania piwa, rozmowa stawała się coraz swobodniejsza. Studenci niemieccy się rozgadali a mnie łatwiej było mówić w ich języku. Kiedy pierwsza kolejka piwa się skończyła i chciałem zamówić drugą, studenci powiedzieli, że teraz oni stawiają. Trochę mi to ulżyło, chociaż byłem przygotowany na opłacenie wyższego rachunku. W czasie drugiej kolejki rozmowa była jeszcze bardziej swobodniejsza. Ja jednak się pilnowałem i piłem piwo bardzo wolno. Studenci to zauważyli. Znałem jednak swoje możliwości i stwierdziłem, że jedno piwo to dla mnie dużo. Z ich strony było trochę skrywanych uśmiechów i przytyków. Ocenilem, że oni mają ochotę na więcej. Jeden ze studentów zaproponował sprawdzenie stanu trzeźwości. Polegało to na tym, że trzeba było powtarzać zwrot trudny do wymówienia w języku niemieckim o następującej treści: „Fischers Fritz fischte, frische Fische, frische Fische fischte Fischers Fritz”. Oczywiście ja też musiałem się tej próbie poddać. Zaproponowany zwrot był mi znany. Studenci niemieccy po kolei wymawiali dany zwrot. Niektórym szło to dobrze, ale niektórym sprawiało to już kłopot. W pewnym momencie zwrócili się do mnie: – A teraz Herr Biliński. Zawsze byłem ambitny. Skoncentrowałem się i ku zaskoczeniu studentów zwrot wypowiedziałem szybko i poprawnie. Ocenili to jednoznacznie, że jestem zbyt trzeźwy i powinienem wypić tzw. karniaka czyli dodatkowe piwo. Ostatecznie jednak zgodzili się abym wypił pomału do końca drugie piwo. Studenci doskonale się bawili, a ja nawet nie zauważyłem, kiedy zamówili kolejną kolejkę. Ja oczywiście odmówiłem już picia. Po dwóch godzinach pobytu w pijalni piwa spokojnie wszyscy wrócili do akademika.

Bywali i tacy interesanci...

Pamiętam dwa przypadki interesantów w biurze poselskim, którzy w czasie mojego dyżuru podjęli próbę poproszenia mnie o drobną kwotę.

Jeden z nich prosił o drobne pieniądze na chleb i wędlinę. Dałem mu chyba 20 zł, mężczyzna podziękował i wyszedł. Po upływie jakiegoś czasu, miesiąca lub dwóch, zjawił się ponownie z tą samą prośbą. Na parterze biurowca, w którym znajdowało się biuro, był sklepik spożywczy. Poprosiłem, aby zaczął na korytarzu i powiedziałem, że zaraz zrobimy mu zakupy. Podziękował i wyszedł, a ja poprosiłem mojego asystenta, aby kupił kilka bułek, wędlinę i napój. Kiedy

asystent wrócił z zakupami, interesanta już nie było i więcej się nie pojawił. Mieliśmy po dyżurze skromną kolację...

W drugim przypadku również chodziło o drobną pożyczkę, ale z innego powodu. Pan, który przyszedł na dyżur, twierdził, że w Zielonej Górze go okradli i nie może kupić biletu na powrót do domu, a mieszkał – z tego, co pamiętam – w okolicach Wrocławia. Zapytałem, czy kradzież zgłosił policji. Zaprzeczył. Na pytanie, skąd wiedział o dyżurze poselskim, nie umiał udzielić odpowiedzi, ale przeprosił i dosłownie czmychnął z biura. Potem dowiedziałem się od innych parlamentarzystów, że im też zdarzały się takie przypadki wyłudzenia pieniędzy w czasie dyżurów.

Na podstawie swojego poselskiego doświadczenia uważam, że systematyczne dyżury w siedzibie posła i w terenie pomagały wielu mieszkańcom borykającym się z różnorakimi problemami, którzy z nadzieją pomocy przychodzili do posła, często jako do ostatniej instancji. To oczywiście potem przekładało się na głosy w kolejnych wyborach, ale wśród setek przyjętych interesantów zdarzały się także, choć bardzo rzadko, przypadki prośby o pomoc finansową.

Zaskakujący cel wizyty reporterów

Pewnego dnia otrzymałem dość niespodziewaną wiadomość, że na uczelnię (ówczesną Wyższą Szkołę Inżynierską) wybierają się z wizytą reporterzy z telewizji. Ściśle określili cel nagrania – rozwój uczelni, rozwój inwestycyjny i rozwój kadrowy. Tematy ważne. Do spotkania miałem trochę czasu, skonsultowałem jeszcze swoją wiedzę z kierownikami poszczególnych jednostek administracyjnych uczelni. Nie wiedziałem, co prawda, jaka to stacja telewizyjna, ale dla mnie istotne było, że interesuje ją zagadnienie rozwoju uczelni. Już wówczas mieliśmy na uwadze zdobycie statusu politechniki, wcześniej została wydana specjalna książeczka pt. *Droga do politechniki*, w której nie tylko został przedstawiony stan aktualny, ale również co uczelnia musi jeszcze osiągnąć. O umówionej godzinie zjawili się dwóch reporterów. Panowie rozstawili kamery, jupitery, rzucili kilka grzecznościowych słów powitania i oznajmili: „No to zaczynamy”. Ku mojemu zaskoczeniu jeden z reporterów, zamiast poruszać wcześniej zgłoszone tematy, w sposób nieco arogancki przedstawił niewłaściwe, jego zdaniem, rozwiązanie w konkretnej sprawie prywatnej. Niestety, nie znałem jej szczegółów. Z wypowiedzi wynikało, że jednemu z pracowników, magistrowi inżynierowi z Wydziału Mechanicznego, nie przyznano odpowiednich środków finansowych na realizację planowanych przez niego badań. Z prezentowanej przez reportera sprawy wynikało, że temat jest ciekawy, ale jego realizacja wymaga dużych nakładów na zakup sprzętu i urządzenie stanowiska badawczego. Nie znając

jednak sprawy, po ochłonięciu, udzieliłem odpowiedzi, podkreślając, że sprawa rozdziału funduszy na kwestie naukowe jest w gestii Rady Wydziału lub dyrekcji instytutu. Ja, jako rektor, w żadnym przypadku nie mam możliwości ingerencji i nawet nie zamierzałbym ingerować. „Przecież pan jako rektor za wszystko odpowiada i to pan powinien podejmować wszelkie decyzje” – odezwał się drugi reporter. Od tego momentu byłem już pewny siebie. Powiedziałem: „Panie redaktorze, proponuje pan anarchię? To tak mają wyglądać nowe czasy?”. Był tym wyraźnie zaskoczony i zarzucił mi brak znajomości sprawy. Poinformowałem go, zgodnie z prawdą, że pracownik nie zwrócił się do mnie z prośbą i sprawę poznałem dopiero podczas tego wywiadu. Zorientowałem się, że wywiad nie poszedł po myśli obu reporterów. Ja także nie byłem zadowolony, bo przygotowałem się na rozmowę o rozwoju uczelni, a rozmowę zdominowała indywidualna sprawa. Nie wiem nawet, czy ten reportaż się kiedykolwiek ukazał.

Jubileusz 80-lecia życia w opinii mojego środowiska

Mile wspominam artykuł okolicznościowy autorstwa Jakuba Marcinowskiego – wówczas dziekana Wydziału Inżynierii Lądowej i Środowiska Uniwersytetu Zielonogórskiego z okazji ukończenia przeze mnie 80 lat, zamieszczony w naszym miesięczniku akademickim z grudnia 2012 r. Pan dziekan sprawił mi tym ogromną przyjemność, podobnie jak mój przyjaciel – senator Zbyszko Piwoński. Oba teksty postanowiłem zamieścić w swoich wspomnieniach.

Jakub Marcinowski – dziekan Wydziału Inżynierii Lądowej i Środowiska

Dostojny jubileusz osiemdziesięciolecia urodzin jest okazją do złożenia gratulacji oraz publicznego wyrażenia uznania dla osiągnięć dostojnego Jubilata prof. Tadeusza Bilińskiego i taki charakter ma ten krótki tekst okolicznościowy.

Należę do osób, które prof. Tadeusza Bilińskiego znają relatywnie krótko. Dostojnego Jubilata poznałem w maju 2002 r. podczas wizyty rekonesansowej w Zielonej Górze. Z osób, które poznałem podczas tamtej pamiętnej wizyty, prof. Biliński sprawiał zdecydowanie najsympatyczniejsze wrażenie, a argumentacja, jaka padała z Jego ust, była na tyle przekonująca, że podjąłem znamienne w skutki decyzję rozstania z Wrocławiem i przeniesienia się wraz z rodziną do Zielonej Góry. To prof. Tadeusz Biliński był siłą sprawczą (spirytus movens) mego przejścia do Zielonej Góry, czym zaskarbił sobie moją wielką wdzięczność.

Profesora poznałem bliżej w kolejnych latach mej pracy na Wydziale. Dowiedziałem się o wielokadencyjnych doświadczeniach parlamentarnych Profesora, poznałem osobę o rzadko spotykanej współcześnie kulturze osobistej, dystygowaną w każdym calu i w każdym aspekcie relacji międzyludzkich, a jednocześnie niezwykle ciepłą, uczynną, obdarzoną specyficznym poczuciem humoru i darzącą wielkim szacunkiem płęć piękną. Ubolewał, i w tym byliśmy zawsze zgodni, nad upadkiem dobrych obyczajów wśród studentów, ale i wśród pracowników. W wielu rozmowach dawał temu wyraz i sugerował, by tymi sprawami zajęły się stosowne gremia na Wydziale. Nie wiem, czy kiedykolwiek Profesor pobierał nauki w zakresie retoryki, ale wiem, że w tej trudnej sztuce osiągnął prawdziwe mistrzostwo. Wspaniała polszczyzna, idealna dykcja, swoboda, z jaką przemawiał w różnych okolicznościach, tylko delikatnie podkreślana subtelną gestykulacją, charakterystyczna intonacja, wszystko to stawia Profesora w pierwszym rzędzie wszystkich mistrzów mowy polskiej, z którymi kiedykolwiek miałem możliwość spotkać się osobiście.

Profesor Biliński był politykiem i to **Politykiem** dużego formatu. Politycy, którzy w ostatnich latach zdominowali ławy rządowe i wypełnili izby poselskie i senatorskie Rzeczypospolitej, sprawili, że słowa **polityk**, **polityka** nabrały zdecydowanie negatywnej czy wręcz pejoratywnej konotacji. Ten trend mogłyby odwrócić jedynie postaci formatu prof. Bilińskiego. Wielka szkoda, że takich Polityków już się prawie nie spotyka.

W środowisku naukowym branży budowlanej Zielona Góra jest kojarzona z dwiema ogólnopolskimi konferencjami cyklicznymi: pierwsza to **Konstrukcje zespolone**, druga to **Renowacje budynków i modernizacja obszarów zabudowanych**. Obie zapoczątkował prof. Biliński i obie można zaliczyć do pomników, jakie wystawił sobie Pan Profesor podczas ciągle jeszcze bardzo aktywnego życia zawodowego.

Te kilka zdań poświęconych Jubilatowi zakończę cytatem ze znanej piosenki Jonasz Kofty i Jana Pietrzaka. Cytatem, którym Profesor zwykł kończyć swe referaty na cyklicznej konferencji **Renowacja budynków i modernizacja obszarów zabudowanych**, referaty, w których eksponował rolę zieleni w przestrzeni zabudowanej:

„Pamiętajcie o ogrodach
Przecież stamtąd przyszliście
W żar epoki użyć wam chłodu
Tylko drzewa, tylko liście
Pamiętajcie o ogrodach
Czy tak trudno być poetą
W żar epoki nie użyć wam chłodu
Żaden schron, żaden beton”.

Szanowny Panie Profesorze, w imieniu społeczności akademickiej Wydziału Inżynierii Lądowej i Środowiska Uniwersytetu Zielonogórskiego gratuluję serdecznie

wspaniałego jubileuszu i życzę dalszych wielu lat życia wypełnionego aktywnością zawodową i ciągłym kontaktem z Wydziałem, który Pan Profesor przed laty współtworzył. Dziękuję za wsparcie i cenne rady, na które zawsze mogłem liczyć w okresie sprawowania funkcji Dziekana.

Co do prezentu stosownego do tak dostojnego jubileuszu, to marzy mi się jeden, który, mam nadzieję, wkrótce będę mógł wręczyć Panu Profesorowi. To decyzja Centralnej Komisji dotycząca uprawnień habilitowania; decyzja, o której Pan Profesor marzy od 1987 r. To wtedy Pan Profesor uzyskał pierwsze uprawnienia doktoryzowania w dyscyplinie budownictwo. Decyzja o uprawnieniach habilitowania w dyscyplinie budownictwo, na którą czekamy, byłaby najwspanialszym ukoronowaniem wieloletniej aktywności zawodowej Pana Profesora w środowisku akademickim Zielonej Góry.

Plurimos annos. Ad multos annos.

Zbyszko Piwoński – były wojewoda zielonogórski, senator RP III, IV i V kadencji

Profesor Tadeusz Biliński odegrał w moim życiu bardzo znaczącą rolę. W 1993 r., już jako doświadczony parlamentarzysta, zaprosił mnie na dłuższą rozmowę, w następstwie której zgłosiłem swój akces kandydowania do Senatu RP w zbliżających się wyborach. Tak się rozpoczęła nasza wieloletnia współpraca, którą bardzo sobie cenię.

W Sejmie prof. T. Biliński zajął się problemami, które dobrze znał jako wieloletni pracownik naukowy Wydziałów Budownictwa uczelni technicznych. Stąd jego stałe miejsce w Komisji Polityki Przestrzennej, Budowlanej i Mieszkaniowej, której przez trzy kadencje przewodniczył. Głęboka i wszechstronna wiedza oraz umiejętność kierowania zespołem ludzi sprawiły, że jako przewodniczący Komisji zdobył szybko wśród ogółu posłów powszechne uznanie i szacunek.

Szczególną wartością właściwą prof. T. Bilińskiemu jest to, że potrafi współpracować z ludźmi o krańcowo różnych poglądach politycznych i skłonić ich do współpracy merytorycznej nad wybranym zadaniem.

W swojej Komisji przestrzegał bardzo ważnej zasady, polegającej na utrzymaniu kontaktu z praktyką, co z pewnością gwarantowało większą poprawność stanowionego prawa. Następstwem tego były liczne kontakty z korporacjami urbanistów, architektów i budowlanych. Przysporzyło Mu to dodatkowych obowiązków. Był bardzo często zapraszany do udziału w gremiach konsultacyjnych i doradczych.

Będąc mocno zaabsorbowany pracą w Sejmie, nigdy nie zapominał o tych, którzy obdarzyli Go zaufaniem, i za sprawą których sprawował swój mandat poselski.

W czasie, kiedy przebywał w domu, organizował liczne spotkania z mieszkańcami miast i wsi regionu, połączone z dyżurami parlamentarnymi. Traktował to nie tylko jako obowiązek, ale i możliwość weryfikacji tego, co współtworzył i w czym

uczestniczył, z prozą codziennego życia. Z wielką wrażliwością odnosił się do spraw ludzkich, jakie poznawał w czasie dyżurów.

Bezradność wobec czasem nieuzasadnionych oczekiwań tych, którzy przychodzili na nasze dyżury, była często przedmiotem naszych rozmów – mieliśmy wspólne biuro parlamentarne, stąd stosunkowo często się spotykaliśmy.

Wspominając te lata naszej współpracy, chciałbym zachęcić przyszłych kandydatów na parlamentarzystów, ażeby zapoznali się z dorobkiem prof. T. Bilińskiego w tej dziedzinie działalności – byłaby to dla nich dobra i pożyteczna lekcja.

Chciałem podkreślić, że oprócz powyżej zamieszczonych wspomnień z okazji mojego Jubileuszu 80. urodzin w tym samym numerze uniwersyteckiego miesięcznika ukazał się obszerny wywiad Ewy Sapeńko pt. *Zostawiłem tu serce* oraz mój obszerny życiorys opracowany przez Marka Dankowskiego pt. *Jubileusz Profesora Tadeusza Bilińskiego*, na wstępie którego zamieszczono mój wiersz:

Zachód słońca
I człowiek w zadumie,
O czym myśli –
Sam nie wie.
O czym marzy –
Powiedzieć nie umie.
Ale czy to ważne,
Gdy człowiek w zadumie?

Streszczenie moich wspomnień

Im człowiek starszy, tym życie szybciej biegnie do końca. Tak, już dawno minęły 62 lata mojej pracy dydaktyczno-naukowej oraz 75 lat działalności społecznej, kulturalnej, sportowej, spółdzielczej, stowarzyszeniowej i politycznej.

W latach młodości przez blisko dwa lata śpiewałem w chórze Stefana Stuligrosza Poznańskie Słowiki, a przez kilka lat uprawiałem sport, głównie lekką atletykę w Akademickim Związku Sportowym Poznań, osiągając kilka lokalnych sukcesów.

W okresie pracy zawodowej byłem działaczem spółdzielczości mieszkaniowej, działałem w pracowniczej spółdzielni mieszkaniowej przy Politechnice Poznańskiej. Najpierw byłem przewodniczącym rady nadzorczej, a potem przez dwie kadencje prezesem spółdzielni. W późniejszych latach bardzo aktywnie współpracowałem z Centralnym Związkiem Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego, szczególnie za czasów Stanisława Kukuryki. Bardzo aktywnie

współdziałałem ze związkiem budowlanych w okresie prezesury przewodniczącego Zbigniewa Janowskiego. Otrzymałem od Budowlanych szczególne wyróżnienie – złoty kask z diamentem.

Przez dziesiątki lat działałem w Towarzystwie Naukowym Organizacji i Kierownictwa. Byłem najpierw przewodniczącym rady nadzorczej, a potem przez kilka lat przewodniczącym zarządu Oddziału Zielonogórskiego. Przez jedną kadencję pełniłem funkcję wiceprzewodniczącego Zarządu Głównego. Za całokształt działalności zostałem wyróżniony tytułem „Honorowy Członek TNOiK”.

W kolejnych latach zaangażowałem się wraz z zespołem w reaktywowanie przedwojennego stowarzyszenia Polskiego Towarzystwa Mieszkaniowego. Przez kilka kadencji byłem prezesem zarządu głównego, zostałem wyróżniony tytułem „Honorowego Prezes PTM”. Niemal w tym samym czasie wspólnie z innym zespołem powołaliśmy do życia towarzystwo Krajowy Ruch Mieszkaniowy.

Bardzo aktywnie działałem w Krajowej Izbie Projektowania Budowlanego, przewodniczyłem radzie programowej i byłem współorganizatorem wielu konferencji. Zostałem wyróżniony tytułem „Honorowy Członek”. Od początku lat 2000 zaangażowany byłem aktywnie w tworzenie Izb Inżynierów Budownictwa w kraju, szczególnie w powołaniu do życia Lubuskiej Okręgowej Izby Inżynierów Budownictwa. Za całokształt działalności zostałem wyróżniony tytułem „Przyjaciel Izby”. Również przez wiele lat współpracowałem i współpracuję nadal z Lubuską Izbą Budownictwa, byłem przewodniczącym jury konkursu „Mister Budowy”. Zostałem wyróżniony jako pierwszy w historii izby statuetką „Złota Kielnia”.

Szczyć się legitymacją Honorowego Dawcy Krwi – przez dziesiątki lat oddałem jej około pięciu litrów. Uczestniczyłem w wielu akcjach miejskich, uczelnianych, a co istotne, byłem rodzinnym dawcą krwi.

W ostatnich latach moja aktywność społeczna z roku na rok maleje, ale w dalszym ciągu czuję się związany ze środowiskiem uczelnianym, budowlanym oraz muzycznym. Chętnie, choć sporadycznie, kontaktuję się z pracownikami uczelni, uczestniczę w organizowanych konferencjach i uroczystościach uczelnianych. Nadal chodzę na koncerty symfoniczne, ale już nie tak często.

Przez wiele lat uczestniczyłem w uroczystościach państwowych: obchodach święta 1 Maja, 3 Maja, 8 Maja i 11 Listopada. Dawało mi to poczucie dobrze spełnionego obowiązku i dużej satysfakcji. Miałem możliwość spotkać się z moimi przyjaciółmi i znajomymi, porozmawiać o bieżących i przeszłych czasach.

W ostatnich latach czuję się coraz bardziej związany przyjaźnią z członkami Stowarzyszenia Pionierów Zielonej Góry, którego członkiem jestem od kilku lat. Uczestniczyłem we wszystkich ważnych wydarzeniach, spotkaniach noworocznych, spotkaniach wigilijnych, zebraniach sprawozdawczych i sprawozdawczo-wyborczych.



Od lewej siedzą: Teresa Tuliszka, Pelagia Szpilka, Wanda Skorulska (prezes SPZG), prof. Tadeusz Biliński, Maria Rosik, Janina Kolańska; stoją: Teresa Stompor, Edward Tuliszka, Irena Czechowska, Krystyna Łukaszewska, Leszek Pendasiuk (wiceprezes), Elżbieta Porbes, Elżbieta Hryszko, Roman Garbacik, Maria Waszkowska, Halina Bień, Ryszard Dyderski, Władysława Ciesielska, Wiesław Pyżewicz (zm. 6.05.2024). Fot. Mirosław Biliński

Zakończenie

Urodziłem się w 1932 r. w bardzo miłym miasteczku Trzemeszno, w województwie kujawsko-pomorskim. Miałem bardzo dobrych rodziców: ojciec Czesław, z zawodu zegarmistrz, i matka Anna, którą nawet w dorosłym życiu nazywałem kochaną mamuszką. Mieliśmy z siostrą Janiną i bratem Mieczysławem szczęśliwe, choć skromne dzieciństwo, które przerwała II wojna światowa. Ojciec został powołany do wojska, z obozu jenieckiego wrócił dopiero po trzech miesiącach, był zdrowy, ale bardzo wyniszczony. Szczęście jednak nie trwało długo, otrzymaliśmy bowiem nakaz natychmiastowego przesiedlenia do Generalnej Guberni. Najpierw był obóz przejściowy, a potem tułaczka: Garwolin k. Warszawy, Lublin, Garbatka k. Radomia, Częstochowa. Wiosną 1945 r., przed zakończeniem wojny, powróciliśmy do Trzemeszna. Rozpocząłem naukę w Gimnazjum i Liceum im. Jana Kilińskiego. Pierwszy rok nauki zaliczyłem w trybie nadzwyczajnym, kolejny już w trybie normalnym. W 1946 r. przeprowadziliśmy się do Poznania, gdzie mieszkało wielu naszych krewnych. Naukę kontynuowałem w Gimnazjum i Liceum Św. Marii Magdaleny, poza nauką dużo czasu poświęcałem kulturze i sportowi.

Po uzyskaniu matury zamierzałem podjąć studia na wymarzonym kierunku budownictwo w Wyższej Szkole Inżynierskiej. Niestety, ówczesne warunki przejmowania na studia sprawiły, że nie dostałem się za pierwszym razem. Przepracowałem rok jako robotnik na PKP i ponowiłem próbę, tym razem z powodzeniem. Studia nie sprawiały mi kłopotu, trochę czasu poświęcałem spotkaniom brydżowym, turniejom szachowym, a także, co dawało mi bardzo dużo przyjemności, niedzielnym porankom symfonicznym. Dopiero na studiach magisterskich ogarnęła mnie pasja nauki, a praca magisterska i egzamin oraz sugestia promotora doprowadziły do tego, że przystąpiłem do konkursu na aspiranturę stacjonarną.

W 1956 r. rozpocząłem karierę nauczyciela akademickiego. Miałem dużo obowiązków i wiele zajęć dydaktycznych, także tych dodatkowych. Dużo czasu poświęcałem studiowaniu literatury i kolejnemu kierunkowi studiów, czyli matematyce. Wiosną 1959 r. zawarłem związek małżeński z Marylką. Mimo iż początek budowania ogniska domowego był wymagający – zaczynaliśmy właściwie od zera w bardzo trudnych warunkach mieszkaniowych – nasz związek uważam za szczęśliwy i udany. W lipcu 1960 r. urodził się syn Mirosław,



Spotkanie rodzinne na Starym Rynku w Zielonej Górze. Od lewej: wnuczka Ania, syn Mirosław, synowa Małgorzata, ja, syn Tomasz, wnuk Krystian

a w grudniu 1961 r. syn Tomasz. Żona, której zawdzięczałem bardzo wiele, zmarła nagle w 1990 r. Z tą stratą nigdy się nie pogodziłem.

Pięć lat później ożeniłem się ponownie – z Elżbietą (zm. 2013). Było to dobre małżeństwo, ale nie tak szczęśliwe jak pierwsze. Coraz więcej czasu poświęcałem swojej pracy doktorskiej, którą złożyłem przed wakacjami 1964 r. Obrona pracy z przyczyn obiektywnych odbyła się dopiero na początku 1965 r., a ja jako pierwszy na Wydziale Budownictwa Politechniki Poznańskiej zdobyłem stopień doktora nauk technicznych. Dalsze studia doprowadziły do kolokwium habilitacyjnego, które odbyło się w listopadzie 1972 r. na Wydziale Budownictwa Politechniki Wrocławskiej. Tytuł profesora nadzwyczajnego otrzymałem na początku 1978 r., a profesora zwyczajnego w roku 1987. Prowadziłem zajęcia dydaktyczne z budownictwa ogólnego, konstrukcji sprężonych, fizyki budowli, konstrukcji zespolonych, budownictwa uprzemysłowionego oraz prawa budowlanego i podstaw inżynierii systemów. Mam na swoim koncie

blisko 300 publikacji naukowych, naukowo-technicznych i popularnonaukowych, w tym 30 monografii naukowych, książek, podręczników i skryptów. Bardzo dużo uwagi poświęcałem rozwojowi naukowemu współpracowników. Wypromowałem 11 doktorów oraz aktywnie współuczestniczyłem przy opracowywaniu wielu prac habilitacyjnych oraz wniosków o tytuł profesora nauk technicznych. Doprowadziłem do uzyskania przez Wydział Budownictwa i Inżynierii Środowiska praw doktoryzowania na kierunku budownictwo oraz aktywnie wspomagałem działania na rzecz uzyskania uprawnień habilitowania. Byłem inicjatorem i organizatorem pierwszych cyklicznie odbywających się konferencji *Konstrukcje zespolone, renowacja budynków i modernizacja obszarów zabudowanych*, które uzyskały pełną akceptację polskich środowisk naukowych, a co równie istotne, stanowiły wieloletni łącznik między zielonogórskim środowiskiem naukowym a innymi krajowymi ośrodkami naukowymi. Byłem na dwóch długoterminowych stażach naukowych w Belgii w 1972 i 1973 r. W latach 1982-1984 byłem na kontrakcie w Algierii na Uniwersytecie Nauk i Technologii w Oranie. Mimo korzystnych warunków i propozycji rektora tej uczelni, aby kontynuować współpracę, postanowiłem wrócić po dwóch latach do kraju, gdzie czekały na mnie wcześniej zaplanowane obowiązki. Niespodziewanie w 1985 r. zostałem najpierw kandydatem, a potem posłem na Sejm Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Przez pięć kolejnych kadencji byłem członkiem Komisji Polityki Przestrzennej, Budowlanej i Mieszkaniowej; przez jedną kadencję pełniłem obowiązki wiceprzewodniczącego, a przez dwie przewodniczącego komisji. Prowadziłem prawie 10 podkomisji do spraw rozpatrzenia projektów ustaw związanych szeroko z budownictwem.

Wielokrotnie uczestniczyłem w oficjalnych delegacjach zagranicznych sejmiku. Przewodniczącym delegacji był zawsze marszałek lub wicemarszałek sejmiku, a ja zawsze pełniłem funkcję wiceprzewodniczącego. Byłem przewodniczącym kilku delegacji zagranicznych Komisji Polityki Przestrzennej, Budowlanej i Mieszkaniowej. Byłem zastępcą, a następnie członkiem delegacji parlamentarnej do Zgromadzenia Parlamentarnej Rady Europy. Bardzo aktywnie uczestniczyłem w pracach sejmiku. Byłem członkiem założycielem partii Socjaldemokracja Rzeczypospolitej Polskiej, członkiem jej Rady Naczelnej oraz, przez dwie kadencje, przewodniczącym zarządu wojewódzkiego SdRP w Zielonej Górze. Ostatecznie na emeryturę przeszedłem w 2018 r., przepracowawszy 62 lata jako nauczyciel akademicki uczelni nie tylko krajowych, ale także zagranicznych.

Dorastałem w pięcioosobowej rodzinie w pełnym wzajemnym zrozumieniu i z wielkim szacunkiem do rodziców. W takiej atmosferze kształtowałem swoją osobowość, chęć do wzajemnej współpracy, do pracy dla innych. Zarówno podczas pracy na Politechnice Poznańskiej, jak i w Wyższej Szkole Inżynierskiej, a następnie na Politechnice Zielonogórskiej i Uniwersytecie Zielonogórskim,

tak ze zwierzchnikami, jak i podwładnymi zawsze łączyły mnie bardzo dobre kontakty. Dotyczyło to zarówno pracy dydaktycznej, naukowo-badawczej i administracyjno-organizacyjnej. Wspólnie, w mniejszych lub większych zespołach, prowadziliśmy zajęcia dydaktyczne, prace badawcze, realizowaliśmy programy rządowe, opracowywaliśmy publikacje oraz skrypty i podręczniki. Szczególnie istotne było to w okresie pełnienia przeze mnie zaszczytnej funkcji rektora Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze.

Wielokrotnie znalazłem uznanie dla swojej pracy i aktywności ze strony władz państwowych, samorządowych, związkowych, stowarzyszeń i organizacji oraz otrzymałem kilka tytułów honorowych. Najbardziej czuję się zaszczycony tymi ostatnimi wyróżnieniami: Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi za Długoletnią Służbę od prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, tytułem Honorowego Obywatela Miasta Zielona Góra nadanym przez Radę Miasta oraz Złotym Medalem za Zasługi dla Rozwoju Miasta Zielona Góra.

Moim wyzwaniem życiowym było zawsze *być użytecznym społeczeństwu* oraz *być życzliwym dla każdego człowieka*. Czy to wyzwanie spełniłem? Staralem się wykazać to w niniejszej książce. Życie miałem piękne, ale nie ominęły mnie tragedie i zmartwienia.

*Nie zawsze radości, nie zawsze zmartwienia
Nie zawsze dręczące człowieka zwątpienia
Ale na zawsze jest nam dane
Piękno istnienia.*

Bibliografia

- 45 lat kierunku budownictwo, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2014.
- Biliński T., *Organizacyjny, dydaktyczny i naukowy rozwój kierunku budownictwo na Wydziale Inżynierii Lądowej i środowiska Uniwersytetu Zielonogórskiego*, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2011.
- Biliński T., *Być użytecznym*, [w:] *Ale nam się wydarzyło. Wybory 4 czerwca 1989 roku na Ziemi Lubuskiej we wspomnieniach parlamentarzystów i opracowaniach*, red. M. Rusakiewicz i D.A. Rymer, Archiwum Państwowe w Gorzowie Wlkp., Fundacja „Zachodni Ośrodek Badań Społecznych i Ekonomicznych”, Gorzów Wlkp. 2014.
- Dereziński K., *Gmina Trzemeszno*, Urząd Miejski Trzemeszno 2002.
- Dolański D., *Zielonogórska droga do Uniwersytetu*, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2011.
- Dudek A., *Historia polityczna Polski 1989-2015*, Wydawnictwo Znak Horyzont, Kraków 2016.
- Dziesięciolecie pracy poselskiej prof. Tadeusza Bilińskiego, 1985-1995. Materiał Wyborczy*, Zielona Góra 1995.
- Honorowi obywatele miasta Zielona Góra w latach 1993-2023*, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2023.
- Jubileusz 80-lecia Profesora Tadeusza Bilińskiego*, „Uniwersytet Zielonogórski. Miesięcznik Społeczności Akademickiej” 2012-2013, nr 10/1(202-203).
- Kandydat na posła III kadencji prof. Tadeusz Biliński*, materiał wyborczy SLD, Zielona Góra 1997.
- Leśniewski A., *Trzemeszno. Upamiętnienie w 100-lecie Powstania Wielkopolskiego 1918/1919 w Trzemesznie*, www.trzemeszno.pl/upamietnienie-w-100-lecie-powstania-wielkopolskiego-19181919-w-trzemesznie.html [dostęp: 31.05.2024].
- Łuczak Cz., *Dzieje Trzemeszna*, Poznań 2002.
- Marcinowski J., *Konstrukcje stalowe, żelbetowe, zespolone? Tak, ale pamiętajcie o ogrodach...* i Piwoński Zb., *W oczach przyjaciół i współpracowników*, „Uniwersytet Zielonogórski. Miesięcznik Społeczności Akademickiej” 2012-2013, nr 10/1(202-203).
- Miłek M., *Droga do Politechniki Zielonogórskiej*, Wydawnictwo Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze, Zielona Góra 1996.
- Mrugalski M., *Profesorowie honorowi Uniwersytetu Zielonogórskiego*, „Uniwersytet Zielonogórski. Miesięcznik Społeczności Akademickiej” 2011, nr 7(282).
- Nowogóńska B., *Profesor Tadeusz Biliński – życie i osiągnięcia naukowe – laudacja*, „Uniwersytet Zielonogórski. Miesięcznik Społeczności Akademickiej” 2021, nr 7(282).

- Partie i koalicje polityczne III Rzeczypospolitej*, red. K.A. Paszkiewicz, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2004.
- Piasecki A.K., *Wybory w Polsce 1989-2011*, Wydawnictwo ARCANA, Kraków 2012.
- Piętnaście lat demokracji w Polsce*, Klub Parlamentarny SLD, Warszawa 2004.
- Problemy budownictwa. Księga pamiątkowa z okazji siedemdziesiątej rocznicy urodzin profesora Tadeusza Bilińskiego*, red. R. Świtka, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2003.
- Prof. Tadeusz Biliński Honorowym Obywatelem Zielonej Góry*, Serwis Informacyjny UZ z 29 sierpnia 2017 r.
- Prof. Tadeusz Biliński. Kandydat na posła do Sejmu*, Wojewódzki Program Wyborczy SLD „Zielonogórskie piękne, czyste i gospodarne”, Zielona Góra 1997.
- Profesor Tadeusz Biliński. 40 lat pracy naukowej i dydaktycznej*, Wydawnictwo Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze, Zielona Góra 1996.
- Profesor Tadeusz Biliński. 60 lat działalności naukowej, dydaktycznej, organizacyjnej, stowarzyszeniowej i sejmowej*, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2016.
- Who is who w Polsce. Encyklopedia biograficzna z życiorysami znanych Polek i Polaków*, Wydawnictwo Hübners Who is Who, Poznań 2005.
- Złota Księga Nauki Polskiej. Naukowcy Zjednoczonej Europy*, Wydawnictwo HELION, Gliwice 2006.

Internet

- Archiwum danych o posłach, <https://orka.sejm.gov.pl/ArchAii2.nsf/2RP/017>.
- Działalność poselska. Synteza. Ustawy nad którymi pracowałem: <https://orka.sejm.gov.pl/ArchAII2.nsf/2RP/017>.
- Pietruszewska A., <https://www.wzielonej.pl/informacje/zielona-gora/oto-nowi-honorowi-zielonogorzanie.Prof.-Tadeusz-bilinski-i-malzenstwo-hellmanow-ztytulami-w-zielonej.pl> [dostęp: 15.09.2024].
- Chajewski D., *Zgoda buduje, czyli jak walczyliśmy o Lubuskie*, <https://Lci-lubuskie.pl/2023/02/23/Zgoda-buduje-czyli-jak-walczyliśmy-o-lubuskie> [dostęp: 29.07.2024].
- Trzemeszno, Wikipedia, <https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Trzemeszno&oldid=73446579> [dostęp: 18.5.2024].
- Chajewski D., *Nasza Lubuska. Region*. <https://Ici-lubuskie.pl/2023/02/23/zgoda-buduje-czyli-jak-walczyliśmy-o-lubuskie/> [dostęp: 10.06.2024].
- Chajewski D., <https://gazetalubuska.pl/22-lata-temu-wspolnie-walczyliśmy-o-województwo-lubuskie-polnoc-i-poludnie-region-zapomniamy-o-animozjach> [dostęp: 10.06.2024].
- <https://orka.sejm.gov.pl/ArchAll2.nsf/2RP/017> (źródło: Rocznik Kółek Rolniczo-Włościańskich w Wielkim Księstwie Poznańskim 1894, T. 19, Wielkopolska Biblioteka Cyfrowa).

Galeria zdjęć

Zdjęcia rodzinne



Portret mojej Mamy



Portret mojego Taty



Moi Rodzice Anna i Czesław Billińscy. Trzemeszno, lata 30.



Przed zakładem zegarmistrzowskim mojego ojca



Mój Tato w sklepie zegarmistrzowskim w Poznaniu



Garbatka 1943-1944



Ja z moim bratem i siostrą



Z moją Marylką i synami



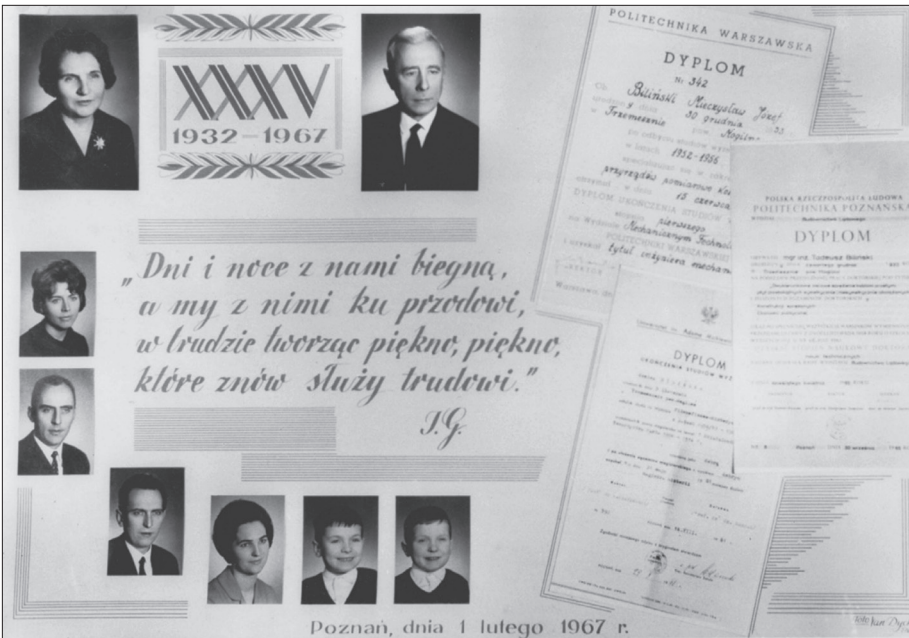
Odprowadzam synów Mirka i Tomka do przedszkola (obok Krzysztof Krzysztofiak)



Ćwiczę grę na pianinie w domu rodziców w Poznaniu



Ćwiczę grę na pianinie w Poznaniu



Rodzinne tableau z okazji 35-lecia pożycia małżeńskiego moich rodziców. Od góry: rodzice mama Anna z domu Jankowiak, tato Czesław, siostra Janina, brat Mieczysław, ja i moja przedwcześnie zmarła małżonka Marylka oraz dwaj synowie Mirosław i Tomasz



Spotkanie rodzin Bilińskich i Wielgoszewskich, Gdynia 1980 r.



Żona Marylka w czasie porannego przeglądu prasy



Moja bratanica Agata
z synem Aleksandrem
i córką Inką



W Paryżu z mamą Anną (po lewej) i Marylką (po prawej)



Z Marylką w Paryżu w okolicy wieży Eiffla

Zdjęcia służbowe związane z uczelnią



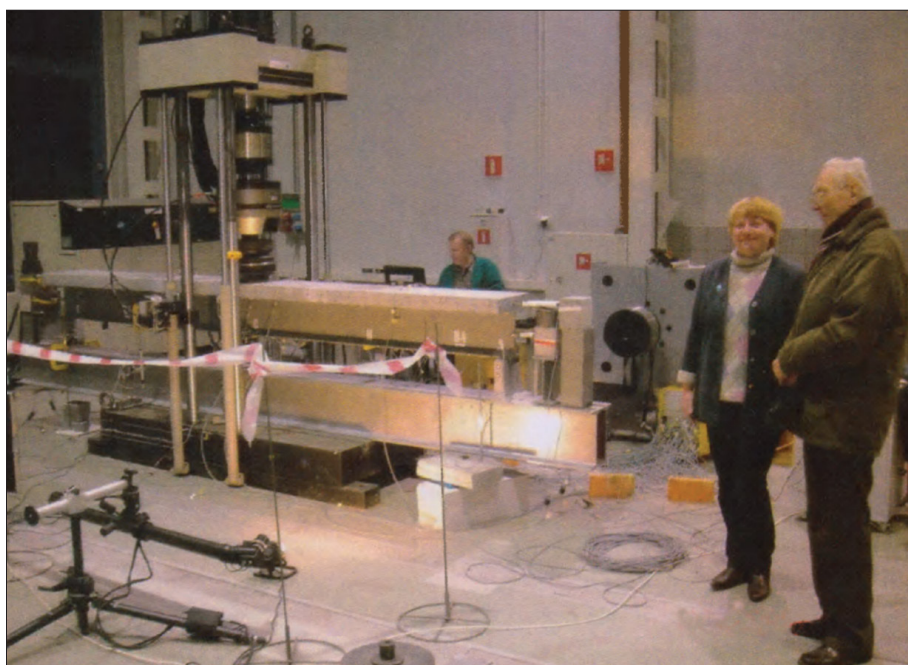
Jako rektor inauguruje nowy rok akademicki



Obrona pracy doktorskiej



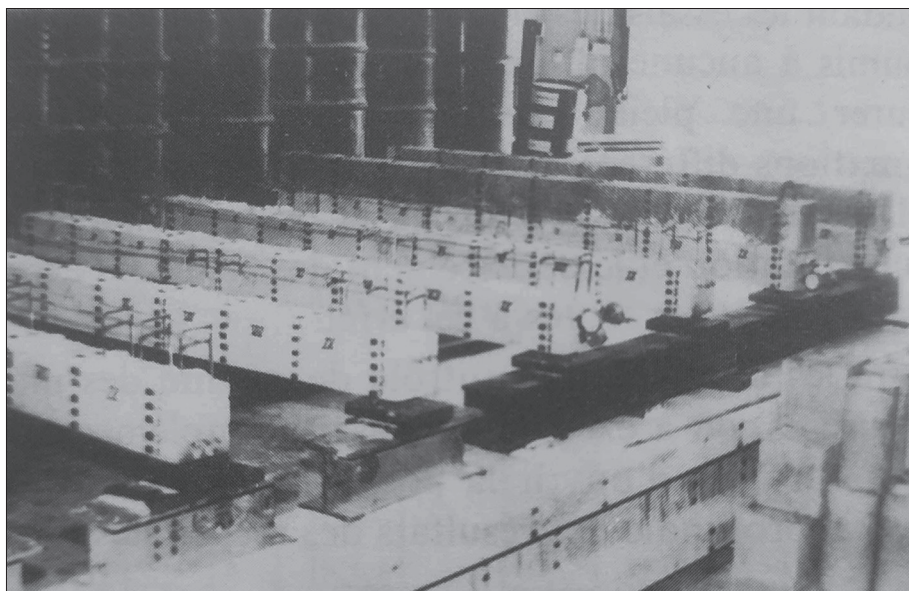
Wręczam nagrody dla Młodych Mistrzów Techniki



Wizytuję stanowisko doświadczalne belki o przekroju stalowo-betonowym. Na stanowiska badawczym mgr inż. Bożena Kuczma



Na rajdzie studenckim (Beskid Śląski, Żywiecki 4-10.05.1980 r.). Z prawej strony prof. Marian Eckert i doc. Tadeusz Maszkiewicz



Element doświadczalny podczas badań wytrzymałościowych w laboratorium w Liège w czasie mojego stażu naukowego



Wśród budowniczych terminalu na przejściu granicznym w Świecku



Konferencja na temat bezpieczeństwa pracy. Od lewej stoją: Zenon Bambrowicz, Wojciech Poręba, ja, Mirosław Gruszecki, Tadeusz Glapa



W czasie wręczania uprawnień budowlanych



W rozmowie z prof. Michałem Kisielewiczem



Rektorzy UZ. Od lewej w dolnym rzędzie profesorowie Czesław Osekowski, Michał Kisielewicz, Tadeusz Biliński, wyżej Hieronim Szczegół, Marian Eckert i Marian Miłek



W czasie rozmowy kulturalowej z panią profesor Marią Mrówczyńską



Uczestniczyłem aktywnie w wielu konferencjach na Uniwersytecie Zielonogóskim. Zdjęcie jednej z nich

Jubileusze



Uczestnicy uroczystości jubileuszowej 40-lecia mojej pracy dydaktycznej i wychowawczej



Profesor Marian Eckert, wojewoda zielonogórski, wręcza mi list gratulacyjny z okazji 40-lecia mojej pracy



Senator RP Zbyszko Piwoński i pani senator Jolanta Danelak składają gratulacje z okazji mojego jubileuszu 40-lecia pracy naukowej i dydaktycznej



Rektor prof. Michał Kisielewicz składa gratulacje z okazji mojego 40-lecia pracy



Na honorowym miejscu w czasie uroczystości jubileuszowej mojego 90-lecia



Prezydium uroczystości jubileuszowej mojego 90-lecia



Rektor UZ prof. dr hab. Wojciech Strzyżewski składa mi gratulacje na uroczystości jubileuszu 90-lecia



Prezydent Miasta Zielona Góra Janusz Kubicki składa mi gratulacje z okazji 90-lecia



Wielu przyjaciół i znajomych stało w długiej kolejce z życzeniami z okazji mojego jubileuszu ukończenia 90. lat

Fotografie z działalności poselskiej



Spotkanie posłów po wyborze Wojciecha Jaruzelskiego na Prezydenta RP



Sejmowa Komisja Polityki Przestrzennej, Budowlanej i Mieszkaniowej



Na wyjazdowym posiedzeniu Komisji Polityki Przestrzennej, Budowlanej i Mieszkaniowej w Lesznie



Na konferencji w sprawie budownictwa mieszkaniowego w Spała



Wśród grupy posłów – członków Komisji Polityki Przestrzennej, Budowlanej i Mieszkaniowej



Zostałem wyróżniony przez Komisję Budownictwa Pucharem Fair Play za lata bezkolizyjnej współpracy



Ja z pucharem Fair Play od członków Komisji Budownictwa. Od lewej Grażyna Komar i Elżbieta Kessel



Na posiedzeniu Komisji Budownictwa na zakończenie II Kadencji Sejmu w 1997 r. Przy stole prezydialnym Aleksander Małachowski – wicemarszałek Sejmu, poseł Jan Andrykiewicz – wiceprzewodniczący Komisji i ja



W przerwie posiedzenia z panią Danutą Kruze – prawnikiem prezydenckim i panią Elżbietą Kessel z Komisji Budownictwa



Jestem wśród członków polskiej delegacji do Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy



Jestem w grupie polskich parlamentarzystów na sali obrad Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy



Na posiedzeniu Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy



Na zakończenie kadencji sejmu – zbiorowe zdjęcie posłów Klubu SLD



Przyjmuję życzenia od przyjaciół i znajomych z okazji zakończenia pracy poselskiej



Moja rodzina na uroczystym spotkaniu z okazji zakończenia mojej pracy parlamentarnej w Sejmie RP

Fotografie z działalności politycznej i społecznej



Wśród harcerzy w Żaganiu



Witam przybyłego na spotkanie w Zielonej Górze Józefa Oleksego, Marszałka Sejmu RP



Folder wyborczy SLD na wybory parlamentarne do Sejmu i Senatu 1997 r.

Manifestacja w sprawie utworzenia województwa lubuskiego. Przemawia poseł Edward Daszkiewicz Przewodniczący Stowarzyszenia na rzecz Promocji i Powołania Województwa Lubuskiego. Po lewej senatorowie Zbyszko Piwoński i Jolanta Danielak



Foldery wyborcze. Rozliczam się z działalności poselskiej i prezentuję program na kolejną kadencję

Inne



W Filharmonii Zielonogórskiej z prof. Czesławem Grabowskim. Z lewej syn Mirek i synowa Małgosia



Z rodziną państwa Alawdinów przed budynkiem Wydziału Budownictwa , Architektury i Inżynierii Środowiska Uniwersytetu Zielonogórskiego



W czasie wizyty z synem Mirkiem u Państwa Karimów




Państwo Karimowie udekorowali mnie tradycyjnym wieńcem z biało-czerwonych róż z okazji 90-lecia moich urodzin



W czasie wizyty u Państwa Karimów z synem Mirkiem i synową Małgosią

Dokumenty


POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA
POLITECHNIKA WROCŁAWSKA

WYDZIAŁ BUDOWNICTWA LĄDOWEGO

DYPLOM

OBYWATEL TADEUSZ BILIŃSKI
DOKTOR NAUK TECHNICZNYCH
URODZONY DNIA 4 grudnia 19 32 ROKU
W Trzemesznie

NA PODSTAWIE OCENY OGÓLNEGO DOROBKU NAUKOWEGO
I PRZEDŁOŻONEJ ROZPRAWY HABILITACYJNEJ POD TYTUŁEM
Stan naprężeń w żelbetowo-sprężonych przekrojach
zespólnych w procesie zachodzących zjawisk reologicznych.

UZYSKAŁ STOPIEŃ NAUKOWY

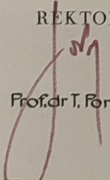
DOKTORA HABILITOWANEGO

NAUK TECHNICZNYCH

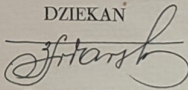
W ZAKRESIE BUDOWNICTWA I KONSTRUKCJI BETONOWYCH
NADANY UCHWAŁĄ RADY WYDZIAŁU BUDOWNICTWA LĄDOWEGO

Z DNIA 25 listopada 19 72 ROKU

WROCŁAW, DNIA 24 listopada 19 73 ROKU

REKTOR

Prof. dr T. Forębski

(M. P.)

DZIEKAN

Doc. dr Z. Bodarshi

NR 118

Decyzja o przyznaniu prof. Tadeuszowi Bilińskiemu tytułu doktora habilitowanego



QUOD FELIX FAUSTUM FORTUNATUM QUE SIT !

W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

M Y

REKTOR POLITECHNIKI POZNAŃSKIEJ

ORAZ

DZIEKAN WYDZIAŁU BUDOWNICTWA I INŻYNIERII ŚRODOWISKA

POMNI NA CHWALEBNE OBYCZAJE NASZYCH PRZODKÓW,
ABY ZWYKLE ODNAWIAĆ I ZATWIERDZAĆ AKADEMICKIE ZASZCZYTY UDOSKONALONE PRACĄ
I WIELOLETNIM DOŚWIADCZENIEM

PONIEWAŻ SZANOWNY PAN

Tadeusz BILIŃSKI

ZDOBYWSZY PRZED 60-CIU LATY NA POLITECHNICIE POZNAŃSKIEJ ZASZCZYTYNĄ STOPIEŃ

MAGISTRA INŻYNIERA BUDOWNICTWA LĄDOWEGO

DOCHOWAŁ W CIĄGU TYCH LAT WIERNOŚCI PRZYRZECZENIU,
KTÓRE WÓWCZAS ZŁOŻYŁ NA RĘCE SWEGO PROMOTORA

POWAGĄ POLITECHNIKI POZNAŃSKIEJ

Z WIELKIM UZNANIEM ODNAWIAMY SZANOWNEMU PANU

GODNOŚĆ MAGISTRA INŻYNIERA BUDOWNICTWA LĄDOWEGO

OZDOBIONĄ TYŁOM I TAK WIELKIMI ZALETAMI

ORAZ OWOCNĄ PRACĄ TWÓRCZĄ

NA PAMIĄTKĘ TEGO WYDARZENIA OFIARUJEMY NINIEJSZY DYPLOM

OPATRZONY PIECZĘCIĄ POLITECHNIKI POZNAŃSKIEJ

POZNAŃ, DNIA 18 CZERWCA 2016 ROKU

DZIEKAN

PROF. DR HAB. INŻ. JANUSZ WOJTKOWIAK

REKTOR

PROF. DR HAB. INŻ. TOMASZ ŁODYGOWSKI





Prezydent
Rzeczypospolitej Polskiej

Warszawa, 26 kwietnia 2002 roku

Pan
Tadeusz Biliński

Szanowny Panie, *Drogi Tadeuszu,*

W związku z zakończeniem przez Pana pracy w Kapitulie Polskiego Godła Promocyjnego „Teraz Polska”, pragnę serdecznie podziękować za pomoc w promowaniu produktów najwyższej jakości.

Dzięki Pana wiedzy oraz umiejętności właściwej oceny osiągnięć zgłaszanych kandydatów, Godło „Teraz Polska” stało się prawdziwym znakiem jakości, a także ważnym czynnikiem motywacyjnym dla przedsiębiorców.

Mam nadzieję, że praca w Kapitulie dała Panu wiele satysfakcji. Liczę także, że swoim autorytetem nadal będzie Pan wspierał ten program oraz szeroko rozumianą promocję polskiej gospodarki.

Życzę Panu wielu sukcesów oraz wszelkiej pomyślności.

z poważaniem i przyjaznością

Aleksander Kwaśniewski

Aleksander Kwaśniewski

List z podziękowaniem od Prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego



**CENTRALNA KOMISJA
DO SPRAW STOPNI I TYTUŁÓW**

Pałac Kultury i Nauki
00-901 Warszawa

Nr BCK VI-U/Drhab.869/2012

Warszawa, 25 marca 2013 r.
tel. 022 826-82-38; tel./ fax: 022 656-63-28
e-mail: kancelaria@ck.gov.pl

DECYZJA

Centralna Komisja do Spraw Stopni i Tytułów, na podstawie art. 5 ust. 2 ustawy z dnia 14 marca 2003 r. o stopniach naukowych i tytule naukowym oraz o stopniach i tytule w zakresie sztuki (Dz. U. nr 65, poz.595 z póź.zm.), po zasięgnięciu opinii Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego, podjęła decyzję o przyznaniu z dniem 25 marca 2013r. Wydziałowi Inżynierii Lądowej i Środowiska Uniwersytetu Zielonogórskiego uprawnienia do nadawania stopnia naukowego doktora habilitowanego nauk technicznych w dyscyplinie budownictwo.

UZASADNIENIE

W związku z tym, iż niniejsza decyzja uwzględnia w całości żądanie strony, na mocy art. 107 § 4 Kodeksu postępowania administracyjnego (ustawa z dnia 14 czerwca 1960 r. Dz. U. z 2000 r. nr 98, poz. 1071 ze zm.) odstąpiono od jej uzasadnienia.

POUCZENIE

Decyzja jest ostateczna. Strona niezadowolona z decyzji może zwrócić się do Centralnej Komisji do Spraw Stopni i Tytułów z wnioskiem o ponowne rozpatrzenie sprawy w terminie 14 dni od dnia jej doręczenia.

Otrzymuje:

- Dziekan Wydziału Inżynierii Lądowej i Środowiska Uniwersytetu Zielonogórskiego

Załączniki:

- Dokumentacja wniosku
- Przewody doktorskie - 3 sztuki

Do wiadomości:

1. Departament Organizacji Szkolnictwa Wyższego, Kontroli i Nadzoru (DKN)
Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego
2. Rada Główna Nauki i Szkolnictwa Wyższego
3. Ośrodek Przetwarzania Informacji



ZASTĘPCA PRZEWODNICZĄCEGO KOMISJI

prof. dr hab. Jerzy Szczęśliwy

Panu prof. dr hab. inż. Tadeuszowi BILIŃSKIEMU

w dowód wdzięczności za wsparcie i pomoc w uzyskaniu uprawnień habilitowania

Dziekan Wydziału Inżynierii Lądowej i Środowiska
Dr hab. inż. Jakub Marcinowski, prof. UZ

Zielona Góra 08 maja 2013 r.

Decyzja o przyznaniu Wydziałowi Inżynierii Lądowej i Środowiska Uniwersytetu Zielonogórskiego prawa do habilitowania



UNIWERSYTET ZIELONOGÓRSKI

NA MOCY STATUTU UCZELNI

SENAT

UNIWERSYTETU ZIELONOGÓRSKIEGO W ZIELONEJ GÓRZE

UCHWAŁĄ PODJĘTĄ W DNIU 29 WRZEŚNIA 2021 ROKU

NADAŁ

PROF. DR. HAB. INŻ. TADEUSZOWI BILIŃSKIEMU

TYTUŁ

PROFESORA HONOROWEGO
UNIWERSYTETU ZIELONOGÓRSKIEGO

ZA

znaczący wkład w rozwój Uniwersytetu Zielonogórskiego poprzez inicjowanie i konsekwentne realizowanie przeobrażeń jakościowych uczelni zielonogórskich, zarówno w zakresie rozwoju zielonogórskiego środowiska akademickiego, współtworzenia nowych jednostek organizacyjnych, organizacji nowych kierunków studiów i specjalności, jak i aktywnego podejmowania nowych i kontynuowania już podjętych inwestycji uczelnianych

Przewodnicząca Rady Naukowej
Dyscypliny Inżynieria Lądowa i Transport
dr. hab. inż. Beata Nowogórska, prof. UZ

Przewodniczący Uczelnianej Rady
ds. Dyscyplin Naukowych
dr. hab. inż. Marcin Mrugański, prof. UZ

Rektor
Uniwersytetu Zielonogórskiego
prof. dr. hab. Wojciech Strzyżewski

Dokument Senatu UZ nadający prof. Tadeuszowi Bilińskiemu tytuł Profesora Honorowego Uniwersytetu Zielonogórskiego



DYPLOM
HONOROWEGO OBYWATELA
ZIELONEJ GÓRY

Rada Miasta Zielona Góra

uchwałą nr LIII.665.2017 z dnia 29 sierpnia 2017 roku

nadała

Panu prof. Tadeuszowi Bilińskiemu

tytuł

Honorowego Obywatela Zielonej Góry

w uznaniu zasług dla Miasta.



Przewodniczący Rady

Adam Maciej Urbaniak

Zielona Góra, dnia 5 września 2017 r.

Dyplom Honorowego Obywatela Zielonej Góry



PREZES RADY MINISTRÓW

Warszawa, dnia 11 stycznia 1988 r.

Obywatel
prof. dr hab. Tadeusz BILIŃSKI

Wyższa Szkoła Inżynierska
im. J. Gagarina
w Zielonej Górze

Na podstawie art. 12 ust. 2 ustawy z dnia
23 października 1975 r. o Państwowym Arbitrażu
Gospodarczym (Dz.U. Nr 34, poz. 183) powołuję
Obywatela na członka Rady Państwowego Arbitrażu
Gospodarczego.

Powołanie na członka Rady Państwowego Arbitrażu Gospodarczego

Wykaz instytucji, organizacji, towarzystw naukowych, zakładów pracy oraz urzędów

105. Wojskowy Szpital Garnizonowy w Żarach
55. Pułk Piechoty w Lesznie
Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie
Akademickie Zrzeszenie Sportowe (AZS) w Poznaniu
Automobilklub Wielkopolski w Poznaniu
Biblioteka Politechniki Gliwickiej
Bractwo Kurkowe w Trzemesznie
Centralna Komisja ds. Kadr Naukowych
Centralna Komisja ds. Stopni i Tytułów Naukowych
Centralny Związek Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego w Warszawie
Centrum Kształcenia Ustawicznego w Zielonej Górze
Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych w Poznaniu
Chór Chłopięcy i Męski w Filharmonii Poznańskiej Słowiki Stefana Stulgrosza
Chór kościelny przy parafii Świętego Krzyża w Poznaniu
Departament Inwestycji w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego
Filharmonia Poznańska
Filharmonia Zielonogórska
Gimnazjum i Liceum im. Jana Kilińskiego w Trzemesznie
Gimnazjum i Liceum św. Marii Magdaleny w Poznaniu
Główny Zarząd Urzędu Budowlanego w Warszawie
Harcerski Chór Ośmiu Bąków w Poznaniu
Hospicjum Świętego Józefa na Zaciszu
Instytut Budownictwa Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze
Instytut Inżynierii Lądowej Politechniki Wrocławskiej
Instytut Technologii i Konstrukcji Budowlanych Politechniki Poznańskiej
Instytut Technologii i Organizacji Budownictwa w Zielonej Górze
Inwestprojekt w Kaliszu
Izba Rzemieślnicza w Poznaniu
Kancelaria Prezesa Rady Ministrów
Katedra Budownictwa Politechniki Poznańskiej
Katedra na Ostrowie Tumskim w Poznaniu
Komisja Administracji i Samorządu Terytorialnego
Komisja Nadzwyczajna do Zbadania Działalności Rządu
Komisja Nauki Polskiego Związku Inżynierów i Techników Budownictwa (PZITB)
Komisja Polityki Przestrzennej, Budowlanej i Mieszkaniowej
Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność”
Komitet Inżynierii Lądowej i Wodnej PAN
Kongres Budownictwa Polskiego w Warszawie

Kongres Liberalno-Demokratyczny
Kongres Założycielski Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej (SdRP)
Konińskie Przedsiębiorstwo Budowlane
Kościół pw. Najświętszego Zbawiciela w Zielonej Górze
Kościół pw. św. Ducha w Zielonej Górze
Krajowa Izba Projektowania Budowlanego
Liceum Ogólnokształcące nr 7 w Zielonej Górze
Liceum Ogólnokształcące nr 8 w Poznaniu
Lubuska Izba Budownictwa
Lubuska Okręgowa Izba Inżynierów Budownictwa
Lubuska Okręgowa Izba Radców Prawnych w Zielonej Górze
Lumel w Zielonej Górze
Ministerstwo Budownictwa i Gospodarki Przestrzennej
Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego
Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji
Muzeum Etnograficzne w Ochli
Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze
Naczelna Organizacja Techniczna
Najwyższa Izba Kontroli (NIK)
Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”
Oddział Drogowy PKP w Poznaniu
Oficina Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego
Orkiestra Filadelfijska Filharmonii Warszawskiej
Ośrodek Urzędu Wojewódzkiego w Przełazach
Państwowa Szkoła Muzyczna I stopnia w Poznaniu
Parafia Matki Boskiej Nieustającej Pomocy i św. Piotra Rybaka w Gdyni
Parlamentarny Klub Lewicy Demokratycznej
Parlamentarny Klub Poselski PZPR
Parlamentarny Klub Sojuszu Lewicy Demokratycznej
Planetarium Wenus (Centrum Nauki Keplera) w Zielonej Górze
Politechnika Krakowska
Politechnika Lubelska
Politechnika Poznańska
Politechnika Świętokrzyska
Politechnika Warszawska
Politechnika Wroclawska
Polserwis w Warszawie
Polska Akademia Nauk (PAN)
Polska Unia Socjaldemokratyczna
Polska Zjednoczona Partia Robotnicza (PZPR)
Polski Związek Inżynierów i Techników Budownictwa
Polskie Koleje Państwowe (PKP)
Polskie Towarzystwo Mieszkaniowe
Prezydium Klubu Parlamentarnego SLD
Rada Dyscypliny Naukowej Inżynieria Lądowa i Transport Uniwersytetu Zielonogórskiego
Rada Główna Nauki i Szkolnictwa Wyższego w Warszawie
Rada Naczelna SdRP w Warszawie
Rada Naukowa Instytutu Gospodarki Mieszkaniowej

Rada Naukowa Instytutu Techniki Budowlanej
Rada Państwa
Rada Wojewódzka SdRP w Zielonej Górze
Rada Wydziału Budownictwa Politechniki Poznańskiej
Sala Kongresowa w Warszawie
Sąd Okręgowy w Zielonej Górze
Sąd Rejonowy w Świebodzinie
Sejm Rzeczypospolitej Polskiej RP
Sejmowa Komisja Obrony Narodowej
Sejmowa Komisja Polityki Przestrzennej, Budowlanej i Mieszkaniowej
Sejmowa Komisja Zdrowia
Senat Uniwersytetu Zielonogórskiego
Sklep Zegarmistrzowski w Poznaniu, ul. Święty Marcin 62
Socjaldemokracja Rzeczypospolitej Polskiej (SdRP)
Sojusz Lewicy Demokratycznej (SLD)
Stowarzyszenie Architektów Polskich
Stowarzyszenie na rzecz Promocji i Powołania Województwa Lubuskiego
Stowarzyszenie na rzecz Rozwoju Miasta „Zielonogórskie Perspektywy”
Stowarzyszenie Oświata w Poznaniu
Stowarzyszenie Pionierów Zielonej Góry
Straż Ludowa w Dolsku
Szkoła Kupiecka w Krotoszynie
Towarzystwo Budownictwa Społecznego (TBS)
Towarzystwo Krajowy Ruch Mieszkaniowy
Towarzystwo Mechaniki Teoretycznej i Stosowanej
Towarzystwo Naukowe Organizacji i Kierownictwa (TNOiK)
Trybunał Konstytucyjny
Uczelniana Rada Dyscyplin Naukowych Uniwersytetu Zielonogórskiego
Unia Europejska
Unia Socjaldemokratyczna Rzeczypospolitej Polskiej
Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu
Uniwersytet Techniczny w Oranie (Algieria)
Uniwersytet Zielonogórski w Zielonej Górze
Urząd Wojewódzki w Zielonej Górze
Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Zielonej Górze
Wojewódzka Rada Narodowa w Zielonej Górze
Wojewódzki Komitet Wyborczy SLD
Wojewódzki Oddział PCK w Zielonej Górze
Wojewódzkie Biuro Poselskie w Zielonej Górze
Wydział Budownictwa i Inżynierii Sanitarnej Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze
Wydział Budownictwa i Inżynierii Środowiska Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze
Wydział Budownictwa Lądowego Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Poznaniu
Wydział Budownictwa Politechniki Poznańskiej
Wydział Budownictwa Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Poznaniu
Wydział Budownictwa Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze
Wydział Elektryczny Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze
Wydział Historii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

Wydział Humanistyczny Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu
Wydział Kultury Urzędu Wojewódzkiego w Opolu
Wydział Matematyczno-Fizyczny Uniwersytetu Wrocławskiego
Wydział Mechaniczny Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze
Wydział Nauk Ścisłych Uniwersytetu w Liège
Wydział Nauki Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Poznaniu
Wydział Organizacyjno-Prawny Urzędu Wojewódzkiego w Poznaniu
Wydział Prawa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu
Wydział Turystyki i Rekreacji Akademii Wychowania Fizycznego w Poznaniu
Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Zielonej Górze
Zakład Budownictwa Ogólnego i Architektury w Zielonej Górze
Zakład Metrologii Mechanicznej Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze
Zakład Prefabrykacji Suchy Las koło Poznania
Zakład Ubezpieczeń Społecznych w Poznaniu
Zakład Zegarmistrzowski w Trzemesznie
Zastal w Zielonej Górze
Zgromadzenie Parlamentarne Rady Europy
Zielonogórskie Towarzystwo Energii Odnawialnej
Zjednoczenie Budownictwa Rolniczego w Zielonej Górze
Związek Harcerstwa Polskiego (ZHP)
Związek Nauczycielstwa Polskiego

Indeks osobowy

- Adamczyk Andrzej 69
Ajdukiewicz Andrzej 88
Akiki Bassem 144
Alawdin Piotr 87
Alsabry Abdrahm 87
- Bać Zbigniew 87
Ballenstedt Lucjan 7, 42
Bambrowicz Zenon 89
Barańczak Jarosław 87
Barun Juliusz 88
Baus Roman 49
Bazan-Krzywoszańska Anna 68, 87
Bącal Kazimierz 60, 88
Bieda Władysław 78
Bielak Tadeusz 105
Bielecki Czesław 108
Bielinis-Kopeć Barbara 89
Bień Halina 165
Bieżańska Bożena 88
Bilicka Urszula 126
Bilińska Agata 16
Bilińska Anna 13, 19, 167
Bilińska Anna – córka Mirosława 21
Bilińska Barbara 16
Bilińska Elżbieta 8, 9, 22, 23, 147, 168
Bilińska Emilia 21
Biliński Andrzej 13
Biliński Krystian 21
Bilińska Inka 16
Bilińska Janina 13, 14, 16, 18, 19, 167
Bilińska Magdalena 18, 20
Bilińska Małgorzata 21
Bilińska Maria (Marylka) 8, 9, 20, 21, 75, 76, 80, 81, 124-139, 152-154, 156, 167
Biliński Czesław 13, 14, 19, 167
Biliński Mieczysław 13, 14, 16, 17, 19, 167
Biliński Mirosław Paweł 8, 10, 21, 133-135, 138, 165
Biliński Tomasz 8, 10, 21, 22, 138, 152, 168
Biliński Wojciech 12
Biliszczuk Jan 88
Blida Barbara 85, 96
- Błaszczuk Józef 95
Błoch Jadwiga 97
Bocheński Andrzej 86
Boruszak Andrzej 87
Bosy Ewa 89
Brachmański Andrzej 86, 97, 105, 106
Brachmański Norbert 105
Bratkowski Andrzej 85
Brenneisen Andrzej 49
Brunarski Lesław 88
Bryś Gerard 87
Bryx Marek 85
Buzek Jerzy 108
Bużantowicz Paweł 105
Byczkowski Karol 10
Bydałek Andrzej 88
- Cebula Leszek 105
Cegielnik Andrzej 89
Cegielski Hipolit 12
Chmielewski Jan 105
Chmieliński Konrad 88
Chrzanowski Andrzej 87
Ciesielska Władysława 165
Cieślikowski Jerzy 102
Cimoszewicz Włodzimierz 108
Cios Antoni 105
Cortas D. 51
Cudak Andrzej 105
Czachrowski Józef 87
Czapliński Kazimierz 89
Czarnecki Lech 88
Czarnecki Witold 69, 86, 87
Czarzasty Włodzimierz 69
Czechowska Irena 165
Czerwiński Mieczysław 94
Czerwiński Zbigniew 105
- Danielak Jolanta 86, 97, 106, 147
Dankowski Marek 87, 163
Dembicki Ferdynand 87
Derentowicz Mieczysław 62
Dobrucki Andrzej Roch 85

- Dobrzejewski Jerzy 105
 Drobiec Łukasz 67
 Drzewiecki Marian 88
 Dyczkowski Adam 86
 Dyderski Ryszard 165
 Dyduch Krzysztof 88
 Dyszak Włodzimierz 88
 Dziekoński Olgierd 85
 Dzikowski 134
 Dziwiński Robert 85
 Dzwonnik Ireneusz 88
- Eckert Marian 86, 88, 124
 Eckert Wojciech 87
- Fanajło Wiktor 89
 Fedak Jolanta 105
 Fedko Edward 105
 Fiedorowicz Czesław 86, 105
 Filanowski Józef 22
 Filanowska Władysława 22
 Filecki Roman 105
 Filipiak Jerzy 57, 58, 87
 Fiszbach Tadeusz 103
 Flaga Kazimierz 63, 67-69, 88
 Fokszan Tytus 86, 105
 Fornalczyk Bernard 101
 Frankowska Barbara 16
 Frąckowiak Marian 87
 Furtak Kazimierz 68, 69, 88
- Gabryelski Tadeusz 105
 Gaczek Wojciech 87
 Gałkowski Andrzej 87
 Garbacik Roman 165
 Garstecki Andrzej 87
 Gawron Jan 87
 Gawkowski Krzysztof 69
 Gieburowski Waław 34
 Gielarowski Jan 75, 88
 Gil Józef 87
 Giżejowski Marian 68, 89
 Głapa Tadeusz 89
 Głomb Józef 43
 Goliński Wiktor 86
 Gołębiewski Jerzy 89
 Góral Urszula 88
 Górski Stanisław 87
 Grabowski Czesław 87, 144, 146
 Grabowski Jan 65
 Grabowski Zbigniew 88
- Graczyk Magdalena 87, 88
 Greinert Henryk 87
 Greinert Andrzej 64
 Grochowska Elżbieta 87
 Gruber Karol 86, 92
 Gruszczyński Antoni 26
 Gruszczyński Józef 26
 Gruszecki Mirosław 89
 Grzegorzewski Bogdan 105
 Grzelczak Marcin 89
- Halicka Anna 68, 89
 Hausner Włodzimierz 86
 Hellmann Małgorzata 106
 Hellmann Roland 106
 Herrmann Konrad 87, 117
 Hryszko Elżbieta 165
- Idaszak Bożena 87
- Janiszewski Włodzimierz 95
 Janka Wojciech 89
 Jankowiak Anna 14
 Jankowiak Franciszka 13
 Jankowiak Józef 13
 Jankowiak Roman 154
 Jankowski Wiktor 45
 Janowski Zbigniew 86, 164
 Jarecka-Cieślak Romualda 105
 Jarmużek Leszek 89
 Jarmużek Zdzisław 97
 Jaruzelski Wojciech 115
 Jasik Halina 88
 Jerulank Mieczysław 105
 Jerzak Leszek 88
 Jęch Stanisław 89
 Jędrzczak Andrzej 68, 87
 Jędrzejczak Tadeusz 86
 Juszczyk Artur 69
 Juszczyk Joanna 88
 Juszczyk Krzysztof 88
- Kajfasz Stanisław 111
 Kaliski Sylwester 57-59
 Kalizuk Joanna 87
 Kalizuk Krzysztof 86
 Kałuski Maciej 105
 Kaniuk Jan 105
 Kapustka Aleksandra 89
 Karim Rezaul 140
 Kaszyca Jerzy 89

- Kaszyńska Maria 67, 69, 89
Kaufman Stefan 7, 44
Kessel Elżbieta 86, 111
Kijewska Michalina 12
Kiliński Jan 33, 107, 167
Kisielewicz Michał 63, 68, 85
Klimek Jan 105
Kluz Tomasz 7, 44
Kłapoc Krystyna 88
Kłapoc Mikołaj 87
Kmita Jan 7, 51, 53, 54, 67, 88
Kochanowski Jan 105
Kochański Paweł 88, 89
Kolańska Janina 165
Kolczala Piotr 86
Kołaczkowski Stanisław 87
Kołodziejczyk Urszula 87
Komar Grażyna 86, 111
Kononowicz Wanda 87
Korentz Jacek 67, 68, 87
Kościesz Kosmowski Michał 12
Kotowski Jerzy 87
Kowal Zbigniew 64
Kowalewski Adam 85
Kowalski Janusz 75
Kozak Janusz 87
Kozak Roman 4, 43, 44
Kozłowski Tadeusz 7, 41, 42
Kraiński Andrzej 87
Krasowski Ksawery 86
Krawiec Jan 89
Król Mieczysław 88
Krupa Aleksander 86
Krzyszewski Waldemar 87
Krzysztofiak Krystyna 156
Krzysztofiak Marian 87
Krzyżanowski Józef 89
Kubicki Janusz 73, 86
Kucharska Bożena 88
Kucharska-Dziedzic Anita 69
Kuczma Bożena 87, 88
Kuczma Mieczysław 87
Kuczyński Tadeusz 87
Kuczyński Władysław 83, 88
Kukuryka Stanisław 86, 163
Kulesza Hanna 89
Kulesza Michał 122
Kuriata Roman 105
Kurzyk Aleksandra 86
Kuska Zdzisław 88
Kuś Stanisław 88
Kuśnierz Andrzej 63
Kwaśniewski Aleksander 94, 115, 123
Kwiatkowski Jerzy 105
Laskowski Janusz 88
Lesicki Dariusz 86
Liberadzki Bogusław 86, 88
Ligeza Wiesław 88
Lipnicki Zygmunt 68, 87
Listowski Zygmunt 86, 105
Liu Bruce 144
Łakomski Jerzy 63
Łączak Władysław 87
Łapko Andrzej 88
Łazicki Edward 105
Łomża Anna 105
Łosyk Józef 86
Łuczak Czesław 12
Łukaszewska Krystyna 87, 165
Łybacka Krystyna 86
Maćkowiak Henryk 60
Madej Ireneusz 86
Madryas Cezary 68, 69, 89
Malinowski Roman 116
Mały Zdzisław 105
Mania Bożena 105
Marciniak Irena 105
Marcinkowski Zygmunt 105
Marcinowski Kajetan 87
Marcinowska Grażyna 88
Marcinowski Jakub 63, 64, 68, 87, 160
Maszkiewicz Tadeusz 87
Materna Jerzy 69
Matysiak Antoni 68, 87
Matyszewski Tomisław 88
Mazowiecki Tadeusz 108
Mertens Franciszek 12
Messner Zbigniew 108
Michalak Henryk 88
Michna Jerzy 65
Michnowski Zygmunt 89
Miech Zenon 103-105
Mielczarek Zbigniew 88
Mielżyński Jan 10, 94, 102-105
Milian Jerzy 144
Miller Leszek 103
Miłek Marian 88
Misztal Grzegorz 88
Misztal Jadwiga 136

- Misztal Stanisław 87, 136
Miter Franciszek 105
Mitzel Adam 7, 51-54
Mocek Zbigniew 89
Moraczewski Jędrzej 12
Mrówczyńska Maria 87
Mrugalski Marcin 66
- Napieralski Jerzy 89
Nawrocki Czesław 41
Nesterowicz Tomasz 86
Ney Roman 59
Nodzyński Zygmunt 60, 88
Nowakowski Andrzej 89
Nowakowski Bolesław 87
Nowicki Roman 86
Nowogońska Beata 66-69, 88
- Ochremiak Witold 65
Odważny Ignacy 105
Olejnik Władysław 87
Oleksey Józef 108
Olszewski Jerzy 86
Opaliński Zbigniew 89
Oprzędkiewicz Janusz 65
Osękowski Czesław 88
Ostańska Anna 68, 89
Ostręda Stanisław 86
Ostrouch Jerzy 86
Owoc Alfred 97
- Paluch Mieczysław 12
Pańtak Kazimierz 97
Pawlak Waldemar 108
Pawłowski Roman 61
Pendasiuk Leszek 165
Piątkowski Andrzej 105
Piechota Jacek 86
Piwoński Zbyszko 86, 87, 97, 101, 108, 144,
147-149, 160, 162
Piwowarski Krzysztof 7, 88
Płazyński Maciej 100
Płoński Władysław 65
Płoszaj-Kobyłecka Bożena 88
Pogorzelski Andrzej Jerzy 65, 88
Polak Elżbieta 86
Politowicz Andrzej 88
Polus Ryszard 89
Porbes Elżbieta 165
Poręba Wojciech 69, 89
Potocki Michał 105
- Pryputniewicz Stanisław 88, 119
Przybylski Aleksander 16
Pysznik Józef 88
Pyżewicz Wiesław 165
- Radomski Wojciech 68, 88
Radio Bogusław 105
Rakowski Jerzy 87
Rakowski Mieczysław 92, 100, 103, 108,
114
Rauchut Leszek 105
Romankiewicz Krzysztof 105
Romanowski Stanisław 91
Ronowicz Bożena 86, 105
Rosik Maria 165
Roszak Iwona 88
Rowiński Leon 63, 88
Rubinstein Artur 146
Ruggiero Grażyna 143
Runkiewicz Leonard 67, 88
Ryżyński Andrzej 7, 44, 87
Rzyski Zenon 105
- Sadownik Henryk 86
Sakowicz Alicja 105
Samujłło Henryk 88
Samujłło Janina 88
Sankowski Mirosław 88
Sapeńko Ewa 163
Sąsiadek Ryszard 89
Serwiński Mieczysław 86, 92, 100, 114
Siwicki Florian 93
Skarzyński Andrzej 87
Skiba Marta 68, 88
Skibiński Andrzej 102, 105
Skibiński Wilhelm 105
Skobelski Edward 105
Skorulska Wanda 165
Sobotka Anna 89
Socha Tomasz 88
Stabrowski Zygmunt 86
Stachurski Wiesław 88
Stanglewicz Arkadiusz 88
Stankiewicz Janina 88
Stankiewicz Paweł 89
Staszczuk Anna 88
Stańkiewicz Stanisław 86
Stawiarski Jan Konrad 87
Stawski Henryk 92
Stefański Andrzej 89
Stoch Wiesław 105

- Stompor Teresa 165
Stosik Michał 88
Stryszowski Tadeusz 88
Strzyżewski Wojciech 10, 66, 68, 69, 191
Stuligrosz Stefan 6, 18, 34, 35, 107, 131, 143, 163
Styczeń Piotr 85
Styczyński Andrzej 105
Suchocka Hanna 108
Suwara Tadeusz 86
Swatowska Irena 88
Swatowski Józef 88
Szabator Jan
Szaflik Jerzy 64
Szaflik Marian 105
Szafran Zygmunt 59-61, 87
Szajna Waldemar 68, 88
Szapałow Zofia 89
Szczegół Hieronim 67, 88
Szczepański Wiesław 69, 86
Szczurek Jan 105
Szczygielski Kazimierz 86
Szelka Janusz 87
Szmigiera Elżbieta 68
Szpilewicz Aleksander 65
Szpilka Pelagia 165
Szulczyński Tadeusz 7, 89
Szymański Andrzej 85
Szymański Edward 85
Śniadecki Jędrzej 12
Świdorski Marek 88
Świrepo Jan 86, 105
Świrydiuk Marta 88
Świtka Romuald 87
- Talaga Marek 88
Teller Zbigniew 105
Teoludzka Franciszka 105
Tomaszewicz Andrzej 87
Trompczyński Wojciech 12
Tuliszka Edward 165
Tuliszka Teresa 165
Tumiński Jan 105
Turkowiak Kazimierz 101
Tymiński Jerzy 65
- Uchman Ryszard 89
Urban Andrzej 85
Urban Tadeusz 68
Urbaniak Adam 108
Urbaniak Marek 86
- Urbański Paweł 88, 89
- Wagner Ferdynand 88
Waldorff Jerzy 12
Wasik Maria 60
Wasilewski Grzegorz 87
Wasiński Wiesław 86
Waszczyszyn Zenon 89
Waszkowska Maria 165
Werner Witold Andrzej 88
Wesoły Andrzej 89
Węglarz Marian 65
Widysiewicz Kazimierz 86
Wieczorek Iwona 88
Wieczorek Wojciech 88
Wielgo Marek 115
Wierzbicki Stanisław 88
Wilczek Mieczysław 92
Wilkoszewski Jerzy 136
Wilkoszewski Piotr 89, 154
Woch Stanisław 88
Wojciechowicz Bolesław 59
Wojna Wanda 88
Wojnicki Jan 88
Wojtkiewicz Jan 86
Wojtyszyn Bogusław 87
Wołczański Jerzy 88
Wołowicz Franciszek 97, 105
Wontor Bogusław 97, 105
Wontor Tomasz 86
Wozniak Tadeusz 105
Wóźnica Jan 105
Wójcicki Jerzy 65
Wróbel Ireneusz 88
Wybrański Jerzy 105
Wysocki Antoni 60, 88
Wysokowski Adam 68, 87
- Zadwórny Bronisław 88
Zaniewska Hanka 88
Zawiła Marcin 86
Zgoła Błażej 87
Zieleniewski Stanisław 85
Zieliński Jerzy Ludwik 7, 43
Zimmermann Kazimierz 12
Zimowski Lech 87
Ziółko Jerzy 89
Zych Józef 92
- Żarnowska Zofia 88

Spis treści

Prolog__7

Przedmowa__9

Część I

Pochodzenie rodzinne__11

Trzemeszno – moje miejsce urodzenia__11

Dziadkowie__12

Rodzice i rodzeństwo__13

Moja Rodzina__20

 Żona Marylka__20

 Miroslaw Paweł Biliński__21

 Tomasz Biliński__22

 Elżbieta Bilińska__22

Część II

Lata II wojny światowej (1939-1945)__25

Wysiedlenie__25

Garwolin__26

Lublin__27

Garbatka__30

Częstochowa__31

Rok 1945 – powrót do Trzemeszna__32

Część III

Lata młodości__33

Gimnazjum i Liceum im. Jana Kilińskiego w Trzemesznie__33

W drużynie ZHP__33

Przeprowadzka do Poznania__34

W chórze Stulgrosza__34

Byłem niezłym sportowcem__35

Matura__36

Część IV

Rozwój naukowy__39

Problem z dostaniem się na studia__39

Studia na Wydziale Budownictwa Politechniki Poznańskiej__40

Magisterium__41

Nauczyciel akademicki__43

Doktorant__43

Adiunkt__46

- Docent__46
- W drodze do habilitacji__47
- Staż naukowy w Liège (Belgia)__49
- Przygotowania do obrony pracy habilitacyjnej__51
- Przebieg kolokwium habilitacyjnego__52
- Po raz drugi w Liège__54

Część V

Zielonogórska__57

- Przejście do Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze__57
- Zostałem rektorem Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze__60
- Prawa do doktoryzowania i nadawania habilitacji
dla Wydziału Budownictwa i Inżynierii Środowiska__63
- Moje zainteresowania działalnością naukowo-techniczną
i legislacyjną__64
- Zostałem Honorowym Profesorem Uniwersytetu
Zielonogórskiego__66
- Konferencje naukowe__67
- Laudacja – Profesor Tadeusz Biliński – życie i osiągnięcia naukowe__69
- Złoty Medal za Zasługi dla Rozwoju Miasta Zielona Góra__73

Część VI

Pobyt i praca za granicą__75

- Algieria. Przygotowania do wyjazdu__75
- Przed rozpoczęciem zajęć ze studentami__78
- Na uczelni w Oranie__82
- Podziękowanie za współpracę__85

Część VII

Posel – lider lewicy – społecznik__91

- W poselskiej służbie społeczeństwu. Jak zostałem posłem
IX kadencji?__91
- Moja działalność poselska w IX i X kadencji Sejmu__94
- Kolejne kadencje w latach 1991-2001__96
- Moja działalność parlamentarna. Synteza__98
- Wyjazdowe posiedzenia komisji__99
- Reprezentowanie Sejmu RP poza granicami Polski__100
- Podsumowanie pracy parlamentarnej__101
- Biura poselskie i organizacja pracy poselskiej w terenie__101
- Wspomnienia ze spotkań z wyborcami w II i III kadencji__101
- Lider zielonogórskiej lewicy__103
- Powstanie SLD (1999)__105
- Działalność społeczna__106
- Honorowy Obywatel Miasta Zielona Góra__106
- Laudacja na cześć Prof. Tadeusza Bilińskiego z okazji nadania
tytułu Honorowego Obywatela Miasta Zielona Góra__106

Część VIII

Najważniejsze wspomnienia z mojego życia__111

- Wspomnienia z pracy sejmowej__111
 - Posiedzenia komisji – niespodzianki__111
 - Pierwszy briefing__114
 - Czułem się przegrany__115
 - Uroczystość wręczenia odznaczeń__115
- Inne wspomnienia__116
 - Przeobrażenia w okresie transformacji społeczno-politycznej kraju__116
 - Status Politechniki Zielonogórskiej__121
 - Powołanie województwa lubuskiego__122
 - Powołanie Uniwersytetu Zielonogórskiego__123
 - Spotkanie z rodzicami i żoną Marylką w Belgii__124
- Piękne i tragiczne dni mojego życia__126
 - Marylka – moja miłość__126
 - Największa tragedia mojego życia__136
 - Niepokojące zniecierpliwienie rodziny__139
 - Niespodziewane wyróżnienie__140
 - Moje ukochane góry__141
 - Muzyka. Mój piękny świat__143
 - Niespodziewanie trudności na przejściu granicznym na Cyprze__147
 - Przyjaźń ze Zbyszkiem Piwońskim – senatorem RP__147

Część IX

Ciekawe zdarzenia z mojego życia i pracy__151

- Uczestnictwo w Kongresie RiLEM__151
- Kontrola graniczna__151
- Trudny egzamin__152
- Pożegnanie stanu kawalerskiego__153
- Jak walczyłem z nałogiem palenia__154
- Zagubiony paszport studentki__156
- Na piwie ze studentami niemieckimi__157
- Bywali i tacy interesanci...__158
- Zaskakujący cel wizyty reporterów__158
- Jubileusz 80-lecia życia w opinii mojego środowiska__160
 - Jakub Marcinowski – dziekan Wydziału Inżynierii Łądowej i Środowiska__160
 - Zbyszko Piwoński – były wojewoda zielonogórski, senator RP III, IV i V kadencji__162
- Streszczenie moich wspomnień__163

Zakończenie__167

Bibliografia__171

Galeria zdjęć__173

Wykaz instytucji, organizacji, towarzystw naukowych, zakładów pracy oraz urzędów__211

Indeks osobowy__215



ISBN 978-83-7842-570-0



UNIWERSYTET
ZIELONOGORSKI